TERYTORIALSI
Jak przestali być pośmiewiskiem

BÓG GEJÓW
Kościół tak, celibat nie

NIE BOJĘ SIĘ PUTINA
Rosjanka, która broni Ukraińców

POWRÓT NA KSIĘŻYC
Stary nudziarz czeka na odkrywców

DZIKI OGRÓD
Zaproś zwierzęta do siebie

Kraków 28 sierpnia 2022 nr 35 (3816) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne TygodnikPowszechny.pl

FILIP SPRINGER:
Nie godzimy się na świat, który skazuje rzeki na śmierć. W historii Odry jest zawarta cała wiedza o naszej przyszłości

Odra rzeka gniewu

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

W WYDANIU DODATEK
NAGRODA LITERACKA GDYNIA

Nowa odsłona

Reimagined

Komnaty królewskie

The Royal Chambers

Wawel

FOT. JERZY DORSZAŃSKI PROJEKT JÓZEFINA WIŚNIEWSKA

REKLAMA

TYGODNIK POWSZECHNY

bella ciało!

WYDANIE SPECJALNE
JUŻ W SPRZEDAŻY

SZUKAJ W PUNKTACH Z DOBRĄ PRASĄ
LUB W E-WYDANIU NA POWSZECH.NET/CIAŁO

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / RYS. JOANNA RUSINEK

22 A mogliby leżeć na kanapie
DARIUSZ KAŁAN
Terytorialsi zyskali sympatię Polaków pomagając przy wschodniej granicy, przy szczepieniach, powodziach, odśnieżaniu i pożarach. Czy takie doświadczenie wystarczy, żeby nas obronić w czasie wojny?

34 Bóg gejów
SZYMON ŻYŚKO
Są wierzący, regularnie praktykują. I mówią twardo: Kościół tak, celibat nie.

44 Mam 80 lat, czego tu się bać
ROZMOWA ZE SWIETŁANĄ GANNUSZKINĄ, ROSYJSKĄ DZIAŁACZKĄ PRAW CZŁOWIEKA:
Bywało, że ktoś ośmielił się powiedzieć: „Nie chcę jechać do Rosji”. Na co usłyszał, że zastrzelą go na miejscu.

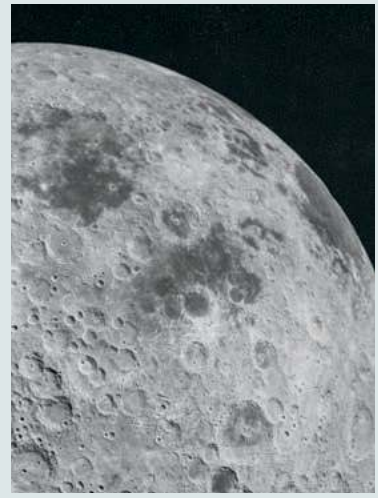

58 Wspaniałe pustkowie
ŁUKASZ LAMŻA
W Układzie Słonecznym znajduje się około 20 dużych księżyców, wśród których nasz jest jednym z najnudniejszych. Ale i tak go kochamy – i znów chcemy po nim chodzić.

64 Z maczetą i bez
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK
Oto świetny pisarz po przejściach typowych dla naszej epoki. Poza depresją, o której publicznie mówi, dotyka go powszechny wśród artystów problem uzależnienia od samego siebie, od własnej twarzy, głosu i napisanych słów.

78 Certyfikat od borsuka
ROZMOWA Z MARCINEM KRZYŻAŃSKIM, PRZYRODNIKIEM:
Wożę stare drzewo do lasu i poszerzam bagna na polu. Odziczam, więc mam opinię nieszkodliwego wariata. I jest to bardzo dobre, bo nie muszę niczego tłumaczyć.

KASIA STRĘK //RAFAŁ GUZ / PAP // DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA // GRAŻYNA MAKARA // DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL // WOLFGANG SCHMIDT / RIGHT LIVELIHOOD

6 Taniec bez deszczu
KRZYSZTOF STORY

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

22 A mogliby leżeć na kanapie
DARIUSZ KAŁAN

26 Puszcza domowa
ADAM ROBIŃSKI:
Jeśli nie liczyć szkolnej wycieczki, na tym szlaku przez dwa dni prawie nikogo nie spotkałem

30 Dzień dziecka
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK:
Nadchodzi nowy rok szkolny, a wraz z nim ciężary zajęć dodatkowych. Wiele dzieci realizujących w ten sposób marzenia swoje lub rodziców traci bezpowrotnie dzieciństwo

WIARA

34 Bóg gejów
SZYMON ŻYŚKO

38 Zburzyć mur
MARCIN CHODUŃ:
Na konsystorzu 27 sierpnia papież po raz pierwszy wręczy biret kardynalski niedotykalnemu z Indii

40 Szczęśliwi luteranie
TOMASZ P. TERLIKOWSKI
o duńskiej religijności i państwowym Kościele Folkekirken

ŚWIAT

44 Mam 80 lat, czego tu się bać
ROZMOWA ZE SWIETŁANĄ GANNUSZKINĄ

49 Wolontariuszki
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KIJOWA, CHARKOWA I SŁOWIAŃSKA:
Pół roku po inwazji Ukraińcy wciąż pomagają swojej armii, często wysupłując ostatnie pieniądze

PIOTR JEDZURA / REPORTER

TEMAT TYGODNIKA

12 Rzeka jak planeta
FILIP SPRINGER
To człowiek, rozregulowując ekosystem Odry, doprowadził do katastrofy.

17 Śnięte służby
ROZMOWA Z JACKIEM ENGELEM, PREZESEM FUNDACJI GREENMIND:
Rośnie gniew ludzi na to, jak Polska postępuje z przyrodą. Zbiorowy pozew przeciw państwu nie jest wykluczony.

DODATEK

83 NAGRODA LITERACKA GDYNIA

FELIETONY

33 JACEK PODSIADŁO
43 WOJCIECH BONOWICZ
76 JAN KLATA **77** PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA:
MAREK ZALEJSKI

Redaktor prowadzący:
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

52 Angielska pogoda
PATRYCJA BUKALSKA Z WIELKIEJ BRYTANII:
Aura, którą zwykliśmy uważać za typową dla Wysp, odchodzi w przeszłość

HISTORIA

54 Z przypomnienia
ROZMOWA Z DR DOROTĄ SADOWSKĄ, KURATORKĄ WYSTAWY „MAMO, JA NIE CHCĘ WOJNY”:
Dziecko często nie potrafi werbalnie wyrazić tego, co przeżywa podczas wojny. Komunikuje się przez rysunek

NAUKA

58 Wspaniałe pustkowie
ŁUKASZ LAMŻA

KULTURA

64 Z maczetą i bez
MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

68 Rzeczy uparcie nieśmiertelne
GERDIEN VERSCHOOR:
Po czteromiesięcznym postoju w Warszawie „Jeździec polski” Rembrandta przenosi się od 18 sierpnia na Wawel. Skąd przybywa i jaką przemierzył drogę?

72 W takim czasie
KRZYSZTOF STORY
Według zespołu Joryj Kłoc ich muzyka to „ukraiński obrzędowy hip-hop-daj-Boże-etno-czort”. Albo po prostu: „turbo folk”, bo grają szybko, głośno, szamańsko. Sieją zamęt

74 Dmuchany kowboj
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Nie!”*

WAKACJE

78 Certyfikat od borsuka
ROZMOWA Z MARCINEM KRZYŻAŃSKIM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Czy Rosjanie mają prawo do europejskiej wizy
Obywatele Rosji przez 30 lat przyzwyczaili się, że wiza Schengen należy im się jak psu zupa. Część Europy ma dzisiaj zupełnie inne zdanie – pisze ANNA ŁABUSZEWSKA | tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka

Al-Kaida. Organizacja, która przeraziła świat
Historia najbardziej znanej organizacji terrorystycznej na świecie w podkaście JAGIELSKI STORY. *Pierwszy odcinek już dostępny* | tygodnikpowszechny.pl/podkast

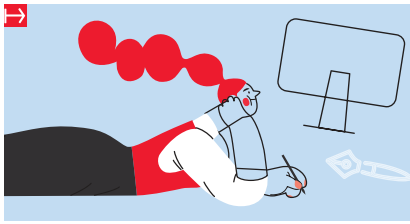

Serwisy specjalne: patrz szerzej
POLSKA SZKOŁA
Uczniowie, nauczyciele i lekcje do odrobienia
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/SZKOLA

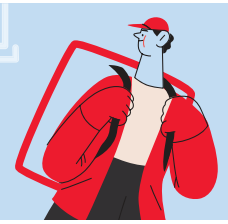

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

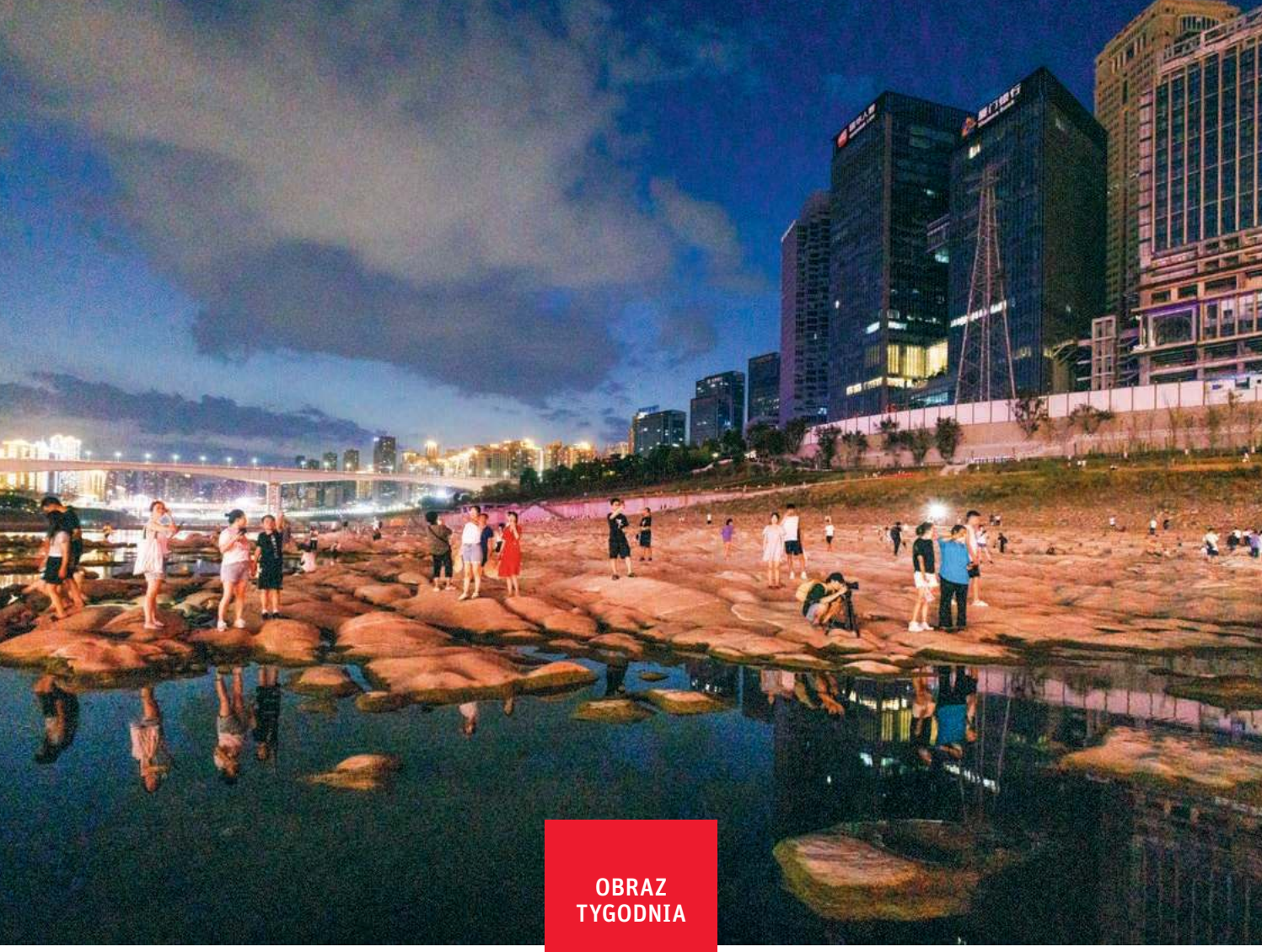

OBRAZ TYGODNIA

TANIEC BEZ DESZCZU

„Jeśli mnie widzisz – płacz", głosi inskrypcja wyryta w kamieniu, który kilkaset lat spędził na dnie Łaby w czeskim Děčínie. Pochodzi z czasów, gdy susza oznaczała klęskę głodu. Zamiast płakać, czas wyciągnąć wnioski.

KRZYSZTOF STORY

Zanikające rzeki zdradzają sekrety, których często strzegły setki lat. Włoski Pad – dawno zatopione barki, serbski odcinek Dunaju – wojenne okręty III Rzeszy, a zbiornik Valdecañas – kamienny krąg zwany „hiszpańskim Stonehenge".

Europa przeżywa najgorszą suszę od prawie 500 lat. Według European Drought Observatory dotyka ona dwóch trzecich obszaru Unii i Wielkiej Brytanii (17 proc. terenu w trzecim, najmocniejszym stopniu). Konsekwencje przekładają się na każdą dziedzinę życia. Ograniczenia w żegludze po Renie (niektóre barki nie mieszczą się nawet na pusto) mogą obniżyć niemieckie PKB nawet o 0,5 proc. Elektrownie wodne w Hiszpanii i Włoszech produkują o 40 proc. mniej prądu niż rok temu. Niderlandy boją się o stabilność torfowych wałów, które powinny być cały czas wilgotne. W Polsce apel lub zakaz użycia

Ustępująca rzeka Jialing, dopływ Jangcy w mieście Chongqing, Chiny, 20 sierpnia 2022 r.

wody wodociągowej do celów innych niż bytowe ogłosiło ponad 300 gmin. Na Węgrzech rolnicy złożyli trzy razy więcej wniosków o odszkodowania z powodu suszy niż w jakimkolwiek innym roku. W portugalskich zbiornikach retencyjnych jest dwa razy mniej wody niż średnia z ostatnich siedmiu lat. W niedotlenionych europejskich rzekach giną ryby.

Jeszcze gorzej jest w Chinach, gdzie susza w prowincji Hubei dotknęła ponad 4 mln ludzi i zniszczyła 400 tys. hektarów upraw. Władze musiały racjonować prąd fabrykom, zarządzić awaryjne zrzuty wody z Tamy Trzech Przełomów, ratując wysychającą Jangcy, a teraz strzelają w niebo jonami srebra, by wywołać deszcz.

Stany wyjątkowe, zdjęcia pustych koryt, pożary lasów, informacje z ponad 100 miejscowości we Francji, gdzie trzeba dowozić wodę beczkowozami, bo w kraju wyschła co czwarta rzeka – wszystko brzmi apokaliptycznie, choć bezpośrednie przyczyny są prozaiczne – brak pokrywy śnieżnej zimą i deszczu latem. To pierwsze nie pozwala zgromadzić wilgoci w glebie przed wiosną, to drugie – uzupełniać jej pomiędzy falami upałów. „Lipiec był najsuchszym miesiącem w historii Francji z 9,7 mm opadów, czyli deficytem rzędu 88 proc. w stosunku do potrzeb" – mówił Christophe Béchu, francuski minister transformacji ekologicznej.

Na chmury mamy niewielki wpływ. Możemy za to przemyśleć własną gospodarkę wodną i podejście do klimatu. Musimy zacząć na poważnie oszczędzać wodę i tworzyć dla niej zamknięte obiegi (to absurd, że dostępną nam pitną wodę – 1 proc. całej H_2O na Ziemi – spuszczamy w toalecie). Musimy zacząć deregulować rzeki i dbać o to, co rośnie na ich brzegach. Naturalne meandry i dzika roślinność, zwłaszcza lasy, to świetne magazyny wody. Możemy też budować małe zbiorniki retencyjne. Bez tego ulewne lipcowe deszcze w ciągu kilku dni kończą w morzu, a my jak mieliśmy suszę, tak mamy. Rzeki mają do odegrania rolę dużo ważniejszą niż korytarz dla barek.

Wiedzieliśmy, że tak będzie. Każdy naukowy model zmian klimatycznych przewiduje częste, dotkliwsze susze i fale upałów. Oczywiście potężne anomalie zdarzały się długo przed tym, nim zaczęliśmy masowo emitować CO_2. Tylko że rzadziej. Teraz ekstrema stają się normą. Obecna susza jest nazywana największą od 1540 r. Poprzednia, o której tak mówiono, była... cztery lata temu. ©℗

Odra: który polityk powie „razem"

ZBIERANIE DOWODÓW było w ostatnich dniach najważniejszym zadaniem służb państwowych, ale i aktywistów zaangażowanych w wyjaśnienie okoliczności skażenia Odry i śmierci w niej milionów zwierząt. Trzeba się spieszyć, bo dowody – jak tłumaczy w tym numerze „TP" Jacek Engel, prezes wspierającej ochronę przyrody fundacji Greenmind – spływają z nurtem.

Coraz więcej poszlak wskazuje na to, że przyczyną zatrucia wody mógł być gatunek *Prymnesium parvum* (złotych alg), którego zakwit powoduje pojawienie się w wodzie substancji groźnych dla ryb i małży. „Ilości są olbrzymie, po kilkadziesiąt miligramów na litr", przekazywał Grzegorz Dietrich, dyrektor Instytutu Rybactwa Śródlądowego w Olsztynie; do podobnych wniosków doszli niemieccy badacze z Instytutu Ekologii Słodkowodnej i Rybactwa Śródlądowego im. Leibniza w Berlinie, którzy przeanalizowali zdjęcia satelitarne Odry z lipca i sierpnia. Masowym zakwitom na rzece miałyby sprzyjać wysokie temperatury i niski stan wód.

Nawet gdyby potwierdziła się ta hipoteza, spór o przyczyny katastrofy – o to, czy były „naturalne", czy spowodowała je działalność człowieka – wydaje się mieć coraz mniejszy sens. Przy zapaści tak delikatnego i współzależnego zbioru ekosystemów jak Odra, w praktyce nie ma już przyczyn naturalnych. Wszystko jest ostatecznie efektem naszego wpływu.

Wciąż mają więc znaczenie manifestacje smutku i oburzenia. 21 sierpnia na bulwarach w Warszawie odbył się Marsz żałobny dla Odry – happening zorganizowany przez kolektyw aktywistyczny Siostry Rzeki. – Była to okazja do spotkania i rozmowy wielu wspaniałych osób zaangażowanych w ochronę rzek – mówi jego organizatorka, Cecylia Malik. – Jeśli z tego wszystkiego wyniknie coś dobrego, będzie to większe zainteresowanie ludzi rzekami. Już teraz przekracza ono to, co było wcześniej.

Podobne do warszawskiego happeningi odbyły się w kilku innych miastach Polski.

Najmniej z tego wszystkiego zdają się zauważać politycy, z jednej strony – jak niektórzy przedstawiciele rządu – ciągle bagatelizujący skalę katastrofy oraz zarzuty o niereagowanie na nią. Z drugiej, jak były premier Donald Tusk, widzący w niej głównie okazję do walki politycznej. W zaangażowaniu ruchów obywatelskich, zainteresowaniu Polaków rzekami oraz w wynikach sondaży wśród coraz bardziej proekologicznego społeczeństwa widać, że oś sporu nie przebiega między elektoratami walczących o władzę partii. Więcej nawet: że żadnego sporu tu nie ma. Najwidoczniej nie ma jednak jeszcze w Polsce polityka, który dostrzegłby w ekologicznej katastrofie to, co dostrzega większość z nas: ogromną, wspólną stratę. Który dałby wyraz temu, co wielu z nas czuje: gniewowi, ale i poczuciu, że „już dość" – że dekady zaniedbań i bezmyślnej ekspansji człowieka nad rzekami domagają się działania razem. Będzie pewnie późno – już jest późno – gdy za jakiś czas dojdziemy do wniosku, że bez „okrągłego stołu" dla przyrody nie powiedzie się żaden, nie tylko „pisowski", projekt Polski. ©℗ MARCIN ŻYŁA

Marsz żałobny dla Odry. Warszawa, 21 sierpnia 2022 r.

OLEG MARUSIĆ / REPORTER

THOMAS PETER / REUTERS / FORUM

Hitowy krok wstecz

MAREK KĘSKRAWIEC

Minister Przemysław Czarnek wziął w obronę prof. Wojciecha Roszkowskiego, autora podręcznika do historii i teraźniejszości, w którym znalazły się przedziwne zdania o rzekomym lansowaniu we współczesnej kulturze modelu rodziny, opartego na produkcji dzieci w laboratorium. Zdaniem Czarnka to nie jest aluzja do metody *in vitro*, ale z uwagi na ciągłe wykrzywianie sensu kontrowersyjnego fragmentu (oczywiście to wina Tuska), należy z niego zrezygnować.

Krok wstecz ze strony władzy nie wynika więc z głębokich przemyśleń i uznania absurdalności wizji świata Roszkowskiego, tropiącego mroczne siły nawet w muzyce rozrywkowej. Resort oświaty bardziej przestraszył się groźby licznych pozwów, które zapowiadają zarówno ludzie żyjący dzięki *in vitro*, jak i ich rodzice. Zbiorowy pozew przygotowuje zaprawiony w skutecznych bojach z Kają Godek radca Wojciech Kozłowski.

Do sądu trafią zapewne autor książki, wydawnictwo Biały Kruk i resort oświaty. Gdyby sąd w ramach zabezpieczenia pozwu nakazał wstrzymanie dystrybucji podręcznika, byłby to ewenement w dziejach Polski oraz kompromitacja rządzących. ©℗

PKB spadł, chociaż wzrósł

W DRUGIM KWARTALE wzrost gospodarczy sprawił nie lada prezent komentatorom, gdyż każdy może go przedstawiać tak, jak chce. Rok do roku polski PKB wzrósł o 5,3 proc., co ogólnie rzecz biorąc jest dobrym wynikiem, choć prognozowano lepszy. Jednak w porównaniu do poprzedniego kwartału PKB spadł – i to aż o 2,3 proc., najwięcej w UE. Inaczej mówiąc: w stosunku do okresu styczeń-marzec polska gospodarka się skurczyła.

Spadek PKB kwartał do kwartału nie jest czymś nadzwyczajnym. Tzw. techniczna recesja zaczyna się dopiero od dwóch takich przypadków z rzędu. Trzeba też pamiętać, że w pierwszym kwartale nasz PKB był sztucznie napompowany przez gromadzenie zapasów w firmach, które zabezpieczają się na wypadek kolejnego przerwania łańcuchów dostaw.

Nie zmienia to faktu, że polska gospodarka hamuje. Ekonomiści spodziewali się kwartalnych recesji, ale dopiero pod koniec roku lub na początku przyszłego. Tymczasem gwałtowne spowolnienie zaczęło się już w pierwszej połowie 2022 r. Chudsze czasy nadchodzą. Będziemy nieco mniej zarabiać, ciężej będzie też zmienić zatrudnienie na lepsze. Na szczęście bezrobocie Polkom i Polakom raczej nie grozi, gdyż wciąż znacznie bardziej brakuje rąk do pracy, a nie samej pracy.

© PIOTR WÓJCIK

KRAJ W SKRÓCIE

UPIORNA MYŚL

„Demotywuje mnie świadomość, że będę musiał kandydować – powiedział w rozmowie z dziennikarką TVN24 Donald Tusk, nie wiedząc, że jest już na antenie. – To jest tak upiorna myśl, że ja będę tam z powrotem siedział, na tej Wiejskiej".

TAKA TĘPOTA

„Takiej tępoty, połączonej z niekompetencją, bezinteresownym szkodnictwem lub zawiścią, zakłamaniem i zwykłym łajdactwem dawno nie widziałem" – nie, to nie jeszcze jeden rządowy komentarz do wypowiedzi lidera PO („Donald Tusk z pogardą i wstrętem odniósł się do pracy dla Polaków, do pracy parlamentarzysty w Sejmie, myślę, że tym samym pokazał swoje prawdziwe oblicze"– powiedział Mateusz Morawiecki), tylko fragment kolejnego z ujawnionych maili szefa Kancelarii Premiera Michała Dworczyka, komentującego spotkanie z ministrem infrastruktury Andrzejem Adamczykiem (na zdjęciu), który podczas rozmowy „sprawiał wrażenie, że wcale nie słucha", „sapał" i „bredził".

MAREK LASYK / REPORTER

JEDNA SPRAWA

„Proszę państwa, ja chciałem zabrać głos tylko w jednej sprawie, mianowicie mamy wybory w Rudzie Śląskiej" – powiedział tymczasem Jarosław Kaczyński, bijąc rekordy zwięzłości, bo jego spotkanie z mediami i udzielenie poparcia kandydatowi PiS Markowi Wesołemu trwało 76 sekund.

PROF. STANISŁAW MAZUR, REKTOR UE W KRAKOWIE

Uczelnie bez wsparcia

ANDRZEJ BANAŚ / POLSKA PRESS / EAST NEWS

ANNA GOC: Raport KRASP pokazuje, że nowy rok akademicki będzie dla uczelni trudniejszy niż zwykle.

STANISŁAW MAZUR: Z naszych obliczeń wynika, że przewidywany wzrost przychodów uczelni w 2022 r. wyniesie 2,5 proc. Koszty operacyjne wzrosną jednak o 13,4 proc. To oznacza, że wygenerujemy straty na poziomie niemal 1,8 mld zł. Uczelnie nie były w tak dramatycznej sytuacji finansowej od dekad.

Czego środowisko oczekuje od rządu i MEiN?

Raczej nie wyjdziemy na ulice, by protestować. Oczekujemy jednak dialogu z rządem i wprowadzenia zmian, które wspólnie uda nam się wypracować. Pierwszym krokiem powinna być rozmowa o podwyżkach wynagrodzeń, które od czterech lat są prawie na tym samym poziomie.

Złą sytuację najbardziej odczują młodzi naukowcy?

Płaca minimalna wynosi 3010 zł brutto. Średnia kwota, którą uczelnie oferują asystentom, jest wyższa o 195 zł. Profesorowie zarabiali kiedyś 3,5-krotność płacy minimalnej, teraz dostają średnio dwukrotność tej stawki. Młodzi naukowcy mają pasje, są aktywni i zdeterminowani, ale mówią wprost: za 3 tys. zł nie mogą pracować.

Czy uczelnie mogą próbować ratować się same?

Racjonalizowanie kosztów, przyciąganie większej liczby studentów, współpraca z biznesem, a także granty na badania – wszystkie te starania mogą poprawić naszą sytuację finansową, ale nie zmienią jej radykalnie.

PROF. STANISŁAW MAZUR *jest rektorem Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, przewodniczącym komisji ds. ekonomicznych Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich.*

PAULA BRONSTEIN / GETTY IMAGES

KABUL: ROK Z TALIBAMI. Triumf jest zrozumiały – w końcu o powrót do władzy walczyli w rebeliach całe dwie dekady. Rok po powrocie talibów do władzy w całym Afganistanie odbywały się ich demonstracje radości (na zdjęciu: ta z Kabulu, 15 sierpnia 2022 r.). Dokładnie odwrotne uczucia – głównie lęku o to, że pod ich rządami państwo może znów stać się matecznikiem dżihadystów – dominują w zachodnich stolicach. ©℗ ŻYM

Pół roku od rosyjskiej napaści na Ukrainę

WOJCIECH KONOŃCZUK

Seria ukraińskich ataków na obiekty wojskowe na Krymie była dla Rosji nieoczekiwana: kolejny błąd niedocenienia zdeterminowanego przeciwnika. Oczywiście ataki – przeprowadzone zapewne przy pomocy grup dywersyjnych – miały w większym stopniu znaczenie psychologiczne niż stricte militarne, ale dla rosyjskich wojskowych był to blamaż, a mieszkańcy półwyspu i turyści stracili poczucie bezpieczeństwa. Wielokilometrowe kolejki przed mostem Krymskim, łączącym okupowany region z Rosją, świadczą o tym, iż niektórzy uznali, że lepiej skrócić wakacje.

Obszarem najintensywniejszych walk pozostaje obwód doniecki, którego Rosjanie wciąż nie są w stanie zająć w całości. Od czerwca linia frontu pozostaje dość stabilna, z niewielkim wskazaniem na stronę rosyjską – ale nadal ponad jedna trzecia regionu znajduje się pod kontrolą ukraińską i nic nie zapowiada, by to miało się zmienić. Niepowodzenia na froncie Rosja próbuje rekompensować atakami na cele cywilne; rakiety codziennie trafiają w budynki mieszkalne. Kreml liczy, że w końcu zmusi to Ukraińców do ustępstw, ale wszystko wskazuje, że efekt jest odwrotny – utwierdza ich w przekonaniu, że trwa wojna o wszystko, a zwycięstwo jest jedyną szansą.

Ukraińcy żyją też nadzieją, że ich wojska przejdą w końcu do kontrofensywy i odzyskają utracone ziemie, szczególnie na południu. Choć wiele wypowiedzi ze strony władz wskazuje, że to kwestia czasu, jak na razie kontrofensywa wydaje się mało prawdopodobna. Powodem jest brak wystarczającej ilości sprzętu, w tym artyleryjskiego. Dostawy z Zachodu są wciąż niewystarczające.

Rosja nie porzuca planów przejęcia kontroli nad Ukrainą, choć są one jeszcze większą fantazją, niż były przed 24 lutego. Zarazem Moskwa gra na zmęczenie Zachodu, jego osłabienie gospodarcze (deficytem gazu czy wysokimi cenami energii), straszenie konfliktem nuklearnym czy – jak ostatnio – możliwością katastrofy Zaporoskiej Elektrowni Atomowej znajdującej się pod jej kontrolą. Czy Kremlowi uda się utrzymać stabilność własnych elit? Jeśli za niedawną próbą zamachu na Aleksandra Dugina, znanego ideologa rosyjskiego imperializmu, odpowiada ktoś z Rosji, to reżim Putina ma kolejny problem.

Po pół roku wojny coraz bardziej widać, że wygra ją ta strona, która okaże się bardziej konsekwentna. Ukraińcy są na dobrej drodze ku temu i miejmy nadzieję, że to nie Zachód okaże się słabym ogniwem. ©

Tańcząca z lękami

DLACZEGO PREMIERKA FINLANDII wywołała takie oburzenie? W przypadku Sanny Marin ujawniają się nasze głębokie, a zarazem infantylne fantazje dotyczące tego, jak powinni wyglądać i zachowywać się politycy. A zatem ci, których delegujemy do roli przewodników i opiekunów, żeby nie powiedzieć – mitycznych rodziców.

Z jednej strony pragniemy przecież, by byli to ludzie do nas podobni, z drugiej – żeby posiadali cechy zgoła nadludzkie: niezawodną przenikliwość, posągową powagę, szlachetność, uczciwość i siłę charakteru. Psychologiczna gra własnym wizerunkiem, na której opiera się polityczny marketing, polega na utrzymywaniu w tym równowagi. To znaczy na pilnowaniu, żeby ktoś nie spadł z piedestału, a jednocześnie, żeby się zbytnio nie wywyższył.

Ale afera wokół tańczącej Marin pokazuje, że nawet dla zachodnich społeczeństw, dla których równouprawnienie płci jest ponoć oczywistością, a hipokryzja zjawiskiem negatywnym, sprawująca wysokie stanowisko młoda kobieta, która po godzinach pracy relaksuje się w gronie przyjaciół, okazuje się problematyczna. Wprawdzie w sondażu MTV 42 proc. Finów cieszy się, że ich premierka w wolnym czasie potrafi się dobrze bawić, ale zarazem 60 proc. uważa, że jej zachowania „nie licują z powagą urzędu". Cóż, w zbiorowej wyobraźni archetypowym reprezentantem władzy najwidoczniej wciąż pozostaje starszy mężczyzna w garniturze, który nie odpoczywa wcale.

Trochę ironizuję, ale mam wrażenie, że ostatecznie do tego się to sprowadza. Trudno o bardziej wyrazisty symbol realnej emancypacji niż młoda, świetnie wykształcona kobieta na najwyższym stanowisku, która po godzinach z przyjaciółmi obojga płci dziko pląsa w takt nowoczesnej muzyki. © TOMASZ STAWISZYŃSKI

Więcej: **powszech.net/marin**

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

ARESZT

Nikaraguański reżim Daniela Ortegi zamknął niepokornego biskupa diecezji Matagalpa, Rolanda Joségo Álvareza, w areszcie domowym w stolicy Managui. Jego współpracownicy trafili do więzienia El Chipote, w którym torturowani są przeciwnicy dyktatury. Zaniepokojenie sytuacją w Nikaragui wyraził papież Franciszek.

ZOBOWIĄZANIE

Amerykańscy jezuici nie wywiązują się z obietnicy utworzenia funduszu dla potomków niewolników sprzedanych w XIX w. z intencją ratowania jezuickiego Uniwersytetu Georgetown. W marcu 2021 r. jezuici zobowiązali się zebrać 100 mln dolarów. Działacz Stowarzyszenia Potomków Joseph Stewart ostrzegł, że instytucja ta może zerwać współpracę z zakonem.

PUSTELNIA

Biskup kielecki Jan Piotrowski poświęcił w Drochlinie drugą pustelnię w diecezji kieleckiej, zbudowaną przez pustelniczkę-nowicjuszkę Agatę. Kandydatka będzie się zajmowała pisaniem ikon i drobnym rękodziełem niekolidującym z życiem pustelniczym.

WYRÓŻNIENIE

Pochodzący z Chorzowa były selekcjoner piłkarskiej reprezentacji Polski Antoni Piechniczek został laureatem nagrody „Lux ex Silesia". Wyróżnienie przyznawane jest przez metropolitę katowickiego za trwały wkład w kulturę Górnego Śląska.

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Siedlce 103,4 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM

Papież zdecydował, wątpliwości pozostają

PIOTR SIKORA

Kanadyjskie media ujawniły, że wśród duchownych oskarżonych w zbiorowym pozwie przeciw diecezji Québec o niewłaściwe zachowania seksualne znalazł się m.in. obecny prefekt Kongregacji ds. Biskupów, kard. Marc Ouellet. Jego oskarżycielką jest kobieta, która pracowała dla archidiecezji w latach 2008-2010, gdy kard. Ouellet był ordynariuszem. Kanadyjski hierarcha miał bez jej zgody dotykać jej z wyraźnym podtekstem seksualnym.

Na początku 2019 r. napisała w tej sprawie do papieża. Franciszek wyznaczył jezuitę, Jacques'a Servais, by zbadał sprawę. Kobieta twierdzi, że jak do tej pory nie dostała żadnej informacji na temat postępowania. W czwartek 18 sierpnia dyrektor Biura Prasowego Stolicy Apostolskiej Matteo Bruni przekazał jednak oświadczenie papieża, że – jak ustalił ks. Servais – nie ma wystarczających elementów, aby wszcząć kanoniczne śledztwo w sprawie molestowania seksualnego przez kardynała, zaś on sam publicznie wszystkiemu zaprzeczył.

Sprawa należy do takich, które są trudne do rozstrzygnięcia, ale trzeba przyznać, że sposób, w jaki papież potraktował oskarżenie jednego ze swoich bliskich współpracowników, budzi wątpliwości. Po pierwsze, ksiądz wyznaczony do zbadania oskarżeń jest specjalistą od teologii Hansa Ursa von Balthasara, nie ma kompetencji śledczych i prawnych. Co więcej: jest dyrektorem instytucji, w której ważną rolę pełni kard. Ouellet. Ks. Servais nie wydaje się być właściwym człowiekiem do zbadania tak delikatnej sprawy, a z watykańskiego oświadczenia wynika, że rozstrzygnął ją po przeczytaniu pisemnego świadectwa kobiety i jednej rozmowie z nią przez Zooma.

Pomimo tylu wychodzących na jaw faktów – zarówno krzywd seksualnych doznanych od przedstawicieli kościelnych instytucji, jak i niewłaściwych reakcji tych instytucji, niestety nie można uznać działań Watykanu za klarowny i bezdyskusyjny wzór właściwego postępowania. ©℗

ARCHIWUM DIECEZJI TRAPANI

FRAGMENTY SUKNI ŚLUBNYCH, pracowniczych kombinezonów, dziecięcych ubranek – w sumie 1500 kwadratów o boku 7 cm zostało użytych do sporządzenia „Płaszcza dla Matki", którym okryto XVI-wieczną figurę Madonny del Soccorso w Castellammare del Golfo na Sycylii. Płaszcz ma pięć metrów długości i dwa szerokości. „Każdy, kto zechce, będzie mógł przysłać kawałek materiału, który jest mu szczególnie bliski i wiąże się z ważnym momentem w jego życiu lub dotyczy kogoś, kogo chce powierzyć Marii" – tak dwa lata temu Stowarzyszenie Quantummàri wyjaśniało sens pomysłu. Przez czas pandemii 10 szwaczek pieczołowicie zszywało fragmenty nadesłanych materiałów, powstała też księga z historiami i intencjami dołączonymi do wycinków. „Matka Boża Ubogich dobrze odczytuje znaczenie tego płaszcza" – powiedział miejscowy biskup. Hierarcha wspomniał o szpitalnej piżamie Stelli, która w wieku sześciu lat walczy z rzadkim nowotworem, czy sukienkach ukraińskich matek uciekających przed wojną. Wydarzenie odnotował dziennik włoskiego episkopatu „Avvenire". ©℗ ASK

KULTURA W SKRÓCIE

GRY Z POLSKI

24 sierpnia premierę (m.in. w usłudze Xbox Game Pass) będzie miała gra „Midnight Fight Express" krakowskiego twórcy Jakuba Dzwinela (pierwsze oceny: 8/10 w GameSpot, 9/10 w WellPlayed), wydana przez Humble Games. Natomiast kilka dni wcześniej pokazano zwiastun życiowego projektu Wiktora Wąsowskiego „Selenwald", w którym gracz będzie odkrywał tajemnice XVIII-wiecznego uniwersytetu. Gra ma łączyć mroczną fantastykę, horror i motywy inspirowane Faustem.

RUCH W KIELCACH

27 sierpnia w Teatrze im. Żeromskiego odbędzie się prapremiera spektaklu tanecznego „Wolne ciała" reżyserki i choreografki Marty Ziółek, absolwentki warszawskiego MISH i choreografii na SNDO w Amsterdamie. Na perkusji zagra Bruno Jasieński.

ZDJĘCIA W OKSYTANII

Tego samego dnia we francuskim Perpignan rozpocznie się prestiżowy Międzynarodowy Festiwal Fotoreportażu, podczas którego wręczone zostaną Złote Wizy za najlepsze zdjęcia fotoreporterskie. Wśród nominowanych m.in. Evgeniy Maloletka z agencji AP (którego zdjęcia z Ukrainy „Tygodnik" publikuje od 2014 r., ostatnio w marcu 2022 r.) za fotografie z Mariupola.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

SZYMON ŁABIŃSKI / PAP

PIERWSZE W EUROPIE MUZEUM MEMÓW otwarto 19 sierpnia w podziemiach kina Przedwiośnie w Płocku. Jego twórcy zadbali nie tylko o humorystyczną treść wystawy, ale i o formę. Na zwiedzających czeka m.in. folia bąbelkowa, a także możliwość „uściśnięcia czyjejś dłoni" na koniec wizyty. Wystawa, która będzie czynna przez trzy miesiące, to część pierwszej edycji satyrycznego festiwalu Big Festivalowski. Ma on być żywym, kreatywnym hołdem dla sztuki, która rozśmiesza i podnosi na duchu. W programie m.in. komediowe kino letnie, występy standuperów, spotkanie z satyrykami. ©℗ JT

Żucie gumy to wysiłek, który rzuca światło na ewolucję

NASI PRZODKOWIE robili to znacznie dłużej – współcześnie przeżuwamy średnio przez 35 minut dziennie. Ale nasze posiłki najczęściej są w jakiś sposób przetworzone, a zatem miękkie i łatwe do pogryzienia. Jak donosi zespół Adama van Casterena na łamach „Science Advances", przeżuwanie to jednak nie lada wydatek energetyczny – u osób żujących miękką gumę zużycie energii wzrasta o ok. 10 proc. względem stanu spoczynku, a w przypadku twardszej gumy – nawet o 15 proc.

Chociaż my na tę czynność poświęcamy zaledwie ok. 1 proc. energii wydatkowanej w ciągu dnia, to badacze podkreślają, że gdy głównym źródłem pożywienia naszych przodków były trudne do pogryzienia produkty (np. surowe mięso), przyswojenie pokarmu musiało wymagać większego wysiłku. Być może więc do niektórych zmian w budowie zębów, szczęki, gardła czy mięśni odpowiedzialnych za przeżuwanie w toku ewolucji człowieka doszło ze względu na optymalizację wysiłku niezbędnego do dostarczenia organizmowi substancji odżywczych.

To nie tylko biologiczna ciekawostka – w naszych modelach ewolucji człowieka zakładamy pewne wartości dotyczące ilości energii i czasu, jaki trzeba było poświęcić na codzienne czynności. Jeśli chcemy wiedzieć, jak żyli i zmieniali się nasi przodkowie, będziemy musieli zbadać, jak trudno było im przeżuwać to, co znajdowało się w ich menu.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

Powab protonu

JĄDRA ATOMOWE – jak powszechnie wiadomo – są zbudowane z protonów i neutronów, które same składają się z jeszcze mniejszych cząstek zwanych kwarkami. Zwykle mówi się, że proton zawiera trzy: dwa kwarki u („górne") i jeden kwark d („dolny"), ale to karygodne uproszczenie. Zgodnie bowiem ze współczesną fizyką kwantową w każdym protonie owe trzy kwarki zanurzone są w kipiącym „morzu" gluonów, fotonów oraz par kwark-antykwark. Wśród tych ostatnich teoretycznie powinny trafiać się nie tylko pospolite kwarki u i d, ale także ich rzadszy, cięższy kuzyn, zwany kwarkiem c (ang. *charm*, co tłumaczy się jako „powabny").

Jak donosi „Nature", ów wewnętrzny powab protonu udało się wreszcie dostrzec w danych eksperymentalnych. Aby tego dokonać, sięgnięto po zaawansowane algorytmy sztucznej inteligencji, zdolne zsyntetyzować wyniki tysięcy różnych eksperymentów akceleratorowych – w tym najnowsze dane z Wielkiego Zderzacza Hadronów. Choć struktura protonu wciąż skrywa przed nami wiele tajemnic, wygląda na to, że udało się uchylić rąbka jednej z nich. © TOMASZ MILLER

TEMAT TYGODNIKA

RZEKA JAK PLANETA

Władza z ulgą chwyciła się hipotezy o złotych algach. Ale ich pojawienie się oznacza, że to człowiek, rozregulowując ekosystem Odry, doprowadził do katastrofy.

FILIP SPRINGER

PIOTR JEDZURA / REPORTER

Odra w Cigacicach, 17 sierpnia 2022 r.

Dziewięć centymetrów – taki był jej stan w Malczycach na Dolnym Śląsku 29 lipca. Nie żeby kogokolwiek to dziwiło. Cały region środkowej Odry, a zwłaszcza pogranicze dolnośląskiego, lubuskiego i wielkopolskiego cierpiało w lipcu z powodu suszy. Klimatyczny bilans wodny, czyli różnica pomiędzy tym, ile wody spadnie w postaci deszczu, a tym, ile jej z ziemi wyparuje, wyniósł tu od -169 do -220 mm. Nigdzie w kraju nie było w lipcu gorzej. Sucho było na lądzie, sucho musiało być więc w rzece. Tak to już jest.

W tym czasie Odrą płynęła już ekspedycja badawcza Śląskiego Centrum Wody pod kierunkiem prof. Andrzeja Woźnicy. Jej celem było ustalenie jakości wody w całym biegu rzeki, od czeskiej Ostrawy aż do Szczecina. Ta zupełnie nieplanowana koincydencja terminu wyprawy z największą od lat katastrofą ekologiczną na Odrze uczyniła śląskich naukowców chwilowymi celebrytami – wszystkie media chciały mieć przecież rozmowę z tymi, którzy „jako ostatni widzieli Odrę żywą". W Malczycach naukowcy z pokładu łodzi badawczej Uśka II przyglądali się stoczni, odciętej od głównego koryta rzeki niskim stanem wody. A potem popłynęli dalej, zahaczając co i rusz o wystające z dna konary i kamienie.

Ci, którzy żyją w górze rzeki, już wtedy alarmowali, że dzieje się w niej coś niedobrego. Z nurtem płynęło coraz więcej martwych ryb i innych zwierząt. 1 sierpnia pierwsze z nich pojawiły się także w Malczycach. Miejscowi nie spodziewali się wtedy jeszcze tragedii na taką skalę, część myślała, że to będzie jedna z tych mniejszych katastrof na rzece, które przytrafiają się jej regularnie, więc mało kto zwracał na nie uwagę. Jak choćby ta z października ubiegłego roku, kiedy Odrą płynął fenol zrzucony przez jedną z oczyszczalni przemysłowych znajdujących się w jej górnym biegu. Śmierdziało wtedy nad wodą tak, że nie dało się zbliżyć. No ale wtedy nikt poza kilkoma społecznikami nie podniósł rabanu. Śmiertelna fala przeszła, sprawę udało się zamieść pod dywan.

Prostowanie biegu

Malczyce to niepozorna miejscowość, położona 40 km na północny zachód od Wrocławia. Miejsce znane chyba tylko fanatycznym miłośnikom kolei. To właśnie tutaj bowiem, w dawnym odrzańskim porcie, zarastającym dziś trzciną i krzakami, stoją trzy unikalne w skali Europy wywrotnice wagonowe. Każda z nich przez dziesięciolecia obsługiwała składy towarowe przywożące na brzeg Odry strzegomskie granity, a przede wszystkim węgiel z wałbrzyskich kopalni.

Bo jeśli szukać miejsca symbolicznego dla całej poplątanej historii Odry, to Malczyce bez wątpienia pasują. Historia ta zaczyna się na dobre w połowie XVIII w., kiedy Prusom w końcu udało się zająć i utrzymać Śląsk. Odra stała się wewnętrzną rzeką królestwa, teraz przyszedł czas na jej porządkowanie. Oznaczało to nie tylko umocnienie jej brzegów, ale także wyprostowanie biegu. Liczne zakola i starorzecza nie sprzyjały bowiem żegludze.

Jednym z tych, którzy w myśl oświeceniowych idei i na zlecenie pruskiego króla mieli zmusić rzekę do posłuszeństwa, był Aleksander Neuwertz, specjalny inspektor budów wodnych i nadrzecznych wałów obronnych. To właśnie on zainicjował proces skracania Odry, czyli odcinania „zbędnych" zakoli. Rzeka sama w tym pomagała. Tzw. metoda Neuwertza polegała na kopaniu wąskich kanałów mających stanowić nowe koryto, a później wpuszczaniu tam wody z głównego nurtu. Silny prąd sam wybierał ziemię z utworzonego przez ludzi koryta i powiększał je do odpowiedniej szerokości. A dawne zakole, ścięte u nasady nowym kanałem, stawało się starorzeczem i stopniowo popadało w zapomnienie.

Wszystkie te działania były w oczach kolejnych pruskich władców niezbędne, by uczynić Odrę żeglowną i sprowadzać nią cenne surowce z dalekich śląskich prowincji. I tutaj właśnie na scenie dziejów pojawiają się maleńkie Malczyce, a wtedy Maltsch, które dość szybko zaczęły odgrywać rolę jednego z głównych portów. Kończyła się tu tzw. droga węglowa, Kohlenweg, łącząca wałbrzyskie kopalnie z rzeką. Była to w swoim czasie, czyli latach 80. XVIII w., jedna z najnowocześniejszych dróg w całych Prusach. Od czasu jej powstania Maltsch intensywnie się rozwijało: w drugiej połowie XIX w. działało tu kilkanaście dużych, międzynarodowych firm spedycyjnych, papiernia, cukiernia i kilka stoczni. Węgiel, kamienie i inne surowce przywoziły do tutejszego portu pociągi specjalnie w tym celu wybudowaną bocznicą, a załadunek na odrzańskie barki odbywał się m.in. dzięki tym trzem zdumiewającym wywrotnicom, rdzewiejącym dziś w krzakach malczyckiego basenu portowego.

Cena podboju

Jednym słowem – nie byłoby świetności Malczyc, gdyby przez 200 lat pruskiej (a później niemieckiej) obecności na Śląsku Odra nie została wielokrotnie przekształcona. Dość powiedzieć, że w tym czasie skrócono jej bieg o ponad 200 kilometrów, przesunięto ją nieco na wschód (podobnie jak ujścia jej dopływów) i osuszono setki tysięcy hektarów terenów zalewowych, zamieniając je w pola i pastwiska. Jeden z największych takich obszarów – Oderbruch w dolnym odcinku rzeki – wizytował sam Fryderyk Wielki, który, patrząc na hektary łąk wydartych rzece, miał powiedzieć: „Tę prowincję podbiłem pokojowo". Podbój ten miał jednak swoją cenę. Tak silna ingerencja w charakter Odry zmusiła też człowieka do budowy 1600 km wałów przeciwpowodziowych. Bo rzeka jak to rzeka: lubi czasem wezbrać. Ludzie nazywają to wezbranie powodzią i przypominają sobie wtedy o terenach, które kiedyś jej zabrali.

Wszystko to jest istotne, by uświadomić sobie, z czym tak naprawdę mamy do czynienia, gdy mówimy albo myślimy o Odrze. Jest to bowiem jedna z najwcześniej i najbardziej przekształconych wielkich rzek Europy. Początek tego przekształcenia zbiega się nieprzypadkowo z początkiem rewolucji przemysłowej. Ta zaś doprowadziła do czegoś, co Paul Crutzen w 2000 r. nazwał antropocenem – pierwszą w dziejach Ziemi epoką, w której główną siłą geologiczną kształtującą powierzchnię planety został człowiek.

Dość powiedzieć, że to właśnie w górę Odry w 1787 r. ciągnięto na trzech barkach pierwszą maszynę parową, która została zakupiona w Walii w ramach tajnej misji pruskich emisariuszy i która przyczyniła się do usprawnienia wydobycia cennych rud w Tarnowskich Górach, a później na całym Śląsku, czyniąc z tej prowincji jedną z najważniejszych w całych Prusach. Dzieje Odry i śląskiego przemysłu splatały się odtąd coraz bardziej i coraz bardziej dramatycznie.

Bo wspólna historia Malczyc i przekształcania Odry ma oczywiście ciąg dalszy. W 2018 r. ukończono tutaj budowę kolejnego stopnia wodnego, który miał zamienić tę rzekę w transportową arte-

rię. Jego powstanie to nic innego jak ciąg dalszy marzeń oświeceniowych inżynierów natury, który rzece tylko zaszkodził.

Przemówienia i cisza

– Udało się sfinalizować inwestycję, której nikt nie był w stanie dokończyć przez ponad 20 lat – mówił wtedy w Malczycach z dumą minister gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej Marek Gróbarczyk. Inwestycja miała znacząco poprawić zabezpieczenie przeciwpowodziowe w całym regionie, pozwolić przywrócić parametry odrzańskiego szlaku żeglugowego do klas międzynarodowych, poprawić poziom wód gruntowych i przeciwdziałać suszom. Stopień wodny miał też powstrzymać procesy erozyjne w korycie rzeki poniżej stopnia i pozwolić lepiej chronić lasy łęgowe.

Była to jednak tylko lista pobożnych życzeń, sprzeczna z aktualnym stanem wiedzy o rzekach i nic innego jak kontynuacja mocno już przebrzmiałego marzenia o „kontrolowaniu natury". Dziś w całej Europie trend jest odwrotny: rzeki coraz częściej się renaturyzuje, a nie przekształca w zabetonowane koryta o regulowanym przez człowieka przepływie wody. Niemcy myślą o tym nawet w odniesieniu do górnego biegu swojej największej rzecznej autostrady, czyli Renu. Przyroda wystawia nam przy tym słony rachunek: przywrócenie względnie pierwotnego charakteru niewielkiej duńskiej rzeki Skjern Å w środkowej Jutlandii kosztowało pięciokrotnie więcej niż ostatni, najbardziej intensywny i kosztowny etap jej regulacji przeprowadzony w latach 60. i 70.

Jest więc Odra przyrodniczo-cywilizacyjnym konstruktem i tylko jej niezwykłej odporności zawdzięczamy to, że choć tak bardzo przekształcona, ciągle jeszcze jest (była) pełna życia we wszelkich jego przejawach. Mieszkający nad nią w niewielkiej Chobieni muzyk Michał Zygmunt zwykł mawiać, że tak bogatych i cennych lasów łęgowych jak w środkowym biegu Odry nie ma już nigdzie w Polsce. Przez kilka ostatnich lat to właśnie tam Zygmunt nagrywał dźwięki przyrody, które później wykorzystywał w swoich kompozycjach. Gdy zadzwoniłem do niego w połowie sierpnia, by zapytać, co się w tej jego Chobieni dzieje, łamał mu się głos. Mówił, że nad rzeką panuje przejmująca cisza. Kilka dni później wojewoda lubuski Władysław Dajczak powołał go do Wojewódzkiego Zespołu Zarządzania Kryzysowego ds. Odry.

PIOTR JEDZURA / REPORTER

Odra jest przyrodniczo-cywilizacyjnym konstruktem i tylko jej niezwykłej odporności zawdzięczamy to, że choć tak bardzo przekształcona, ciągle jeszcze jest pełna życia.

Jak wyhodowaliśmy algi

Dziś nie wszystko jeszcze wiadomo na temat przyczyn lipcowo-sierpniowej katastrofy. Nie sprawdziły się pierwsze doniesienia dotyczące wysokiej zawartości rtęci. Uwagę naukowców przykuwa natomiast duży poziom zasolenia wody, jej wysoka temperatura i mocne natlenienie. Zwłaszcza te dwa ostatnie wskaźniki zwykle nie występują razem.

To skierowało uwagę badaczy i badaczek na pewien gatunek alg złotych *(Prymnesium parvum)*, które mogą się rozwijać właśnie w ciepłej i dość słonej wodzie, a w czasie swojego zakwitu produkują tlen i toksyczną prymnezynę, która może powodować masowe śnięcie ryb.

Hipoteza o wykwicie tych alg do zamknięcia tego numeru „TP" nie została jeszcze potwierdzona, tym bardziej więc dziwi ton wyraźnej ulgi, z jakim przedstawiciele Wód Polskich, Głównego Inspektoratu Ochrony Środowiska czy rządu przedstawiają te informacje. Jakby wykwit alg był katastrofą bardziej „naturalną" niż np. zrzut toksycznych ścieków zawierających metale ciężkie z jakiegoś zakładu. Tymczasem wbrew temu, co myślą i mówią nasi rządzący, informacja o tym, że to właśnie zakwit złotych alg spowodował katastrofę, jest jedną z gorszych, jakie na temat tej sytuacji możemy usłyszeć.

Przede wszystkim na bok należy odłożyć bajania o „naturalnym" charakterze takiej katastrofy. Aby algi gatunku *Prymnesium parvum* mogły się na taką skalę rozwinąć i zakwitnąć, płynąca w Odrze woda musi spełnić odpowiednie warunki – musi być właśnie odpowiednio słona i ciepła. I tutaj los rzeki splata się z tym, co sprawiło, że Malczyce przez blisko dwa wieki były silnie rozwijającym się portem – z przemysłem i górnictwem.

Z jednej bowiem strony głównymi podejrzanymi o tak duże zasolenie Odry są kopalnie węgla na Śląsku, które odprowadzają do rzeki wodę z głębokich pokładów. Koincydencja z ratunkowym wydobyciem węgla w polskich kopalniach może być więc nieprzypadkowa. Z drugiej strony lipiec w tym roku był gorący i suchy, średnia temperatura była ↦

↦ wyższa o 0,4 stopnia od średniej z lat 1991--2020. Co więcej: Odrę oprócz upałów podgrzewały dodatkowo znajdujące się w jej biegu elektrownie węglowe, które w kilka najbardziej gorących lipcowych dni znalazły się na granicy własnej wydajności. Jakby tego wszystkiego było mało, w poszatkowanej przez stopnie wodne Odrze wymiana wody jest uboga, dalece niewystarczająca do tego, by rzeka mogła sama oczyszczać się choćby właśnie z alg złotych. Wiele wskazuje więc na to, że to właśnie człowiek całkowicie rozregulowując odrzański ekosystem doprowadził do katastrofy.

Historia nienaturalna

I wbrew pozorom to nadal nie jest ten najgorszy wniosek, jaki płynie z odrzańskiej tragedii. Jeżeli hipoteza związana ze złotymi algami potwierdzi się choćby częściowo, będzie to znaczyło, że zaczynamy właśnie doświadczać rozpadu ekosystemu związanego nie tylko z katastrofą klimatyczną, ale także z tym, co Elizabeth Kolbert opisała w przejmującej książce „Szóste wymieranie. Historia nienaturalna". Jest to dziś lektura dla naprawdę odważnych czytelników i czytelniczek.

Wymieranie gatunków kojarzy się ciągle z wizją białego, bogatego mężczyzny, który celuje ze sztucera do ostatniego żyjącego na ziemi nosorożca, słonia czy tygrysa. Tymczasem Kolbert skupia się przede wszystkim na katastrofalnym załamaniu ekosystemów, przerwaniu łańcuchów troficznych i sprzężeniach zwrotnych, takich właśnie jak zakwit zabójczych alg w przegrzanej, zanieczyszczonej i całkowicie przekształconej przez człowieka rzece. Bo jeśli jest coś bezgranicznie przerażającego w antropocenie, to z pewnością nie jest to wizja głupiego człowieka robiącego ciągle głupie rzeczy. Do niej już mieliśmy czas przywyknąć. Przeraża raczej wizja konwulsji planetarnego układu, spowodowanych tą głupotą jednostek i zbiorowości. W tym świetle katastrofa na Odrze wyłania się jako symptom czy jeden z pierwszych objawów nowego, ekologicznego porządku, w którym załamują się kolejne systemy podtrzymujące życie na planecie.

– To nie jest pierwsza katastrofa na Odrze, odkąd tu żyję – mówił mi Michał Zygmunt, gdy już wszystkie media w Polsce trąbiły o śniętych rybach, a premier Morawiecki bijąc się w piersi ogłaszał nagrodę miliona złotych za wykrycie sprawców.

> Katastrofa na Odrze to jeden z pierwszych objawów nowego ekologicznego porządku, w którym załamują się kolejne systemy podtrzymujące życie na planecie.

– Był ten fenol jesienią, było wcześniej kilka innych zrzutów. Myśmy już trochę przywykli, że rzeką co jakiś czas płynie coś śmierdzącego. Ale to pierwsza katastrofa, która spowodowała tak powszechne oburzenie. I może to jest jakiś przełom?

Rzeczywiście – katastrofę klimatyczną czy załamanie bioróżnorodności trudno pokazać palcem. Zgodnie z tym, co pisał o nich brytyjski filozof Timothy Morton, są one hiperobiektami – ze względu na swoją czasową i przestrzenną skalę oraz wewnętrzną złożoność wymykają się ludzkim narzędziom percepcji. Tony martwych ryb wyławiane przy pomocy koparek z Odry widzą już wszyscy. I wszyscy zaczynają się wtedy trochę bardziej zastanawiać nad tym, jaką wodę piją, w jakiej się kąpią w letnie dni i jakim powietrzem oddychają.

Nasz problem

W polskiej historii mieliśmy już taki moment. I to całkiem niedawno, w schyłkowych latach 80. Polską wstrząsnęło kilka wielkich katastrof ekologicznych: Czarnobyl, obumierające masowo lasy w Sudetach, metale ciężkie z Huty Siechnice trafiające wprost do Odry i wrocławskich ujęć wody, afera z ołowicą upośledzającą dzieci w katowickich Szopienicach i cały Śląsk duszący się od trujących wyziewów. W 1988 r. 40 proc. polskich wód nie nadawało się nawet do celów przemysłowych, a tylko 11 proc. zanieczyszczeń gazowych było w jakikolwiek sposób wychwytywanych. Polki i Polacy w tamtym czasie bardzo bezpośrednio doświadczali konsekwencji wieloletniej degradacji środowiska przyrodniczego.

W 2021 r. Zofia Bieńkowska, Piotr Drygas i Przemysław Sadura przygotowali raport „Nie nasza wina, nie nasz problem. Katastrofa klimatyczna w oczach Polek i Polaków podczas pandemii". Na potrzeby swoich badań przeanalizowali w nim także dane CBOS dotyczące społecznych obaw o stan środowiska naturalnego. Okazało się, że w całej historii ostatniego trzydziestolecia największy odsetek osób, które opisywały te obawy jako „duże" albo „bardzo duże", był właśnie na przełomie lat 80. i 90. Wynosił 78 proc. populacji i nigdy później tego pułapu nie osiągnął. Wtedy też była najwyższa społeczna gotowość do ponoszenia wyrzeczeń na rzecz przyrody. Najniższy poziom tych obaw był w przededniu wejścia Polski do UE, potem świadomość ekologiczna zwiększyła się delikatnie, a od czasu nagłośnienia problemu smogu w największych polskich miastach zaczęła rosnąć już wyraźnie. Ale nawet dziś, po raportach Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatu (IPCC) i kilku falach zabójczych upałów, nie dobiliśmy do tego poziomu strachu przed degradacją środowiska, jaki towarzyszył nam u zarania III RP. Według najnowszego pomiaru, z 2018 r., wynosi on 68 proc. Ciągle jednak rośnie.

I to może być klucz do zmiany, która nadchodzi, choć nie wszyscy ją jeszcze widzimy. Wskazuje na to w artykule dla internetowego magazynu „Dwutygodnik" Rafał Matyja: „Większość programów klimatycznych apeluje do lepszej strony człowieka: do jego odpowiedzialności, solidarności międzypokoleniowej. Tymczasem jedno z podstawowych pragnień nowoczesnego człowieka, jakim jest zdrowe życie, może być silniejszą i skuteczniejszą ramą działania zbiorowego". Wraz z pandemią, rozpędzającą się katastrofą klimatyczną i postępującym załamaniem bioróżnorodności wkraczamy w epokę samonapędzających się kryzysów, które będą odciskać coraz większe piętno na naszym zdrowiu.

Być może właśnie troska o nie pozwoli nam podjąć w końcu działania prowadzące do ocalenia planety.

© FILIP SPRINGER

Autor jest reportażystą i fotoreporterem dokumentującym przemiany polskiej przestrzeni. Opublikował m.in. „Miedziankę. Historię znikania", „Źle urodzone. Reportaże o architekturze PRL-u", „13 pięter" i „Miasto Archipelag. Polskę mniejszych miast". Wraz z Julią Fiedorczuk prowadzi w ramach Instytutu Reportażu Szkołę Ekopoetyki.

SEAN GALLUP / GETTY IMAGES

Wolontariusze na Odrze w okolicach miejscowości Widuchowa, 17 sierpnia 2022 r.

Śnięte służby

JACEK ENGEL, PREZES FUNDACJI GREENMIND:

Jedno zaskoczyło mnie pozytywnie: rośnie gniew ludzi na to, jak Polska postępuje z przyrodą. Zbiorowy pozew przeciw państwu – za narażenie rzeki, zwierząt i ludzi – nie jest wykluczony.

MARCIN ŻYŁA: Kto w Polsce odpowiada za rzeki?

JACEK ENGEL: Kilka instytucji. Jest Główny Inspektorat Ochrony Środowiska i podległe mu inspektoraty wojewódzkie. Badają jakość wód – teoretycznie, gdy zgłaszany jest incydent, ich pracownicy powinni pobrać próbki. Druga instytucja to Generalna Dyrekcja Ochrony Środowiska, która odpowiada za obszary chronione, obszary Natura 2000, monitoruje ochronę gatunków i siedlisk oraz nadzoruje dyrekcje regionalne. Trzecia – Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie – odpowiada za ochronę wód, ich wykorzystanie gospodarcze i ochronę przeciwpowodziową.

Do tego trzeba dodać parki narodowe zarządzające zasobami wodnymi w swoich granicach. Oraz samorządy, które pobierają wodę z ujęć powierzchniowych lub podziemnych i po oczyszczeniu oddają ją najczęściej do rzek.

Czyli jakość, przyrodę i infrastrukturę nadzoruje się osobno. To nasza specyfika?

Przychodzą mi na myśl angielska Environment Agency oraz jej szkocka odpowiedniczka, które kompetencje te gromadzą w jednym miejscu. W Polsce również powinna powstać agencja ds. środowiska, która odpowiadałaby i za obszary chronione, i za jakość wód. Mająca w dodatku uprawnienia policji środowiskowej. Teraz wojewódzkie inspektoraty ochrony środowiska pracują od poniedziałku do piątku, od 7 do 15.

Wody Polskie to instytucja-kuriozum. Podlega ministrowi infrastruktury, odpowiada zarówno za planowanie, zarządzanie i osiąganie tzw. celów środowiskowych wód, jak i za inwestycje wodne. Wydaje pozwolenia wodnoprawne na budowle, które zresztą buduje – czyli jest sędzią we własnej sprawie. Zakres uprawnień jest bardzo szeroki – w praktyce wszystko, co dzieje się na jeziorach i rzekach Polski, zależy od decyzji Wód Polskich. Instytucję wzorowano na Lasach Państwowych i podobny jest też brak kontroli społecznej, którym obie się charakteryzują.

Kłopot w tym, że jedna agencja ds. środowiska musiałaby godzić interesy ekologii i gospodarki.

Niekoniecznie. To samorząd czy państwo byłyby np. inwestorami nowej zapory, natomiast agencja decydowałaby, czy inwestycja jest do zaakceptowania z punktu widzenia środowiska. Funkcje decyzyjno-planistyczne powinny zostać oddzielone od inwestycyjnych.

Mam szacunek do wielu kompetentnych pracowników Regionalnych Dyrekcji Ochrony Środowiska. Ale te instytucje nie pełnią funkcji, dla której zostały powołane. Dotyczy to nie tylko rzek. Polskie służby ochrony przyrody jakby wyginęły.

Co je zabiło?

W urzędach państwowych odpowiedzialnych za ochronę środowiska decyduje polityka. Ograne powiedzenie: „mierny, ale wierny” – bardzo do nich ↦

↦ pasuje. Kiedy próbowaliśmy wspólnie coś uzgadniać, od pracowników Wód Polskich, nawet tych wysokiego szczebla, wielokrotnie słyszałem: „I tak zdecyduje centrala". Bez aprobaty prezesa żaden dyrektor regionalny nie podejmie ważnej decyzji.

Wie pan, cieszę się, że w czasie katastrofy ekologicznej na Odrze nie doszło do poważniejszych katastrof ludzkich. Jedynym – mam nadzieję – utrudnieniem dla mieszkających nad rzeką jest smród rozkładających się ryb. Współczuję oczywiście biznesom, które mogą upaść.

Mogło dojść do czegoś gorszego?

Wystarczy, żeby sprawcą katastrofy była niezwykle toksyczna rtęć – ludzie, którzy wyciągali z wody te ryby lub mieszkali nad rzeką, byliby chorzy, mielibyśmy zgony. Mam wrażenie, że przez to, że rząd wciąż bagatelizuje sytuację, świadomość, iż mogło wydarzyć się większe nieszczęście, nie przebija się do opinii publicznej.

Sprawa wybuchła tydzień przed naszą rozmową...

Przepraszam, że przerwę, muszę zaprotestować. Na Odrze śnięcia ryb raportowano już 25 lipca – to ponad trzy tygodnie temu. Na Kanale Gliwickim i Kanale Kędzierzyńskim zgłaszano je już w marcu i kwietniu! Ta katastrofa nie spadła jak meteoryt tunguski. Ale nie wierzę w to, że jej sprawca zostanie wskazany.

Śledztwo państwowe nie ustąpi przed ewentualnym śledztwem obywatelskim?

Aby powiodło się śledztwo obywatelskie, musimy mieć wyniki analiz z samego początku katastrofy. Tymczasem ryby, które umarły pod koniec lipca, zawieziono do Państwowego Instytutu Weterynaryjnego w Puławach, gdzie uznano, że nie da się ich zbadać, ponieważ brakuje odczynników. Ryby zutylizowano. Teraz ten sam instytut prowadzi badania przyczyn katastrofy. Niestety, takie informacje powodują, że brakuje mi wiary w skuteczność państwa.

Teraz najważniejsze jest zbieranie dowodów?

Jako Koalicja Ratujmy Rzeki i Fundacja Greenmind staramy się zebrać wiarygodne dane na temat strat w rybach. Bo służby państwowe cały czas operują „tonami", „kilogramami" i „workami", a nikt nie sprawdza, jakich gatunków dotknęła katastrofa na Odrze, czy były wśród nich gatunki chronione, w jakiej liczebności, gdzie...

ARCHIWUM PRYWATNE

JACEK ENGEL jest prezesem Fundacji Greenmind, która działa na rzecz zmiany polityki państwa w zakresie ochrony przyrody, i członkiem Koalicji Ratujmy Rzeki. Były członek Krajowej Komisji ds. Ocen Oddziaływania na Środowisko oraz Państwowej Rady Ochrony Przyrody; autor ekspertyz i publikacji dotyczących m.in. gospodarki wodnej i jej oddziaływania na środowisko.

Co zrobią Państwo z tymi danymi?

Mamy trzystopniowy plan oceny strat – metodyczny, skonsultowany z naukowcami. Zebranie danych na temat ryb, które poszły do utylizacji, zajmie kilka tygodni. Następnie ocenimy liczebność tego, co zostało w Odrze. Może to zająć miesiąc-dwa. Nie zamierzamy odpuszczać. Nawet jeśli konkretny sprawca nie zostanie wskazany, mamy jeszcze państwowe organy i osoby, które są odpowiedzialne za zaniechanie monitorowania stanu rzeki.

Pozwiecie w sądzie państwo polskie?

Zastanawiamy się nad tym. Wie pan, jedna rzecz zaskoczyła mnie pozytywnie. Pamiętam falę poparcia Polaków dla wolnych sądów. Teraz, takie mam wrażenie, gniew ludzi na to, jak postępujemy ze środowiskiem, jest dużo większy. Myślę, że taki zbiorowy pozew – za narażenie rzeki, zwierząt i ludzi – nie jest wykluczony. Byłby to pozew w sprawie imposybilizmu państwa, który doprowadził do zabicia rzeki.

Pana obserwacje o gniewie Polaków potwierdzałyby dokonane przez premiera szybkie dymisje. Rządzący analizują nastroje – chyba z słupków wyszło, że lepiej działać.

Reakcja wcale nie jest odpowiednia. Pierwszy, który powinien zostać zdymisjonowany, Marek Gróbarczyk, wiceminister w resorcie infrastruktury odpowiedzialny za gospodarkę wodną – ma się świetnie. A zdymisjonowany według deklaracji premiera prezes Wód Polskich formalnie jest na urlopie.

Co straciliśmy wraz z Odrą?

Jest to rzeka częściowo uregulowana oraz, na nieszczęście, skanalizowana, czyli poprzegradzana stopniami wodnymi. Ale poniżej ostatniego stopnia w Malczycach Odra jest rzeką płynącą w miarę swobodnie, w niektórych miejscach ma szerokie międzywale, gdzie jest dużo lasów łęgowych. Jest tu jeden z najcenniejszych fragmentów takiego lasu w całej Europie, gdzie gatunkami dominującymi są jesiony i wiązy. Odra ma również ogromny potencjał renaturyzacji – w wielu miejscach można odsunąć od niej wały, odtwarzając naturalne tereny zalewowe. Ma to również znaczenie dla zwiększania bezpieczeństwa powodziowego, bo rzeka, zamiast domów, zalewa właśnie lasy łęgowe, które to kochają. Minimalizuje to też skutki suszy – rzeka swobodnie płynąca, meandrująca, gromadzi wodę w czasie jej nadmiaru i oddaje podczas niedoboru.

I co z tego straciliśmy w ostatnich tygodniach?

Zatrucie spowodowało degradację całego ekosystemu Odry. Z jednej strony mamy miliony zabitych ryb. Ale też sygnały o małżach i ślimakach. Z pewnością w dużej części wyginęły organizmy denne. To bezkręgowce, które są pokarmem dla innych organizmów ekosystemu rzeki – nie tylko ryb, ale też np. ptaków. Odra straciła swoje funkcje.

Rzeki generalnie składają się ze zwierząt, roślin, tego, co jest rozpuszczone w wodzie, unoszone w toni wodnej i toczone po dnie, oraz z wody. Teraz Odra składa się głównie z wody i rozkładających się organizmów.

To już nie tylko Odra. Z dwóch sąsiadujących ze sobą powiatów na południu Polski w ostatnim czasie dochodziły sygnały o lokalnych podtruciach w Czarnym Dunajcu,

Rabie i Czarnej Orawie. Przekładając to na całą Polskę – jaka jest tego skala?

Najlepiej oddają ją statystyki mówiące o tym, które rzeki w Polsce nie osiągnęły docelowego „dobrego” albo „bardzo dobrego” stanu tzw. jednolitych części wód. Obecnie wskaźnik ten wynosi 96 proc., co oznacza, że zaledwie 4 proc. rzek jest w dobrej kondycji.

Wracamy do początku rozmowy – mówił Pan o inspektoratach ochrony środowiska, które działają „od–do”.

W piątki po południu można do rzeki „bezpiecznie” wypuścić wszystko. Nie ma oficjalnych danych, ale bazuję teraz na zgłoszeniach, które docierają do Koalicji Ratujmy Rzeki. W zasadzie w każdy weekend do polskich rzek wypuszczane są ścieki. Mamy wiele oczyszczalni ścieków, prawie wszystkie zbudowano z dużym udziałem środków unijnych. Ale koszty utrzymania tych oczyszczalni są bardzo wysokie. Oczyszczalnie redukują je, spuszczając do rzek nieoczyszczone ścieki w piątki i soboty, mając absolutną pewność, że do poniedziałku nikt tego nie skontroluje.

Ale przecież o tym wszystkim wiedzą np. pracownicy oczyszczalni, urzędnicy gminni.

Zgoda, ale dowodem w sprawie jest zbadanie jakości wody. Jeżeli oczyszczalnia spuści nieczyszczone ścieki w piątek, to zanim w poniedziałek Wojewódzki Inspektorat Ochrony Środowiska się ogarnie, ścieki znajdą się już dużo niżej, rozcieńczone i po sprawie. Wszystko się rozpłynie.

Albo inaczej: gdy będziemy mieli farta, to się rozpłynie. Zazwyczaj się rozpływa, choć i tak nie pozostaje obojętne dla całej rzeki. Ale gdy nie mamy farta – jak w przypadku Odry – zanieczyszczenia płyną do samego ujścia.

> W urzędach państwowych odpowiedzialnych za ochronę środowiska decyduje polityka. A Wody Polskie to instytucja-kuriozum.

Kto najbardziej truje rzeki – samorządy, przedsiębiorcy czy mieszkańcy?

Najgorsze są zanieczyszczenia rolnicze, tzw. spływ powierzchniowy. To środki ochrony roślin oraz nie w pełni wchłonięte przez rośliny nawozy, które powodują eutrofizację, czyli przeżyźnienie rzek.

Jest jeszcze jedno, nieoczywiste źródło lokalnych katastrof: zanieczyszczenia termiczne, czyli zrzuty z elektrowni węglowych, które używają wody do chłodzenia. Większość polskich elektrowni i elektrociepłowni ma tzw. otwarte systemy chłodzenia. Pobiera wodę z rzeki, używa jej do chłodzenia reaktorów produkujących prąd lub ciepło, a następnie – już podgrzaną – zrzuca z powrotem do rzeki. Powoduje to znaczny wzrost temperatury wody w rzece, co, szczególnie latem, może być śmiertelne dla wielu organizmów. Oznacza to też ogromne straty wody – ciepła woda paruje dużo szybciej niż zimna.

Mówił Pan o tym przeczuciu, że fala społecznego gniewu w kwestii ochrony przyrody jest dziś większa niż kiedykolwiek. Po katastrofie pod Szczekocinami zmieniły się polskie koleje. Może po Odrze zmieni się ochrona wód?

Mam tyle lat, że powinienem być realistą. Ale ciągle jestem optymistą. Gdybym nie wierzył, że jakaś zmiana może nastąpi, przestałbym się tym zajmować.

Z drugiej strony w marcu jako Koalicja Ratujmy Rzeki napisaliśmy krótki manifest dotyczący tego, co powinno się zmienić w polskiej gospodarce wodnej. Wysłaliśmy go do rządzących i wszystkich partii opozycyjnych. Jedyna odpowiedź przyszła z partii Razem. Nikt inny nie zareagował. A przecież grzechy w zarządzaniu wodą to nie tylko wina PiS.

©℗ Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Uderz w stół

„Oto są słowa, które wypowiedział Mojżesz do całego Izraela...” (Pwt 1, 1). Niniejszym rozpoczyna się – zajmująca pierwszych trzydzieści rozdziałów niewiele już dłuższej Księgi Powtórzonego Prawa – trzyczęściowa mowa Mojżesza. Talmud skrupulatnie wylicza, że minęły dopiero trzy dni od śmierci Aarona (por. Lb 33, 39), dlaczego więc Mojżesz publicznie naucza, miast poczekać, aż dobiegnie końca siedmiodniowy okres ścisłej żałoby po bracie? Najwidoczniej to stan wyższej konieczności: lud w tym momencie potrzebuje swego przywódcy, jego słów spragniony jest „cały Izrael”.

Jeden z komentatorów stwierdza, że w Torze Nasz Nauczyciel zwraca się zwykle do dzieci Izraela oraz dochodzi do wniosku, że określenie „Izrael” odnosi się do przywódców, a „dzieci Izraela” – to cały lud. Mojżesz wygłasza tu napomnienie, kieruje więc swoje słowa do przywódców, którzy następnie przekażą je ludowi. Przysłowie żydowskie mówi, że „lepszy jest policzek wymierzony przez mędrca niż pocałunek głupca”. Napomnienie, jakkolwiek raniące, za którym stoi prawdziwa troska o krytykowaną osobę, lepsze jest od „miodopłynnych peanów”. Najwyższy sprawia, że błogosławieństwo płynie z ust nieprzychylnego Izraelitom proroka Balaama, zaś krytykę ludu o twardym karku pozostawia Mojżeszowi. Egzegeta wszech czasów zauważa, iż w mowie o przewinieniach Izraelitów obecne są jedynie delikatne aluzje i oględne wyrażenia.

Jeden z rabinów wygłosił w szabat w swojej synagodze płomienną mowę dotyczącą przestrzegania szabatu. Na efekty nie musiał długo czekać – już nazajutrz do jego domu wdarł się wzburzony bogacz. „Czy rabin nie zdaje sobie sprawy, że publiczne zawstydzanie członków społeczności jest gorsze od łamania szabatu? Proszę pamiętać, że lwia część pensji rabina pochodzi z mojej kieszeni!”. Rabin w odpowiedzi stwierdził jedynie, iż kapelusz bogacza pasuje jak ulał. Ten, choć trochę zaskoczony ripostą, kontynuował wylewanie swych żalów. W końcu rabinowi udało się przerwać potok jego wymowy. „Ależ ci do twarzy w tym kapeluszu! Czy został zrobiony na zamówienie?”. Bogacz zaprzeczył: „Poszedłem do kapelusznika i wybrałem ten, który najlepiej leżał”. „Dlaczegóż więc masz do mnie pretensję?” – przeszedł do ofensywy rabin. „W zeszły szabat mówiłem o dobroczynności. Nazajutrz odwiedził mnie pewien skąpiec i zgłaszał pretensje podobne do twoich. W mowach szabatowych poruszam kwestie związane z przestrzeganiem różnych przykazań. Nie mam nikogo szczególnego na myśli. Jestem jak twój kapelusznik, który wystawia na sprzedaż wiele nakryć głowy. Każdy z klientów wybiera sobie ten kapelusz, który na niego pasuje”. Podobnie Mojżesz mówi w sposób zawoalowany – wystarczy, by uderzył w stół, a nożyce same się odezwą. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Zmarli, niech żyją

„Kiedy urządzasz obiad albo kolację, nie zapraszaj swoich przyjaciół ani braci, ani krewnych, ani bogatych sąsiadów, bo wtedy i oni zaproszą ciebie, żeby się odwdzięczyć. Ale gdy urządzasz przyjęcie, zaproś ubogich, ułomnych, kulawych i niewidomych, a będziesz szczęśliwy, bo oni nie mają się czym tobie odwdzięczyć. Będzie ci to odwzajemnione przy zmartwychwstaniu sprawiedliwych”. Tyle tylko, że dzisiaj to odwzajemnienie nie jest już takie oczywiste, jak było jeszcze do niedawna. Niebo, piekło, czyściec to nie są zagadnienia godne człowieka rozumnego, wykształconego, nowoczesnego. Z drugiej strony ten sam człowiek, zobojętniały na „metafizykę”, będąc w krańcowej sytuacji, zaczyna się za ową metafizyką rozglądać. Stąd podczas świeckich pogrzebów słyszymy, że zmarły na zawsze pozostanie, będzie żył w naszych sercach, w naszej pamięci, w swoich dziełach. Zwracamy się też do zmarłego jak do kogoś, kto słyszy i widzi. Czyżby ta dwuznaczność miała oznaczać, że mimo wszystko nie dowierzamy śmierci rozumianej jako unicestwienie?

Powiedzenie, że dzieje się tak ze strachu, jako że tonący nawet brzytwy się chwyta, jest niewystarczające. Znamy przecież ludzi, którzy przed śmiercią nie uciekają w panice, przeciwnie, mają odwagę wyjść jej naprzeciw i to zarówno w „rzeczach małych, jak i wielkich”. Takich jak choćby solidne wykonywanie codziennych obowiązków i takich jak praca w skrajnie niebezpiecznych warunkach na oddziałach covidowych czy wstępując do wojska. A może to przypominanie sobie o śmierci w chwilach grozy bierze się stąd, że burzy ona święty spokój znudzonych życiem, których niemało pod euroamerykańskim niebem. Wygląda więc na to, że wbrew przesławnemu OK tak naprawdę mamy dość tego życia, jakie mamy, i po co nam jeszcze jakieś wieczne życie. Jeśli nie strach, to co powoduje, że są ludzie złaknieni życia? Jezus mówi, że wdzięczność.

Pod koniec czerwca w lwowskiej, greckokatolickiej katedrze polowej nad trumną dwudziestosiedmioletniego żołnierza Artema Dymyda, syna księdza Michajła Dymyda, kapelana Majdanu, pierwszego rektora Lwowskiej Akademii Teologicznej, jego matka Iwanka Krypiakiewicz-Dymyd zaśpiewała kołysankę: „Oj le-lu-laj, oj le-lu-laj, / Dziecino moja (...) Ja jestem twoją kołysanką, / Będę kołysała / Małe dziecko, / Aż zaśnie”. A ojciec poległego obiecał: „Artemij, będziemy cenić życie lepiej niż wcześniej”. A potem dodał: „Możemy umrzeć za tę ziemię, ale jako chrześcijanie mamy perspektywę wieczności. Urodziliśmy się na wieczność”. A u nas znowu nadchodzi wrzesień, kiedy w 1939 r. „prosto do nieba czwórkami szli / żołnierze z Westerplatte”. „Kiedy wypełnią się dni”, trzeba będzie im i ich braciom krwi popatrzeć w oczy. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Obietnica

Oto obietnica wypowiedziana w imieniu Boga przez Ezechiela: „Zabiorę was spośród ludów, zbiorę was ze wszystkich krajów i przyprowadzę was z powrotem do waszego kraju. (...) I dam wam serce nowe i ducha nowego tchnę do waszego wnętrza, zabiorę wam serce kamienne, a dam wam serce z ciała. Ducha mojego chcę tchnąć w was (...). Wtedy będziecie mieszkać w kraju, który dałem waszym przodkom, i będziecie moim ludem, a Ja będę waszym Bogiem" (Ez 36, 23-28).

To obietnica dana Żydom w niewoli babilońskiej. Obietnica powrotu do domu – do Ziemi Obiecanej. Ale nie tylko. To także obietnica nowego ducha i nowego serca. Bóg, który leczy i naprawia – usuwa nie tylko objawy, ale również przyczyny dramatu. Nie mogą wejść do Ziemi Boga w duchu i z sercem, które nie są Boże. W Ziemi Boga nie można żyć inaczej, jak tylko w Bożym Duchu i z nowym sercem.

„Nowe serce" jest u Ezechiela nieco wcześniej nazwane również „jednym sercem" (zob. Ez 11, 19). Takiego właśnie – jednego – serca potrzebują, ponieważ przyczyną ich upadku i niewoli było serce podzielone: po śmierci Salomona stracili jedność – podzielili się na dwa państwa, rozdarte nawet w kulcie jedynego Boga. Potrzebują jednego serca, gdyż za gwarancję jedności nie wystarczą wyłącznie granice jednego, niepodzielonego państwa. Jedność nie może się sprowadzać wyłącznie do jedności zewnętrznych struktur i reguł. Jeśli ma być rzeczywista – musi sięgnąć poziomu serca. Tak było wtedy. I tak jest dzisiaj.

Wiemy, że Bóg – po 50 latach (edykt Cyrusa: 538 BC) – wypełnił daną obietnicę. Jako chrześcijanie wiemy również, że wszystkie obietnice Boże ostatecznie wypełniają się dopiero w Chrystusie. To w Nim wszystkie Boże obietnice są „Amen".

W przypadku rozważanej obietnicy z Ezechiela widać to przepięknie – w rozmowie z Nikodemem Jezus formułuje zdecydowaną zasadę: „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci, jeśli się ktoś nie narodzi z wody i z Ducha, nie może wejść do królestwa Bożego" (J 3, 5). Naszą Ziemią Obiecaną jest Królestwo Boże – nie da się ani do niego wejść, ani w nim żyć inaczej, jak tylko mocą nowego – Bożego Ducha, który staje się w nas zasadą nowego Życia! Rodzimy się z Niego na mocy Jezusowej śmierci („Jeśli odejdę, poślę Go do was"), z samego środka wydarzeń Paschalnych („Tchnął na nich, i powiedział: Weźmijcie Ducha Świętego").

Ci, którzy żyją w Duchu, otrzymują też jedno serce. Mówi o tym dosłownie tekst z Dziejów Apostolskich: „Jeden Duch i jedno serce ożywiały wszystkich wierzących. Żaden nie nazywał swoim tego, co posiadał, ale wszystko mieli wspólne" (Dz 4, 32). ©

Ludzie dobrzy i mili Bogu
otwarcie stawiają
opór zło czyniącym,
gdy tamci są w pobliżu.
Gdy tamtych nie ma
– ani sami im nie złorzeczą,
ani nie pozwalają napadać
na nich słowem.

PRZYPISYWANE ANTONIEMU WIELKIEMU

Któż jest tak wielki,
by los nie mógł go zmusić
do szukania pomocy
nawet u najnędzniejszych
z ludzi?

SENEKA

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (28 VIII – 4 IX)

22. niedziela zwykła: Syr 3, 17-18. 20. 28-29; Ps 68; Hbr 12, 18-19. 22-24a; Łk 14, 1. 7-14;
Poniedziałek: Jr 1, 17-19; Ps 71; Mk 6, 17-29;
Wtorek: 1 Kor 2, 10b-16; Ps 145; Łk 4, 31-37;
Środa: 1 Kor 3, 1-9; Ps 33; Łk 4, 38-44;
Czwartek: 1 Kor 3, 18-23; Ps 24; Łk 5, 1-11;
Piątek: 1 Kor 4, 1-5; Ps 37; Łk 5, 33-39;
Sobota: 1 Kor 4, 6-15; Ps 145; Łk 6, 1-5;
23. niedziela zwykła: Mdr 9, 13-18; Ps 90; Flm 9b-10. 12-17; Łk 14, 25-33.

A MOGLIBY LEŻEĆ NA KANAPIE

Terytorialsi zyskali sympatię Polaków pomagając przy wschodniej granicy, przy szczepieniach, powodziach, odśnieżaniu i pożarach. Czy takie doświadczenie wystarczy, żeby nas obronić w czasie wojny?

TEKST: DARIUSZ KAŁAN, ZDJĘCIA: KASIA STRĘK

Niedzielne popołudnie. Trzydziestostopniowy upał. W lasach Jeżewa niedaleko Łodzi rozpoczyna się szkolenie rekrutów Wojsk Obrony Terytorialnej. 20-letni Marcel mógłby w tym czasie – tak jak wielu jego rówieśników – oglądać filmy albo patrzeć w smartfon. Zamiast tego ten świeżo upieczony absolwent technikum informatycznego z Radomska pod Częstochową biega w ukropie w hełmie i oliwkowym mundurze z ważącym prawie cztery kilogramy karabinem na ramieniu.

Z pozostałymi 46 osobami przez 16 dni będzie się uczył dopasowania indywidualnego sprzętu żołnierza, podstaw taktyki, postaw strzeleckich, no i – *crème de la crème* – obsługiwania karabinka szturmowego grot. Na końcu złoży przysięgę.

– Rok temu byłem nieśmiały i cichy – przyznaje Marcel. – Dziś bardziej zdecydowany jestem. Wojsko mnie otworzyło.

Decyzję o wstąpieniu do obrony terytorialnej podjął w listopadzie, trzy miesiące przed inwazją Rosji na Ukrainę. Rolę w tym wyborze odegrały uczucia patriotyczne, wszak – jak mówi – „ojczyzna jest najważniejsza zaraz po rodzinie". Ale najbardziej skusił go reżim życia wojskowego i możliwość rozwoju osobistego. – W wojsku podoba mi się to, że oferuje jasne zasady, stabilność, poczucie hierarchii – wylicza i dodaje, że złożył papiery na warszawską Wojskową Akademię Techniczną. – Nie muszę sam o wszystkim myśleć, niektórzy wiedzą lepiej.

Duma Macierewicza

Marcel jest za młody, by pamiętać, że kiedy prezydent podpisywał w grudniu 2016 r. ustawę powołującą WOT jako piąty rodzaj Sił Zbrojnych RP, krytycy ostrzegali, iż ówczesny minister obrony Antoni Macierewicz buduje swoją prywatną armię. – Sam należałem do tej grupy – mówi Paweł Krutul, poseł Lewicy z sejmowej komisji obrony narodowej.

Bo terytorialsi składają się w 90 proc. z ochotników, nie zawodowych żołnierzy. Bo podlegają bezpośrednio ministrowi, nie szefowi sztabu generalnego, jak pozostałe siły zbrojne. Bo ich twórca traktował ich z wyjątkową czułością, chociażby wskazując WOT jako kontynuatora dziedzictwa i tradycji Armii Krajowej. Wszystko to skłaniało oponentów do nieufności wobec nowych formacji.

Zwolennikiem ich powstania był za to generał Waldemar Skrzypczak, były dowódca wojsk lądowych i wiceminister obrony (2012-13). – Macierewicz wykorzystał to, co było zaniedbaniem poprzedników – twierdzi. – Można go nie lubić, ale za to, że podjął decyzję o utworzeniu WOT, trzeba docenić. Z punktu widzenia wojskowego była uzasadniona.

Dziś przyznaje to także Krutul: – Okazało się, że wojsko nie da się sprowadzić do partyjnej roli. Tym bardziej że terytorialsami dowodzą byli komandosi i gromowcy, czyli „śmietana śmietany".

Macierewicz obiecał WOT nowoczesny sprzęt, w tym drony bojowe, i przekonywał, że do końca 2019 r. w szeregach formacji będzie służyć 53 tys. żołnierzy. Dronów nie ma do dziś, a zapowiadany pułap obrona terytorialna ma osiągnąć dopiero za cztery lata; obecnie liczy 32 tys. żołnierzy. – WOT jest, jaki jest. Trzeba go doskonalić – uważa Skrzypczak. – Ale szukanie powodów, by go deprecjonować, nie ma uzasadnienia, szczególnie w obecnej sytuacji na wschodzie.

Właśnie kryzysy na granicach z Białorusią i Ukrainą przekonały sceptyków, że formacje z lekkim uzbrojeniem, wywodzące się z lokalnej społeczności, służące w miejscach zamieszkania i znające ukształtowanie terenu, są dobrym uzupełnieniem wojsk operacyjnych. Po-

Ćwiczenie postaw strzeleckich w ośrodku szkoleniowym w Jeżewie koło Łodzi, 26 czerwca 2022 r.

seł Krutul zabiega teraz o otwarcie jednostki WOT w Bielsku Podlaskim. – Graniczymy z niestabilną Białorusią i każde wzmocnienie militarne dla nas, Podlasian, jest ważne. To też szansa na zatrzymanie odpływu młodych z regionu – tłumaczy.

Podczas obrad komisji obrony poseł Krutul przyznał, że pomylił się w ocenie WOT, i przeprosił ich dowódcę, generała Wiesława Kukułę.

Społeczeństwo w soczewce

Żeby zostać żołnierzem WOT, trzeba skończyć 18 lat, mieć czystą kartotekę karną i podejść do testu sprawności fizycznej. – Mój wynik nie był zachwycający – mówi Marcel, szkolący się w ośrodku 9. Łódzkiej Brygady Obrony Terytorialnej.

Dobra wiadomość dla niego jest taka, że nikogo nie można oblać. Rekrut dostaje wytyczne, co musi poprawić, i ponownie podchodzi do testu po roku.

Profil rekrutów jest zróżnicowany. To nie tylko młodzi ludzie zniechęceni chaosem współczesnego świata, jak Marcel. – Tu jest przekrój całego społeczeństwa – wyjaśnia Małgorzata Glińska, rzeczniczka prasowa 9. Łódzkiej Brygady OT, która przysłuchuje się naszej rozmowie. – Mamy PESEL-e od 1968 do 2004 roku. Jest prawnik, radny, nauczyciel historii, dyrektor szkoły... To są zazwyczaj ludzie, którzy mają swoje życie zawodowe. Odsetek bezrobotnych jest niewielki.

Według dowództwa WOT blisko połowa żołnierzy ma wykształcenie średnie (46 proc.), a jedna trzecia – wyższe (32 proc.). Większość pracuje na umowie o pracę (56 proc). Dużo jest studentów (18 proc.), niemal tyle samo osób bez stałej pracy, przy czym w tej grupie są pracujący na umowy-zlecenia. Kobiety stanowią blisko 20 proc. Średni wiek żołnierza WOT to 33 lata. – To nie jest tak, że na wcielenie przychodzą ludzie, którzy nie wiedzą, co ze sobą zrobić – uśmiecha się Glińska.

Blisko ludzi, daleko od wojska?

Wydarzeniem, które sprawiło, że poseł Krutul zmienił zdanie o WOT, był pożar Biebrzańskiego Parku Narodowego w kwietniu 2020 r. To właśnie żołnierze WOT ruszyli na pomoc strażakom i leśnikom. Wyróżnili się też przy usuwaniu skutków powodzi, zamieciach śnieżnych, pobieraniu wymazów na COVID-19. Takimi działaniami blisko ludzi zyskali sympatię i szacunek wielu Polaków.

Tyle że WOT to przecież siły wojskowe. – Terytorialsów wykorzystuje się do wszystkiego i przerzuca w różne miejsca, co jest sprzeczne z ideą terytorialności – mówi Tomasz Siemoniak, były minister obrony (2011-15) w rządzie PO-PSL. – Tymczasem powinni być elementem lokalnej obrony przed wrogiem. W skrajnych przypadkach mogą pracować przy pożarach czy powodziach, ale co ↦

↦ do zasady powinni stanowić stricte wojskową część systemu państwa.

Jest szansa, że zadania niemilitarne przejmie obrona cywilna, która w tej chwili istnieje tylko na papierze. O ile wejdzie w życie ustawa o ochronie ludności, zapowiedziana przez Jarosława Kaczyńskiego w połowie czerwca.

Obecnie rekruci zaczynają przygodę z WOT od 16-dniowego treningu podstawowego, takiego jak w Jeżewie. Potem przez 11 miesięcy spotykają się w jeden weekend każdego miesiąca, a rok kończą dwutygodniowym kursem podsumowującym. W pierwszym roku zatem żołnierz w sumie może uzbierać ok. dwóch i pół miesiąca faktycznego szkolenia, a w kolejnych (służba trwa maksymalnie sześć lat) – po 36 dni. – Ja jestem stary szkoleniowiec – komentuje generał Skrzypczak. – Szkolenie to lata ciężkiej orki polowej. Jeśli ktoś mówi, że w takim czasie wyuczy żołnierza, mówi nieprawdę.

Z tych niedoskonałości zdaje sobie sprawę Bartosz Kownacki, współpracownik Antoniego Macierewicza i były wiceminister obrony (2015-18) z PiS. – WOT jest formacją stale uczącą się. Na początku zawsze możliwe są błędy – przyznaje i przypomina, że proces formowania jednostek zakończy się dopiero, kiedy przekroczą one 50 tys. żołnierzy. – Terytorialsi to osoby, które na co dzień pracują albo się uczą – tłumaczy. – Mogą szkolić się dłużej, o ile pozwoli na to ich sytuacja zawodowa czy rodzinna. Życzyłbym sobie, aby każdy z krytyków WOT choć na dwa dni ubrał oliwkowy beret i mundur. Wtedy zauważy, jak wielkim poświęceniem jest służba w formacji. Ci ludzie czas wolny przeznaczają na kształcenie dla Polski. A mogliby leżeć na kanapie i oglądać telewizję.

Polka-patriotka

Czas wolny na kształcenie dla Polski przeznacza Małgorzata, 33-letnia dyrektorka banku z Tomaszowa Mazowieckiego; jedna z sześciu kobiet, które trafiły na szkolenie w Jeżewie.

Stoimy w pełnym słońcu, a ta drobna dziewczyna dźwiga na sobie ponad trzydziestokilogramowy ciężar, na który składają się kamizelka kuloodporna, hełm, plecak i karabin. Także z tego powodu szkolenie uważa za „sprawdzian". – Czy podołam, czy dam radę... Również w sensie psychicznym, bo to normalne, że każdy jest fizycznie zmęczony. Ale czy wytrwam, czy się nie załamię – opowiada i dodaje z uśmiechem: – Nie ma taryfy ulgowej dla kobiet.

Chociaż na szkolenie zapisała się z potrzeby przetestowania własnej wytrzymałości, nie wyklucza, że po odbyciu trzyletniej służby w WOT wywróci swoje stabilne życia do góry nogami i będzie się ubiegać o przyjęcie do zawodowej służby wojskowej. – Jak zaczynałam pracę w banku, też byłam na najniższym stanowisku, potem ileś lat musiało minąć, żeby zapracować na sukces. Dla mnie to normalna ścieżka kariery – wyjaśnia.

Pytam, co znaczą dla niej ojczyzna i patriotyzm. – Wiadomo, w dzisiejszych czasach każdy inaczej pojmuje patriotyzm – odpowiada. – Są tacy, co wyjeżdżają i deklarują, że do Polski nie wrócą, bo im się nie podoba z różnych powodów. Ja nigdy nie wyrzekłabym się swojego kraju. Czuję się Polką-patriotką.

Walczyć za kraj? – No też, wiadomo, że to się z tym wiąże.

Umrzeć za kraj? – Jeśli będzie trzeba – mówi po chwili zastanowienia.

WOT widzę ogromny

Ryszard Jakubczak obroną terytorialną zajmuje się od blisko 30 lat. Poświęcił jej sześć książek i setki artykułów. Jego wnioski: WOT powinien zostać odciążony od zadań typu pomoc przy szczepieniach i odśnieżaniu. No i musi mieć charakter masowy. Tak było w czasach, które Jakubczak uznaje za szczytowy okres polskiej wojskowości, czyli panowanie Kazimierza Wielkiego w XIV wieku.

– Na wezwanie króla dorośli mężczyźni z klasy szlacheckiej tworzyli drużyny i ruszali do boju – tłumaczy Jakubczak, 71-letni emerytowany pułkownik Wojska Polskiego i wykładowca Wyższej Szkoły Policyjnej w Szczytnie. – A ci z klas uboższych byli przysposabiani do walki w miejscu zamieszkania. Kiedy widzieli, że przeciwnik się zbliża, szli za stodołę i uruchamiali środki, jakimi dysponowali. Czyli widły, kosy, grabie, byle trzymać wroga z dala od miast. To właśnie ówcześni terytorialsi.

Obrona powszechna w połączeniu z rozbudowywaniem twierdz i umocnień sprawiła, że – jak mówi Jakubczak – Kazimierz stał się europejskim mocarzem, a Polska była nie do ugryzienia. Dzisiejsza Polska jest do ugryzienia mimo obecności w NATO, rekordowego budżetu MON-u, zakupów nowoczesnego sprzętu i planów zwiększenia liczebności sił zbrojnych z obecnych 143,5 tys. żołnierzy do 300 tys. A WOT ze swoimi 32 tys. nie obroniłby nawet Warszawy.

– Potrzeba do tego 50-60 tys. uzbrojonych ludzi plus kolejnych 10 tys., którzy przy jej obrzeżach nie dadzą się rozwinąć artylerii i czołgom – wyjaśnia Jakubczak, wyraźnie przejęty. – My nie mamy obrony terytorialnej. Bo prawdziwi terytorialsi siedzą w gminie, maksymalnie w powiecie. Mają lekkie nowoczesne uzbrojenie typu drony, środki przeciwpancerne i przeciwlotnicze, a nie resztki spadające ze stołu wojsk operacyjnych. I jest ich tak dużo, że są wszędzie. Nikt bez walki nie może zająć ich rejonu.

Współczesną inspiracją dla Jakubczaka jest obrona terytorialna Ukrainy. Ludzie różnych zawodów zorganizowali się i bronili północy kraju w pierwszych tygodniach rosyjskiej inwazji. – Jak Rosjanie szli na Kijów, nie mogli rozwinąć artylerii i zająć stanowisk ogniowych, bo była obrona terytorialna – mówi Jakubczak. – Musimy kupować sprzęt, tak jak kupujemy, ale też przyuczać na masową skalę młodzież do obrony miejscowej. Tak to działa na Ukrainie.

Właśnie zabiłeś człowieka

Po rosyjskiej inwazji zainteresowanie służbą w formacji wzrosło siedmiokrotnie. Od stycznia do końca czerwca powołano 4799 osób, z czego 3604 – od marca.

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 511/21 postępowanie z wniosku wierzyciela – Gminy Jarocin – o stwierdzenie nabycia spadku po Jarosławie Kolińskim, zm. 17 października 2000 r., ostatnio zamieszkałym w Witaszyczkach. W skład spadku wchodzi nieruchomość położona w Witaszyczkach.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

– Chcą bronić siebie i ojczyzny. Sytuacja pokazała, że lepiej umieć obsługiwać broń, bo nigdy nie wiadomo, co się wydarzy – tłumaczy porucznik Paweł Pińkowski, 40-letni dowódca kompanii szkolnej 9. Łódzkiej Brygady Obrony Terytorialnej. – Szkolenie bywa ciężkie, dlatego staramy się dużo z nimi rozmawiać: co ich motywuje, jaką mają sytuację rodzinną, co się dzieje na wschodzie. Jesteśmy kolektywem, wspieramy się. Jak rodzina.

Przechadzamy się między rekrutami podzielonymi na grupy. Co jakiś czas Pińkowski dwa razy dmucha w gwizdek i mocnym donośnym głosem zarządza przejście do kolejnych zadań. – Mam troszeczkę doświadczenia i chciałbym je przekazać innym – mówi. W służbie zawodowej od 18 lat, ma za sobą udział w misjach w Iraku i Afganistanie. – Jedni uczą się szybciej, inni wolniej. Ale każdego jesteśmy w stanie nauczyć wojskowego rzemiosła. Na szczęście pracujemy z ludźmi, którzy chcą to robić i nie są przymuszani do służby.

W pewnym momencie niesie się – okraszany ostrym słownictwem – krzyk instruktora: „Właśnie zabiłeś człowieka!". Jeden z rekrutów bez komendy strzelił z karabinu do tarczy.

Pińkowski zerka na strzelnicę. – Lepiej, że dostaje burę tutaj, niż żeby miał popełnić taki błąd na polu walki – mówi.

Trening strzelecki ochotników 9. Łódzkiej Brygady Obrony Terytorialnej. Jeżewo, 26 czerwca 2022 r.

Jeden czołg i nic więcej

Kazus ukraiński nie dla wszystkich jest przykładem do naśladowania. Zdaniem generała brygady pilota Jana Rajchela tak duży udział wojsk terytorialnych w walce z rosyjskim agresorem wynikał z desperacji, nie strategii wojskowej. – To jest ostateczność, kiedy nie ma wyszkolonych na czas i odpowiednio wyposażonych wojsk operacyjnych – mówi mi Rajchel.

– Pomijając celowo dokonywane rosyjskie zbrodnie wojenne, większość strat wśród cywilów to właśnie wynik stosowanej przez Ukraińców obrony powszechnej – zaznacza. – Jeżeli do przeciwnika strzela się z każdego obiektu, to każdy taki obiekt i każdy człowiek stanowi potencjalne zagrożenie. To powoduje ogromne straty ludzkie i materialne.

Rajchel jest jednym z pięciu autorów raportu o WOT, który w 2018 r. przygotowała Fundacja Bezpieczeństwa i Rozwoju Stratpoints dla Biura Analiz Sejmowych. Chwalono w nim samo powołanie WOT. System obrony terytorialnej istniał bowiem już od 1959 do 1989 r., ale w wolnej Polsce mimo kilku prób nie udało się go odtworzyć. Raport krytycznie oceniał natomiast niskie wskaźniki skompletowania jednostek, niewystarczające szkolenie oraz podporządkowanie WOT ministrowi obrony, a nie szefowi sztabu generalnego. To ostatnie – efekt nieufności zespołu Macierewicza do ówczesnego kierownictwa armii – zrodziło obawy, że WOT jest formowany jako wojsko równoległe kosztem pozostałych sił zbrojnych.

Rajchel zwraca uwagę na coś jeszcze. – W przypadku konfliktu na naszym terytorium będziemy działać w układzie sojuszniczym. Kto zapewni sprawne współdziałanie przy takiej strukturze podporządkowania WOT? Kto im dostarczy kody identyfikacyjne? Precyzyjne rozkazy? Albo oni będą strzelać do wojsk własnych, albo sojusznicy do nich.

W jego koncepcji WOT ogranicza się do wspierania i uzupełniania rezerwami osobowymi wojsk operacyjnych. – Kiedy pierwszy czołg agresora przejedzie most na Bugu, zostanie zniszczony przez jednostki WOT. Kolejnymi czołgami zajmą się już wojska operacyjne, najlepiej na terenie przeciwnika. Rozpoznanie, system dowodzenia, broń precyzyjna i dalekiego zasięgu, obrona powietrzna – to są priorytety. Nie WOT.

Ojciec założyciel

Dotychczas w artykule nie pojawiło się ważne nazwisko: Grzegorz Kwaśniak. Ów emerytowany oficer Wojska Polskiego i doktor nauk wojskowych od lat związany z byłym ministrem obrony to twórca koncepcji terytorialsów. Obecnie nic go już nie łączy z resortem, tak samo jak Kownackiego i innych z ekipy Macierewicza. Na stanowisku pełnomocnika ds. WOT i tak wytrzymał długo: zrezygnował w lutym 2020 r., dwa lata po dymisji pryncypała.

– Biuro, którym kierował, zrealizowało cel i wyczerpało możliwości wpływania na WOT – wyjaśnia Michał Jach, szef sejmowej komisji obrony narodowej z PiS. – Chociaż może należałoby pułkownika Kwaśniaka... To znaczy każdy specjalista tej klasy powinien być zagospodarowany przez państwo.

Kwaśniaka odnajduję w Nysie w południowo-zachodniej Polsce. Prowadzi zajęcia z bezpieczeństwa w miejscowej Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej. Zapytany, czy nie czuje żalu, że Mariusz Błaszczak, następca Macierewicza, nie korzysta z jego umiejętności, głośno się śmieje. – Nie chodzi o żal, tylko moją wiedzę i doświadczenie. One się trochę marnują.

Powody odejścia tłumaczy dyplomatycznie: – Inne pomysły, inne koncepcje...

Chociaż Błaszczak nie znalazł czasu, żeby się z nim pożegnać, Kwaśniak nie ma pretensji. Jest też zadowolony z kierunku, w jakim zmierza WOT pod wodzą generała Kukuły. Jednak największą satysfakcję sprawia mu zmiana postawy dawnych krytyków. – Nie będę ukrywał, że cieszy mnie, iż przyjęli mój punkt widzenia – mówi. – Służy to Polsce i naszemu bezpieczeństwu.

© DARIUSZ KAŁAN

Puszcza domowa

ADAM ROBIŃSKI

Jeśli nie liczyć szkolnej wycieczki, na tym podwarszawskim szlaku przez dwa dni prawie nikogo nie spotkałem. W powrotnym autobusie wciąż słyszę ptasi trajkot.

Nie Grochów, tylko Brochów. Żeby w niedzielny poranek dostać się do wsi nad Bzurą, trzeba poprosić o podwózkę zaprzyjaźnionego kierowcę. Z Warszawy za Sochaczew to będzie godzina z groszami. Jedziesz przez płaską jak naleśnik krainę sadów i pól, i nagle zza horyzontu wyskakuje ceglasta twierdza z wieżami jak rakiety.

Las odebrał swoje

W całej Polsce jest tylko jeden taki kościół – trochę gotycki, trochę renesansowy, trochę romański, i na dodatek obronny. Architektoniczne kuriozum, ale takie, w którym ochrzcili Fryderyka Chopina. Tak się jakoś przyjęło, że Żelazowa Wola i Puszcza Kampinoska zrosły się w jeden turystyczno-krajoznawczy produkt, więc główny szlak Kampinoskiego Parku Narodowego nie zaczyna się w lesie, ale właśnie tu, pod murem brochowskiego kościoła, o którym przewodniki kurtuazyjnie mówią „unikatowy".

Fotografuję tabliczkę, bo określa mój plan na najbliższe dwa dni: „Dziekanów Leśny ZTM – 57,1 km", czerwonym szlakiem przez puszczę z zachodu na wschód. Ale na razie ten Brochów, betonowe popiersie Chopina, para łabędzi i sznur brzydkich kaczątek na starorzeczu Bzury. Niebo zasnute chmurami, szary chodnik pod nogami. Na północ, w prawo, potem w lewo i tak przez parę kilometrów, aż do nieprzerwanej linii sosen. Psy przekazują mnie sobie szczekaniem od furtki do furtki, więc pewnie budzę całą okolicę. Najgorsze świństwo, jakie można zrobić piechurowi? Zawiesić na płocie tabliczkę „Uwaga, zły pies", a potem zostawić bramę otwartą na oścież. Właściciel jeszcze gorszy.

W końcu pochłaniają mnie sosny, ale to nie jest jeszcze puszcza jako taka, tylko Borek Tułowicki, nieduża enklawa parku narodowego. Ledwie przekraczam linię drzew – świeże tropy łosia pod nogami. Rozglądam się na boki, szukam za sobą charakterystycznej sylwetki na tle niskich chmur, ale te odbite w piachu racice to będzie jedyny kontakt z najsłynniejszym mieszkańcem puszczy, jaki przez dwa dni nawiążę. Choć według szacunków władz parku łosi jest w Kampinosie ponad 400, to spotkania z nimi są niemal zawsze zaskoczeniem. Widywałem kampinoskie łosie w najróżniejszych miejscach i sytuacjach, ale nigdy wtedy, gdy mi na tym szczególnie zależało. Zresztą od kiedy obejrzałem „Ducha śniegów", dokument, w którym dwóch Francuzów, fotograf Vincent Munier i pisarz Sylvain Tesson, tropią w Tybecie śnieżną panterę, do serca wziąłem sobie utkany przez nich w przypływie oświecenia bądź frustracji bon mot: „Czcij to, co masz przed sobą, niczego nie oczekuj". Banalne i pomocne.

No to bez oczekiwań, przez tułowicki lasek, gdzie szlak kręci jak w labiryncie luster, a nad koronami słychać miarowe wycie syreny którejś z okolicznych ochotniczych straży pożarnych. W osadzie puszczańskiej PTTK trwają przygotowania do przyjazdu wąskotorówki z Sochaczewa. Wyleje się z niej kilkaset osób, siądą przy paru ogniskach i to będzie pewnie ich cały kontakt z puszczą, bo dalej na torach trwa wielkie zarastanie. Stal w objęciach mchu i jałowców. Las odebrał swoje. O kolei w Kampinosie – wąsko- i szerokotorowej – można by pisać prace doktorskie, ale jeśli chodzi o praktykę, trzeba się zadowolić tym skrawkiem torów. Wilcze Tułowskie to jedyna czynna stacja, o której można powiedzieć, że znajduje się w puszczy.

Za Tułowicami asfalt, kilometr, może dwa. W międzyczasie powitanie z Łasicą, rzeczką, która kiedyś płynęła, jak chciała, ale po XIX-wiecznych melioracjach nosi niechlubne miano kanału. Będę się z Łasicą witał jeszcze raz, po południu. Teraz skrajem asfaltu na północ, a potem już w prawo, w puszczę.

Jadwiga czeka

Niech to będzie krótka prezentacja dla tych, co go nie znają. Kampinoski Park Narodowy jest drugim w Polsce, jeśli chodzi o wielkość, i jednym z raptem paru na całym świecie, o których można powiedzieć, że sąsiadują ze stolicą kraju. Caracas, Nairobi, Wiedeń, Budapeszt i Warszawa. Choć kilka tutejszych rezerwatów istniało tu już przed wojną, park powołano dopiero w 1959 r. Nie wiem, czy Jadwiga i Roman Kobendzowie poznali się w puszczy, pewnym jest natomiast, że skrzyżowały się w niej ścieżki ich karier. Botanik i geografka – razem chodzili w teren i każde patrzyło na co innego. A potem opowiadali wszem i wobec, jakie to wszystko piękne i cenne. Wstęgę przecinała tylko ona – on zmarł, nie doczekawszy dnia ustanowienia Kampinoskiego Parku Narodowego. Ale to Roman ma dziś w puszczy dąb swojego imienia i kamień z tablicą. Jadwiga, matka Kampinosu, ciągle czeka na właściwe upamiętnienie.

O puszczy trzeba jeszcze wiedzieć, że nie byłoby jej bez Wisły, którą kilkanaście tysięcy lat temu lodowiec zawrócił z drogi na północ. Nigdzie indziej nie ma takiej mozaiki: taras zalewowy rzeki, pas wydmowy, bagna, znowu wydmy i jeszcze jedna tasiemka mokradeł. Przez to nie da się Kampinosu streścić na jednym zdjęciu. Fotografie muszą być co najmniej dwie. Prosta jak strzała droga wśród jagód i gonnych sosen to raz. Czarne olszowe tyczki, stagnująca woda, aromat zgnilizny i wszechobecna komaroza to dwa. A łoś? On się czuje dobrze i tu, i tu.

Na dobre między drzewami, od razu ustalam hierarchię dźwięków i zapachów. Późną wiosną będą to przede wszystkim zięby i konwalie. Ptasi przewodnik Collinsa mówi: piosenka wysoce charakterystyczna, powtarzana niestrudzenie, czysta, głośna, niemal trajkocząca, zakończona dziarskim zawijasem. Do tego aromat kwiaciarni, tak intensywny, że można paść z upojenia. Drogi pomylić się nie da, ale i tak czerwone znaki umieszczono zgodnie z turystycznym kanonem – tak, żeby z jednego widać było kolejny. Kiedy przecina tory – te same, które zjadają mech i jałowce – robię popas. Pierwszy tego dnia rowerzysta przelatuje przez kadr tak szybko, że chyba mnie nawet nie zauważa.

SZYMON BARNA / EAST NEWS

Obronny kościół w Brochowie, miejsce chrztu Fryderyka Chopina i początek szlaku przez Puszczę Kampinoską.

Szlak konwaliowy

Puszczańskie toponimy można przerabiać na poezję: Genewa Dzicza, Świńska Krzywda, Polski Grunt, i może jeszcze Parowy Dupne. Za każdym kryła się kiedyś jakaś historia, ale z nimi jest jak z wymierającymi językami – odchodzą wraz z ostatnimi ludźmi. Wysunięty najdalej na zachód obszar ochrony ścisłej nazywa się Czapliniec, bo w tamtejszych wiekowych sosnach gniazdowała kiedyś kolonia czapli. Po latach czaple się wyniosły, nazwa została. Ale to właśnie mniej więcej tu zaczyna się tzw. szlak konwaliowy, bo wiosną przez następnych 10 kilometrów – w tym kolejne obszary ochrony ścisłej – człowiek idzie pijany ich wonią.

Krzywą Górą nazywano kiedyś wydmę przy skrzyżowaniu szlaków czerwonego i żółtego, dziś raczej tę przy dębie Kobendzy. Ale zanim tam dojdę – leśniczówki. W okolicach Krzywej Góry są dwie. Trawy między nimi park kosił kiedyś tak uparcie, żeby jedna chałupa widziała się z drugą. W tej pierwszej, bliżej skrzyżowania, mieszkał leśniczy, któremu rysie zjadały kury. Ważniejsza jest druga, bo to w niej przez prawie 30 lat pomieszkiwał Lechosław Herz z żoną. Kto bywa w puszczy, Herza znać musi. To jemu Kampinos zawdzięcza szlaki, przewodniki, mapy, całą tę krajoznawczą osnowę, bez której człowiek byłby w parku narodowym tylko intruzem. Jak się ma szczęście, to można go wciąż podczas spaceru po puszczy spotkać.

Dom jak dom, prawdopodobnie powojenny, trochę nijaki, w stylu nadwiślańsko-zakopiańskim. Gdyby trochę bardziej odsunąć go od drogi, byłoby pewnie mniej komarów, powiedział mi kiedyś Herz, bo w letnie wieczory jest ich tyle, że trudno wysiedzieć na ganku. Mimo to, tak właśnie robili – siadali z żoną na pieńkach i słuchali wieczornej puszczy. A turyści, którzy akurat przechodzili pod płotem, tak się dziwili, że ktoś tu mieszka, że często zapominali się nawet ukłonić. „K+M+B 2017" – napis nad drzwiami jednoznacznie wskazuje, kiedy Krzywa Góra opustoszała. Spędzanie paru miesięcy w środku lasu stało się dla gospodarzy po prostu zbyt dużym wyzwaniem. Zostawili po sobie m.in. dąb posadzony na pamiątkę człowieka, który lata temu poczęstował Herza wodą z miodem, gdy ten pierwszy raz zobaczył to miejsce.

Ławka przy dębie Kobendzy to w puszczy rzadkość. Majestatyczne drzewo góruje nad okolicą, która na przestrzeni dekad zupełnie się przeistoczyła. Na powojennych zdjęciach widać rosochaty dąb na otwartej polanie, jakby żywcem wyjęty z wiersza Tranströmera, bo „podobny do zastygłego łosia". Z czasem polana zarosła, stając się lasem, a żeby pojąć dostojeństwo drzewa, trzeba zadzierać głowę ku chmurom. Ale okolica ma w zanadrzu jeszcze jedno dziczenie. „Rysiowa droga" to jedna z tych nazw, które nigdy nie trafiły na mapy. W świerkowym zagajniku na północno-zachodnim krańcu obszaru ochrony ścisłej stała swego czasu woliera z rysiami, które w puszczy miały znaleźć nowy dom. Kiedyś – to jeszcze jedna z anegdot Herza – do trzymanej w niej samicy przyszedł zupełnie już dziki samiec, i nic sobie nie robił z ludzi, którzy ↦

BERNARD BIAŁORUCKI / BE&W

Wejście do Puszczy Kampinoskiej

↦ stali parę metrów dalej. Zainteresowany był tylko rysicą. Dziś po wolierze nie ma już śladu, a rysie stały się kampinoskimi zjawami. Być może w niej żyją, być może tylko bywają – obserwacje są skrajnie rzadkie, raz na parę lat pojedyncze zwierzę nagra się na fotopułapkę. I dobrze – nic więcej od rysia nie chcemy, poza świadomością, że jest.

Łania z grodziska

W okolicach Cisowego coś się kończy – po pierwsze długi, biegnący równoleżnikowo konwaliowy szlak, po drugie – totalna samotność. Jeden po drugim mijam kilka węzłów szlaków. Jest grubo po 13, idę już ponad sześć godzin, i dopiero teraz spotykam pierwszego turystę. Nad Kacapskim Kanałem pasie się sarna, w jej tle widzę – nie, to nie złudzenie – samochody. Górki to asfalt, kościół i cywilizacja.

Sosna powstańców jest już tylko martwą kłodą na rusztowaniu. Większe wrażenie robią podania o źródle tej nazwy – ponoć na jej konarach wieszano zaangażowanych w powstanie styczniowe mieszkańców okolicy.

Zaczyna kropić, a mi przychodzi do głowy szalona myśl: a może by tak w puszczy nie spać, tylko spróbować dojść do jej końca jeszcze przed zmrokiem? Od Zamczyska to będzie jakieś siedem godzin marszu. Tak sobie kombinuję, ale kiedy już do niego dochodzę, kładę się na drzemkę pośród wiekowych dębów. Gapię się jeszcze na korony drzew, biegam wzrokiem za jakąś wiewiórką, ale kiedy próbuję zebrać myśli, żeby przenieść się na chwilę w XIII wiek i jakoś odmalować sobie w wyobraźni dawne życie tego miejsca, odlatuję na dobrą godzinę. OK, Zamczysko, układam to sobie już na jawie, 40 na 50 metrów, dwa wały i dwie fosy. Trudno powiedzieć, kto miał się tu chronić, bo przecież nikt nie stawia takich fortyfikacji dla mieszkańców okolicznych wsi. Więc może jakieś wojsko, dla którego wydmy były drogą na skróty? Archeolodzy ciągle się nad tym zastanawiają, na razie musi nam wystarczyć informacja, że miejsce jest jedyne w swoim rodzaju. Sonduję z lornetką południowe stoki grodziska, w wierzbowym gąszczu łapię samotną łanię i nie wypuszczam jej przez dobry kwadrans.

Skoro nie muszę się już spieszyć, to na dobre zwalniam. Tym bardziej że przede mną uroczysko Karpaty. Jedno z tych miejsc, gdzie najlepiej po prostu stanąć. Ścieżka jest wąska, starodrzew imponujący, ale i tak pęka mi serce, bo z naprzeciwka słyszę narastający ryk silników. Dwa motory crossowe wpadają do obszaru ochrony ścisłej. Zwalniają, żeby mnie wyminąć, a potem z jeszcze większym jazgotem lecą po ścieżce. Próbuję złapać spojrzenia nadjeżdżających, coś z nich wyczytać, ale szyby kasków są ciemne, więc mogę tylko zgadywać, co maluje się na twarzy człowieka, który za nic ma przepisy i przyrodę. Psują mi te motory całą przyjemność z dalszego marszu, powoli zbliżam się zresztą do końca na dziś. W okolicach dawnej wsi Grabina schodzę z czerwonego szlaku, żeby żółtym dojść do Julinka.

Na mojej prywatnej mapie Puszczy okolice Grabiny to Wodnikowe Wzgórze – choć w powieści Richarda Adamsa to były żądne wrażeń króliki, a ja tu zwykle widuję zające. Ale nie jednego czy dwa, wyskakują mi spod nóg całymi grupami, jakby knuły jakąś wielką przygodę. Grabina to zresztą jedna z najpiękniejszych wysiedlonych wsi w Kampinosie. Od 1975 r. skarb państwa prowadzi wykup położonych wewnątrz parku gruntów, a wiele osad po prostu zalesiono. Gdzieniegdzie z mchu wystają tylko fundamenty, między drzewami natknąć się można na betonowe słupy dawnych linii energetycznych, w wyremontowanych piwniczkach zimują nietoperze, a w miejscu dawnych sadów owocują zdziczałe już jabłonie. Ale najpiękniejszą pamiątką po Grabinie jest dąb. Jeden z najtęższych w całej puszczy, w pierśnicy ma ponad siedem metrów obwodu pnia. I chyba wciąż pozostaje bezimienny. To może dąb Lechosław? Będzie pasować.

Z Grabiny do Julinka to jest już rzut beretem. Na teren dawnej szkoły cyrkowej docieram sporo przed zmrokiem. To teraz będzie piwo, hamak i książka, a wokół mnie grupa ukraińskich dzieciaków szaleje na trawniku, bo na czas wojny tutejszy hotel stał się ich domem.

Przez dżunglę

Następnego dnia o siódmej rano jakiś facet przy recepcji pyta, czy zawiozę go do Leszna. Nie wiem, co go bardziej dziwi: to, że moim celem jest Dziekanów, czy to, że nie mam tu samochodu. Po swoich wczorajszych śladach wracam na czerwony szlak, z pełną świadomością, że do Roztoki zostało mi już tylko kilka kilometrów. Bo – być może od tej informacji powinienem był zacząć – Puszcze Kampinoskie są tak naprawdę dwie, jedna na zachód, a druga na wschód od Roztoki. Roztoka – a w domyśle przebiegająca przez nią droga wojewódzka nr 579 – dzieli puszczę na tę, do której Warszawa ma trochę za daleko, i tę, którą co weekend zadeptuje.

Po całej dobie wśród zięb, dzięciołów i świstunek mam wrażenie, że asfalt się na mnie wydziera. Mija parę chwil, zanim znajduję lukę między autami i tirami, którą mogę śmignąć na drugą stronę jezdni. Tego szczęścia nie mają wilki i jeleniowate, które na tej szosie

po prostu giną, bo drogowcy do dziś nie uznali za stosowne zainstalować tu odcinkowego pomiaru prędkości. Może to wiatr, a może moja irytacja, ale roztoczańska droga huczy mi w uszach jeszcze przez kilka kwadransów.

A może to zresztą pierwsze oznaki zmęczenia albo świadomość, że najbliższe kilometry nie będą tak malownicze jak to, co już za mną, ale zaczynam sobie wyrzucać: dlaczego nie poszedłeś zielonym? Przecież te niecałe 60 kilometrów to nie jest żaden wyczyn, żeby się pilnować i ograniczać. Ale nie ma już odwrotu, więc w głowie wyliczam kolejne przystanki. Najpierw Wiersze, dawna stolica Rzeczypospolitej Kampinoskiej, wolnego państwa AK-owskiej partyzantki, która w 1944 r. oczyściła z Niemców spory kawałek puszczy. Za Karczmiskiem – Palmiry, ale nie cmentarz ofiar zbrodni hitlerowskich, bo to nie czas na martyrologię, tylko Długie Bagno i łany kwitnącej wełnianki. Jak się uważnie spojrzy na mapę, puszcza zaczyna w tym miejscu opowieść o nieistniejącej już składnicy amunicji, ogromnej inwestycji z czasów niepodległej Polski dwudziestolecia międzywojennego. Leśne drogi idą dawnymi nasypami, i to nie wąsko, ale szerokotorowej kolei. W kwadratowych zbiornikach przeciwpożarowych wciąż stoi woda, nietrudno też znaleźć pozostałości dawnych magazynów i dwa ogromne kratery po niemieckich bombach. Puszcza ma w tym miejscu jeszcze kilka tajemnic, których nie pokazują mapy, bo znajdują się one poza szlakami: starą lokomotywownię oraz stanowiska wojsk rakietowych z lat 60.

> Zaczyna kropić, a mi przychodzi do głowy szalona myśl: a może by tak w puszczy nie spać, **tylko spróbować dojść do jej końca jeszcze przed zmrokiem?**

Ale ja mam już w głowie tylko Cichowąż. Czerwony szlak obchodzi bagno od północy, zielony od południa. To, co pomiędzy, to ciemny, nieprzebyty gąszcz. Parkowe tabliczki straszą, że w tym miejscu może ci coś spaść na głowę. Tutejsze szlaki są zabłocone nawet w czasie suszy. W koleinach stoi woda. W listopadzie albo grudniu widać byłoby o wiele więcej, ale kiedy strzela wegetacja, Cichowąż staje się dżunglą. Z grobli na Łąkach Strzeleckich słychać już miasto, choć nie Warszawę, tylko Łomianki. Tak mi się już nie chce, tak bardzo nie chce, lecz kiedyś jeszcze trzeba będzie to powtórzyć, myślę, a przede mną wyrasta znak, którego nigdy bym się tu nie spodziewał. Zrywka, zakaz wstępu. I gęsta leszczyna rzucona w poprzek szlaku, żeby przypadkiem nikomu nie przyszło do głowy ignorowanie komunikatu. Wiem, wiem, ochrona czynna, zło konieczne, ale sorry, nie pozwolę, żeby mi ktoś na finiszu popsuł całe przedsięwzięcie. Idę od wczoraj czerwonym i czerwony ukończę. Facet majstruje coś przy traktorze, chyba nie może go odpalić, bo silnik się krztusi, a ja patrzę mu w oczy i bez słowa omijam przeszkodę. Nic nie mówi.

Ostatni kilometr jest jak kolarska runda wokół stadionu. Droga szeroka jak Marszałkowska, na jej wylocie szpital dziecięcy i pętla autobusowa. Trochę na końcu świata, chociaż z mojej perspektywy to akurat początek: korków, spalin i całego tego warszawskiego zgiełku. Autobus linii 150 już szykuje się do odjazdu, ale zanim wsiądę, szukam jeszcze znaku wieńczącego szlak. Takiego, który powie mi „Brochów 57,1 km", a mnie na chwilę zeżre duma, że tyle mam w nogach. Ale przeżywam zawód, niedaleko bramy szpitala czerwony znak kieruje tylko do Roztoki i ani kroku dalej.

Jeśli nie liczyć szkolnej wycieczki, na którą natknąłem się w południe pod Palmirami, w autobusie jest być może więcej ludzi, niż przez te dwa dni spotkałem na szlaku. Silnik dudni, zaraz będę w metrze, ale na razie głowa opada mi na szybę i przez dobry kwadrans zamiast tumultu miasta w uszach wciąż słyszę ptasi trajkot: zit-zit-zit-zit, set-set-set, czat, cziteriidia, i ten dziarski zawijas na końcu.

© ADAM ROBIŃSKI

Autor jest licencjonowanym przewodnikiem po Kampinoskim Parku Narodowym.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP W KOLEJNYM NUMERZE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" DODATEK

JESIENNY PRZEWODNIK PO KRAKOWIE

- rozmowa z **ROBERTEM MAKŁOWICZEM** o tym, co to znaczy być krakowianinem oraz dlaczego warto po zmierzchu spacerować Plantami
- reportaż o tym, jak dziś wygląda życie studenckie w Krakowie
- rozmowa z **ANDRZEJEM CHWALBĄ** o Twierdzy Kraków i o tym, jak miasto zmieniało się w XIX i XX wieku
- przegląd najciekawszych jesiennych wydarzeń kulturalnych
- przewodnik po dzielnicy Podgórze i jej wspaniałych muralach
- opowieść o Krakowie widzianym oczami mieszkających tu obcokrajowców
- przechadzka po muzeach mniej znanych, a które koniecznie trzeba odwiedzić
- poradnik, gdzie najlepiej jesienią wybrać się z dziećmi

Zapraszamy do lektury i oczywiście do Krakowa!

partner dodatku Kraków

Dzień dziecka

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Nadchodzi nowy rok szkolny, a wraz z nim ciężary zajęć dodatkowych. Wiele dzieci realizujących w ten sposób marzenia swoje lub rodziców traci bezpowrotnie dzieciństwo.

W kwietniu Natalia wzięła do ręki kalendarz i czarnym markerem wymazała wszystkie wtorki do końca roku szkolnego. To był najbardziej wypełniony dzień w jej tygodniu, po szkole miała jeszcze lekcje pianina i gimnastykę. Wracała o godzinie dziewiętnastej i odrabiała prace domowe. We wtorek Natalia miała zazwyczaj tylko pół godziny dla siebie i zamiast zabawy wybierała oglądanie filmów na YouTubie. Nowy rok szkolny nie zapowiada się lepiej. Grafik Natalii znowu będzie szczelnie wypełniony. Dziewczynka ma 8 lat, chodzi do prywatnej szkoły w Warszawie, a jej rodziców można uznać za ludzi sukcesu – ojciec jest wicedyrektorem banku, mama pracuje w koncernie farmaceutycznym.

– Jesteśmy świadomi, że Natalia ma dużo zajęć, że odczuwa stres, ale nie chcemy, żeby została w tyle, wszystkie dzieci w jej klasie tak funkcjonują – przyznaje Sylwia, mama dziewczynki. – Tłumaczymy jej, że jeśli chce coś w życiu osiągnąć, musi dawać z siebie wszystko.

I Natalia daje. Chodzi też na basen i gra w tenisa. Rodzice zrezygnowali tylko z dodatkowych lekcji języków obcych, bo szkoła, do której zapisali dziecko, ma pod tym względem bogatą ofertę. Mieszkają na Żoliborzu, na osiedlu z portierem, wewnątrz jest ogród i fontanna. Natalia nie ma czasu z niego korzystać, zresztą rodzice nie wyobrażają sobie, że mogliby ją zostawić na zewnątrz samą. Kiedy jednak pytam Sylwię o jej własne dzieciństwo, przypomina sobie, że biegała po osiedlu z kluczem na szyi do późnego wieczora i miała dużo znajomych, z którymi wymyślali własne zabawy, uruchamiając wyobraźnię.

– Czasem myślę, że moje dzieci nie mają dzieciństwa. I nie ma co ukrywać, my też jesteśmy tymi zajęciami umęczeni, popołudnia spędzamy w aucie na dowożeniu i przywożeniu, bo mamy jeszcze jedną córkę w przedszkolu. Zapisaliśmy ją na basen i zajęcia baletowe – wylicza Sylwia wertując kalendarz.

Natalia tylko w niedzielę nie ma zajęć dodatkowych, ale wtedy nadrabia zaległości w lekturach i ćwiczy grę na pianinie. Ale gdy pytam, czy chciałaby z jakichś zajęć zrezygnować, kręci przecząco głową. W ubiegłym roku chodziła na kółko teatralne i balet, a kiedy zrezygnowała, tata nie odzywał się do niej przez tydzień. Natalia sama jednak podkreśla, że wybiera się na Oxford, w przyszłości zostanie premierką, a taka funkcja zobowiązuje. Trzeba być zdyscyplinowanym, pilnym i nie zrażać się trudnościami.

– Pochodzimy z małego miasta, dorastaliśmy w czasach, kiedy angielski uczony prywatnie był luksusem, chcemy dać naszym córkom więcej, niż sami dostaliśmy – podkreśla Sylwia.

Dzień Ani

Ania. 10 lat. Ostatni rok szkolny – wolny tylko czwartek. W poniedziałek po szkole chodziła na rolki i angielski, do domu wracała około dwudziestej. W jej grafiku był jeszcze basen, lepienie z gliny i schola. Efekty pracy w przykościelnym chórze prezentowała w każdą niedzielę podczas mszy świętej.

– Ania to wulkan energii. Chodziła jeszcze na tańce, ale to było dla nas nie do zniesienia. Zajęcia odbywały się w innej części miasta, trzy popołudnia w tygodniu spędzaliśmy na dowożeniu – opowiada Agnieszka, mama dziewczynki.

Ania mieszka w śródmieściu Wrocławia, niedaleko parku, w którym powstały machiny według projektów Leonarda da Vinci i kopie jego obrazów. Ma blisko do szkoły, jej brat do przedszkola, a rodzice mogą swobodnie dojechać do pracy. Agnieszka jest nauczycielką, a jej mąż pracuje w banku, za aktywność pozalekcyjną córki płacą miesięcznie 750 złotych.

– Kółka zainteresowań są we Wrocławiu bardzo popularne, na niektóre zapisy kończą się już pod koniec sierpnia – opowiada Agnieszka.

Pasją Ani jest lepienie z gliny. Sobotnie zajęcia pomogły jej przeżyć śmierć babci oraz pandemię. Ania jest bardzo towarzyska, otwarta na ludzi, więc miesiące zamknięcia w domu były dla niej trudnym doświadczeniem. Niedawno wraz z koleżankami założyła Tajny Klub Dziewczyn, który rozwiązuje zagadki detektywistyczne na osiedlu.

– Ania ma listę zawodów, które chciałaby wykonywać. Dziś na pierwszym miejscu jest praca w schronisku. Lubi też spędzać wakacje u babci, podbiera jajka kurom i sprząta klatkę dla psa. Robi mu też kolorowe rysunki, żeby nie był smutny – opisuje Agnieszka. – Często zastanawiamy się z mężem, skąd w niej taka pasja do zajęć pozalekcyjnych. Ja jestem raczej introwertyczna, mam problemy z nawiązywaniem relacji, ale Ania świetnie czuje się w grupie.

Dzień Adama

Plan tygodnia wisi na lodówce. Magda zaznaczyła na czerwono zajęcia syna, a na zielono swoje. Najbardziej czerwona

PIOTR KAMIONKA / REPORTER

Trening koszykówki w trakcie Marcin Gortat Camp. Łódź, 20 czerwca 2016 r.

w ostatnim roku szkolnym była środa, tego dnia miał angielski, piłkę nożna i zajęcia z programowania. Adam wstawał przed szóstą, mama zawoziła go do świetlicy, a sama jechała do pracy do Wrocławia. Chłopak ma 11 lat, mieszka w bloku w Jelczu-Laskowicach i marzy o tym, że będzie jak Leo Messi. Toteż środę lubił warunkowo i ze względu na piłkę zgadzał się na lekcje angielskiego i programowanie. Na wszystkie zajęcia woził go dziadek, bo Magda jest rozwiedziona, pracuje w kancelarii prawniczej i do domu wracała około osiemnastej.

– Gdyby nie pomoc rodziców, Adam musiałby siedzieć na świetlicy do wieczora. Wymyśliłam zajęcia dodatkowe, żeby mu jakoś wypełnić czas i odciągnąć od gier komputerowych i telefonu, w którym nurkuje, jak tylko ma wolną chwilę – opisuje Magda.

Adam ma zajęte cztery popołudnia, a w weekendy jeździ na mecze. W kwietniu zaczął skarżyć się na bóle brzucha, miał kłopoty ze snem, przestał sobie radzić w szkole. Magda nie łączyła tego z przemęczeniem. Uznała, że to relacje z byłym mężem odbijają się na samopoczuciu syna. Ojciec Adasia ma nową rodzinę i co prawda płaci alimenty, ale nie pamięta już np. o urodzinach. Ustalone dwa weekendy w miesiącu z synem to też dla niego zbyt wiele.

W maju Magda trafiła z Adamem do psychologa. Jest rozdarta, bo dopiero w gabinecie uświadomiła sobie, że syn jest przemęczony liczbą zajęć. Obiecała, że od września będzie ich mniej. Nie wie jednak, co zrobić. Nie może zrezygnować z pracy we Wrocławiu, bo dobrze zarabia, ani przeprowadzić się i zmienić mieszkania, bo bez pomocy rodziców nie wyobraża sobie życia. Adam spędza u dziadków dużo czasu. Mieszkają dwa bloki dalej. Dziadek pracował w fabryce autobusów Jelcz i robi dla wnuka z tektury i papieru modele samochodów. Razem je sklejają i malują.

– Rodzice są zabiegani i przepracowani, nie mają co zrobić z dziećmi, więc opłacają im różne zajęcia dodatkowe – mówi Piotr Janoszka, psycholog ze Stowarzyszenia Kolorowe Słońce we Wrocławiu. – Nie ma problemu, jeśli dziecko chce na nie chodzić. Bardzo często jest jednak tak, że rodzice nie zważają na zainteresowania syna czy córki, tylko spełniają swoje marzenia. Wtedy przychodzą tu i mówią: „Ma wszystko i wydziwia". Do tego dochodzą konflikty w rodzinie. Na Dolnym Śląsku jest najwięcej rozwodów w całej Polsce, trudne relacje między matką i ojcem odbijają się na dzieciach.

Dzień nudy

Wraz ze zmianą ustroju w latach 90. otworzyły się przed Polakami nowe możliwości. Nauka języków obcych, rozwijanie kompetencji społecznych przez udział w zajęciach teatralnych, sportowych czy tanecznych, kształcenie słuchu i pamięci przez grę na instrumencie pokazały, że ludzie, którzy dostali szansę uczestnictwa w takich aktywnościach, lepiej radzą sobie w dorosłym życiu. Rodzice zaczęli więc szczelnie wypełniać czas swoich pociech, uznając, że to dla nich jedyna droga do sukcesu. W efekcie skurczyła się przestrzeń beztroskiej wolności dzieci. Wiele z nich nie jest w stanie wytrzymać dodatkowych obciążeń, a mimo to zgadza się na pracę ponad siły, żeby sprostać oczekiwaniom rodziców. W ten sposób próbuje zasłużyć na miłość i uwagę rodzica, który coraz częściej kocha je warunkowo. Nie za to, że jest, ale za to, kim ma szansę być w przyszłości.

Choć zajęcia dodatkowe są dla dziecka okazją do zdobycia nowych umiejętności i rozwijają sieci neuronalne w mózgu, z wszystkim można przesadzić. Agatha Christie przyznawała, że tematy na powieści przychodziły jej do głowy podczas nudnego zmywania naczyń. Tymczasem dzieci przeładowane nauką i aktywnością pozalekcyjną nie mają czasu na nudę, nie mogą więc spokojnie uruchomić wyobraźni. A to ona inspiruje do kreatywności, jest matką wynalazków i autorką niezwykłych pomysłów.

Marzenna Kasperska, nauczycielka i metodyczka języka angielskiego w Zamościu, obserwowała, jak wraz z otwarciem Polski na świat stopniowo zaczęli do niej trafiać uczniowie tak przeładowani pracą pozaszkolną, że nie byli w stanie skupić się na lekcjach. Marzyli tylko o tym, żeby zajęcia się skończyły. Nie było w nich ani ciekawości, ani pasji, a bez tego nie ma efektów.

– Zajęcia pozalekcyjne bez wątpienia rozwijają, ale dziecko powinno mieć możliwość wyboru – uważa Marzenna Kasperska. – Inaczej przestaje być kreatywne, staje się odbiorcą, przyzwyczaja się, że zawsze ktoś wypełni mu czas. ↦

↦ I nagle, gdy musi zostać samo ze sobą, zderza się z pustką.

Dzień Basi

Zanim poznałam Basię Bojaryn, która mieszka na modelowym osiedlu PR-5 w Zamościu, trafiłam na bandę dziewczynek. Grasują niedaleko jej bloku, robią obławy na przechodniów i wciskają im mnóstwo niepotrzebnych przedmiotów. Dziewczynki mają od 5 do 7 lat i w ten sposób zarabiają w wakacje. Ceny produktów zapisały kulfonami na chodniku. To u nich kupiłam serduszko.

– To jest jeżyk, sama go zrobiłam, a tu są moje dyplomy – Basia prezentuje też rysunki i medal. – Jak dorosnę, będę lekarką, ale wcześniej chciałabym spróbować baletu i jazdy konnej.

Basia ma 7 lat. Kiedy siadam w salonie, idzie się przebrać, po czym wraca w kolorowej sukience z medalem na szyi, kłania się i śpiewa. Dziewczynka chodzi na zajęcia z ceramiki, tańca, uczy się śpiewu i gry na keyboardzie. Przed wakacjami najbardziej zajęta była w piątek – przychodziła do domu o dziewiętnastej.

– Basia nie chce z niczego zrezygnować – podkreśla Monika Bojaryn, mama dziewczynki. – Świetnie radzi sobie w szkole i wciąż wymyśla nowe aktywności. Trudno jednak je zmieścić w i tak wypchanym tygodniu, zwłaszcza że oboje z mężem pracujemy, dlatego zrezygnowała z akrobatyki.

Zajęcia pozalekcyjne Basi kosztują ok. 550 złotych miesięcznie. Rodzice zauważyli, że dzięki nim jest bardziej zorganizowana, śmiała, łatwo nawiązuje relacje z ludźmi. Nie żałują wydanych pieniędzy i nie mają poczucia, że do czegokolwiek córkę zmuszają. Podczas wakacji wożą córkę na półkolonie, na których spełnia swoje marzenie i uczy się jazdy konnej.

ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Basia Bojaryn prezentuje dyplomy. Zamość, 29 czerwca 2022 r.

– Co roku pokazujemy dzieciom różne możliwości rozwoju, nie chcemy, żeby były ignorantami – podkreśla Sławomir Bojaryn, ojciec Basi. – Jeździmy na festiwale literackie, chodzimy na koncerty i przedstawienia teatralne. Mamy nadzieję, że dzięki temu będą miały szersze horyzonty.

Dzień Marka

– Marek chce być w centrum uwagi, dużo mówi, a nauczyciele nie zawsze to lubią. Kiedyś powiedział do swojej wychowawczyni: „Robię złe wrażenie na początku, ale dogadamy się” – opowiada Kinga Karpińska-Milczarek.

Marek ma 10 lat, mieszka w Lublinie na osiedlu Czuby, ma dwa psy i lubi z nimi biegać po wąwozie, wokół którego stoją bloki. Czasem odwiedza z rodzicami ogród botaniczny i jeździ na basen. Gdy dorośnie, zostanie tłumaczem, będzie wtedy podróżował po świecie i rozstrzygał trudne kwestie lingwistyczne. Języka angielskiego uczy się od czwartego roku życia, chodzi też na karate, hiszpański i pływanie. Pamięta, że kiedy w przedszkolu zaczęły się lekcje angielskiego, zmartwił się, bo nie wiedział, co to jest liczba mnoga, i nie znał nazw wszystkich zwierząt, ale szybko to nadrobił.

– Nigdy się nie nudzę – podkreśla Marek. – Lubię się uczyć, a dzięki karate znam sztuki walki i mogę się obronić.

Marek Milczarek w ostatnim roku szkolnym miał zajęcia dodatkowe codziennie, ale najbardziej zapracowany był w poniedziałki. Po szkole szedł na karate, a potem na basen, wracał do domu około dwudziestej. Nie buntował się, a kiedy go zapytałam, czy nie ma już dość dodatkowych zajęć, odparł, że ogarnięcie tego wszystkiego nie jest wcale takie trudne, trzeba być tylko systematycznym, by nie narobić sobie zaległości.

Wieczór

Kryta pływalnia w Zamościu pęka w szwach. Grupy, klienci indywidualni, kursy dla dzieci. Lekcja z trenerem kosztuje 80 złotych, ale chętnych nie brakuje. Zuzanna Dziubińska, nauczycielka wychowania fizycznego i instruktorka pływania, jest tu codziennie.

– Rodzice często traktują dziecko jak inwestycję, która ma się zwrócić – uważa Dziubińska. – Uczniowie mają tak wypełnione grafiki, że trudno się z nimi umówić, zdarza się, że ośmiolatek kończy pływanie o godzinie dwudziestej pierwszej, a potem jeszcze musi odrobić lekcje.

Przeszklona ściana oddziela szatnię od basenu, rodzice wpatrują się w pływające dzieci, niektórzy robią zdjęcia. W gwarze dzwoni telefon. Odbiera mężczyzna.

– Jak to nie odebrałem? – krzyczy do słuchawki. – Przecież jestem na basenie i czekam. Karate? A co jest dzisiaj?! Cholera! – warczy sam na siebie i wybiega z budynku. © ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

Lekcje po lekcjach

WEDŁUG RAPORTU CBOS („Wydatki rodziców na edukację dzieci w roku szkolnym 2020/2021”) od 10 lat rośnie zainteresowanie zajęciami dodatkowymi. Najnowsze dane mówią, że aż 67 proc. rodziców zapisało swoje pociechy na różne formy aktywności. Najpopularniejsza była nauka języków obcych (38 proc.), drugie miejsce zajmowały zajęcia sportowe (27 proc.), potem znalazły się korepetycje (20 proc.) i zajęcia artystyczne (16 proc.). W porównaniu z rokiem ubiegłym wzrosły średnie miesięczne wydatki na dodatkowe zajęcia – wyniosły 482 zł na dziecko.

Z kolei według wcześniejszych badań przeprowadzonych przez platformę edukacyjną Brainly Learning Index na 8 tys. polskich dzieci – już w 2018 r. 47 proc. naszych uczniów uczęszczało na dodatkowe zajęcia pozalekcyjne, co dziesiąty badany poświęcał im 8 godzin tygodniowo, a 35 proc. brało w nich udział także w weekendy. Zajęcia pozalekcyjne nie są domeną dużych ośrodków, bo także 45 proc. uczniów z mniejszych miast korzysta z takich zajęć. Można uznać, że lekcje po lekcjach to norma w życiu polskich dzieci. ©

JACEK

Podsiadło:
Jeśli porcelana

Nie możesz mieć nikogo bliskiego. Nikogo, kogo byś kochał. Wyśledzą to i zniszczą jeśli nie samą miłość, to przynajmniej tego kogoś. Jeśli dzieci, to dorosłe i żyjące całkiem osobno. I nie możesz mieć niczego cennego, co można by ci zabrać. Żadnych skarbów, prawdziwych ani urojonych. Bo splądrują twój skarbiec i nasrają na odchodne. Żebyś wpadł w rozpacz, odszedł od zmysłów i nadawał się do wariatkowa, a jeszcze lepiej od razu strzelił samobója. Ale sam skarbiec warto, żebyś miał. Trzeba wpuszczać ich w maliny, dodawać im roboty, zostawiać mylące ślady, niech szukają, niech dobrze zapracują na swoje rozczarowanie. Dopiero po czasochłonnych poszukiwaniach skarbca powinni odkryć, że jest pusty.

Splądrować i nasrać, to złota reguła, na której oparli swoją markę, więc nie możesz też mieć domu. To akurat łatwe. Pragnienie domu daje się zrozumieć, ale branie kredytu na mieszkanie, żeby go potem do starości spłacać, korzystanie z przymusu i ulg w tym przymusie – już nie. Co naprawdę dobrze rozumiem, to ucieczki z domu. Do tego dom nadaje się najlepiej: żeby z niego uciekać. Sam bardziej niż domu pragnąłem bezdomności, zawsze. I przez całe życie odnajdywałem się tylko w mieszkaniach, do których pasowało określenie: nory. Bezdomność to różowe okulary wygrane na loterii. Patrzy się na świat tak, jak dziecko patrzy na zwierzęta. Kładziesz kapelusz na ławce i twoją uwagę zwraca kosz na śmieci. Oceniasz wygodę, jaką daje jego sąsiedztwo, i węszysz, czy nie jest to sąsiedztwo zbyt bliskie, tak jak młoda para oglądająca mieszkanie do wynajęcia ocenia, czy sufit nie za blisko nieba i czy umiejscowienie szafki na buty w przedpokoju jest właściwe. Zapalasz świeczkę w przeciągu pod mostem, włazisz do śpiwora, żeby czytać, i wiesz, że w nocy, raz na jakiś czas samochód zadudni ci nad głową, ale na pewno nikt nie będzie ci ryczał do domofonu, że mu zająłeś miejsce parkingowe, zalałeś łazienkę, uwiodłeś windę. Spanie pod mostem jest dużo lepsze od siedzenia z czytakiem w bujanym fotelu przy sztucznym kominku na prąd, w strachu, że może źle zaparkowałeś i że ci ten prąd wyłączą. Nie ma domofonu, bo nie ma ścian. Z tej samej przyczyny domofonem jest wszystko: nie ma ścian i dźwięk rozchodzi się bez przeszkód.

Cenię bezdomność tak bardzo, że nie do końca lubię to słowo. Nie podoba mi się, że zostało ufundowane na zaprzeczeniu. Czyli ten człon „bez-" mi się nie podoba. Bezdomność to nie jest b r a k – domu ani niczego. To rodzaj bogactwa.

Może nawet spadek po przodkach. Wiele razy potrząsałem swoim drzewem genealogicznym z nadzieją, że spadnie z niego jakiś Cygan. Bo widzę siebie tak, jak Mickiewicz Cygan właśnie, ale i w tym jego wykładzie nie podoba mi się definicja Cygana jako osobowości złożonej z różnorakich braków. Tymczasem pasterzem moim jestem ja, więc nie brak mi niczego. Micek mówił o Cyganach, że są pozbawieni „zmysłu religijnego". Powinien był powiedzieć raczej, iż wyposażeni są przez naturę w zmysł wolności. Kto śpi pod gołym niebem, ten, otworzywszy rano oczy, najpierw widzi niebo i to, że jest ono gołe. „Widziano Cyganów bogatych, Cyganów odważnych, nikt jeszcze nie widział Cygana pobożnego" – wykładał paryżanom. I: „Nie są również zdolni zrozumieć pojęcia własności. Choćby im dano ziemie, duże pieniądze na ich zagospodarowanie, oni woleliby osiąść na pustkowiu. Nienawidzą wszystkiego, co podobne do domu. (...) Nigdy nie widziałem Cygana smutnego. Smutek czasem przeleci mu przez głowę, ale nigdy się w niej nie zatrzyma. (...) Są odważni, bystrzy, wydają się zdolnymi do wszystkiego, tylko nie uwierzą w Boga. Jak doprowadzić do tego, aby ich osiedlić na ziemi?". Czyli: co by tu, Kuźma, wymyślić, żeby tych cholernych szczęściarzy unieszczęśliwić?

Jeśli masz dom albo chociaż kawalerkę w mrówkowcu, to prawdopodobnie masz tam jakieś swoje skarby. Na dzień dobry na pewno jesteś posiadaczem komputerka, który można ci zabrać o szóstej rano, żeby go zbadać pod kątem pedofilii i terroryzmu. Oczywiście, teoretycznie zawartość dałoby się skopiować na miejscu, ale komputerki są coraz mniejsze i poręczniejsze, a my nie mamy na co skopiować, nie myśli pan chyba, że policja ma jakieś serwery do przechowywania nielegalnych plików, poza tym jeszcze byśmy panu coś niechcący skasowali i potem by pan na tym laptopku skargi pisał, a tak to my go panu zabierzemy i skargę może pan złożyć na piśmie w siedzibie. Ma pan też, widzę, odkurzacz, pan sobie odkurzy ostatni raz i wyczyści go w środku, to w godzinach przedpołudniowych przyjdzie komornik, my żeśmy już o szóstej przyszli, bo pracujemy od samego rana i na służbie nie pijemy.

Urodziłem się w roku 1964, kiedy przekuto w czyn postanowienia uchwały w sprawie pomocy ludności cygańskiej przy przechodzeniu na osiadły tryb życia.

Nie wolno ci mieć nikogo, kogo byś kochał, ale możesz mieć kogoś, kto będzie kochał ciebie. ©

POŻEGNANIE

Pani Dyrektor
Marii Annie Potockiej

wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Matki

SKŁADAJĄ PRACOWNICY
GALERII SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ
BUNKIER SZTUKI

WIARA

BÓG GEJÓW

Są wierzący, regularnie praktykują.
I mówią twardo:
Kościół tak, celibat nie.

SZYMON ŻYŚKO

Rok 2017. W jednym z krakowskich kościołów odbywa się czuwanie przed Zesłaniem Ducha Świętego jako zwieńczenie trwających od kilku tygodni rekolekcji. Msza z modlitwą o uzdrowienie ściągnęła również parafian. Podczas nabożeństwa ksiądz oraz świecka liderka głoszą na zmianę proroctwa. Z ust kapłana pada zdanie: „Wśród nas jest osoba o skłonnościach homoseksualnych. To chłopak, który w tej chwili bije się z myślami. Przyszedł tu, bo chce być w Kościele. Bóg pragnie, byś żył w czystości. Weź swój krzyż, a on Cię uzdrowi". Ludzie zaczynają rozglądać się dookoła, wyraźnie zainteresowani, o kim mowa. Jeśli ktoś przyszedł tylko na krótką modlitwę i w tej chwili planował wyjść, zapew-

RAFAŁ GUZ / PAP

ne pozostał. Jakikolwiek ruch wyróżniający spośród tłumu mógłby zostać odebrany jako przyznanie się do bycia adresatem tego „proroctwa". Na szczęście schola zaczyna śpiewać, przerywając niezręczną ciszę.

Swoje wspomnienie z tego samego czasu ma też Karol – wtedy dwudziestokilkuletni student weterynarii, wyoutowany gej – który pracował wówczas w jednym z bardziej znanych krakowskich klubów LGBT+. Po pracy, nad ranem, idzie na najwcześniejszą tego dnia mszę. – Wiedziałem, że gdy wrócę do domu, będę odsypiał noc. Po pracy często szukałem najbliższego kościoła. Niedzielna msza jest dla mnie ważna i nie wyobrażałem sobie, żeby ją odpuścić, bo pracuję akurat w takim klubie – opowiada mi dzisiaj, wracając myślami do studenckich lat.

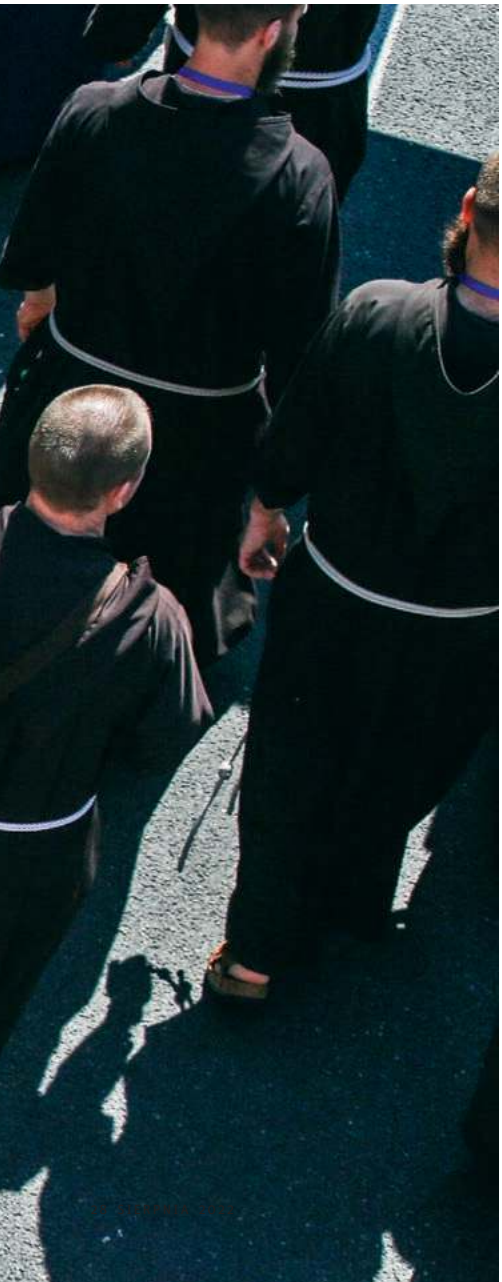

Święto Dziękczynienia, procesja w Warszawie, czerwiec 2016 r.

Mówiąc o wierzących osobach LGBT+, Kościół katolicki ustami księży podkreśla inkluzywność nauczania i oficjalnych dokumentów. Otwarte tylko w teorii zaproszenie do wspólnoty Kościoła jest dla nich jednak warunkowe i wiąże się z przymusem życia w celibacie oraz rezygnacji z budowania bliskich relacji z osobami tej samej płci. Słuchając anonimowych świadectw, kazań z ambon czy nagrań popularnych katocelebrytów, można odnieść błędne wrażenie, że wyłącznie osoby spełniające owe trudne kryteria są zaproszone do bycia w Kościele i tylko takie w nim ostatecznie są. Historie Zuzanny, Karola i Artura temu przeczą. Pokazują, jak wygląda wiara pod tęczą.

Jestem u siebie

Z Karolem Szymonikiem spotykam się w popularnym pubie na krakowskim Kazimierzu. Siadamy przy centralnym stoliku. Przyszedł ze swoim psem, rocznym welshem corgim pembroke, który domagając się głaskania, koncentruje na nas uwagę wszystkich obecnych. Mimo to nie krępujemy się w jednym zdaniu wypowiedzieć słów: Bóg, gej, związek jednopłciowy, Kościół, miłość. Wszystko to jest częścią tożsamości, której Karol się nie wstydzi. – Mam bardzo dobre doświadczenia wiary z dzieciństwa. Chcę być zbawiony i chcę być dobrym człowiekiem. Warto wierzyć. Ufam temu, co mówił Jezus, ale nie mam pewności, że chciał, aby właśnie tak wyglądał Kościół. W Jego słowach nie ma nic o homoseksualności – mówi.

Dla Karola Szymonika Bóg jest realną osobą, nie traktuje Go jednak jak kolegi. – Nie jest może odpowiedzialny za moje wybory, ale ma wpływ na to, kim jestem – wyjaśnia i precyzuje: – Bóg lubi gejów. Matka Boża też!

Ze swoim obecnym chłopakiem o wierze rozmawia szczerze, a świat duchowych wartości był równie ważnym elementem ich poznawania się. – Śpimy razem. Przed snem ja mówię pacierz, a on leży obok mnie.

Mimo że jego partner nie praktykuje, zdarzyło mu się towarzyszyć Karolowi na mszy. Na jego profilu na Instagramie widać ich wspólne chwile na Marszach Równości, meczach Dragon Balls Kraków (klubu sportowego osób LGBT+), podczas nauki tańca dla par jednopłciowych i na niedzielnych mszach, które Karol podpisuje „jestem u siebie".

Najtrudniejsza w praktykowaniu wiary dla Karola jest spowiedź. Nigdy nie przeżył naprawdę dobrej. Za takie uznaje co najwyżej te, w czasie których otrzymał rozgrzeszenie, a ksiądz nie wypytywał natrętnie o szczegóły. Spotykał się natomiast ze strony spowiednika z sugestiami grup wsparcia lub terapii, które miałyby mu „pomóc stać się normalnym". – Po jednej z nich się popłakałem. Ksiądz pytał o bardzo intymne szczegóły. Gdybym nie był gejem, na pewno mniej bałbym się spowiedzi – zwierza się.

Karol nie zgadza się z bezrefleksyjnym uznawaniem za grzech wszystkich przejawów bliskości w życiu osób LGBT+. – Jesteśmy już na wstępie odbierani bardzo źle, stygmatyzowani. Dla mnie miłość, więź i relacja usprawiedliwiają seks. Choć to niezgodne z nauczaniem Kościoła, jest zgodne z moim sumieniem – podkreśla.

Nie wyklucza, że w przyszłości zmieni Kościół, aby móc w pełni żyć sakramentami. Nie jest to dla niego wcale prosta decyzja.

Miłość ocala poczucie sensu

Kilka miesięcy temu gościem podkastu Piotra Żyłki „Słuchać, żeby usłyszeć" był Misza Czerniak, wierzący gej wychowany w tradycji prawosławnej, członek Fundacji Wiara i Tęcza. O sensie istnienia fundacji i poszukiwaniu miejsca w Kościele – nie tylko katolickim – powiedział: „W pewnym sensie sami budujemy Kościół dla siebie. To nam pomaga trwać w naszych Kościołach. Wiara i Tęcza nigdy nie występowała przeciw Kościołom". O początki grupy pytam jej współzałożyciela Artura Kapturkiewicza. – Pierwsze spotkania w 2010 r. były spontaniczne. Chcieliśmy założyć organizację na wzór zachodni. Ja sam jestem transmężczyzną, a pomogła mi Agnieszka Wiciak, która jest lesbijką żyjącą w związku, mającą dzieci. Rok później do Krakowa i Poznania dołączyła Warszawa.

Wiara i Tęcza nie jest wspólnotą w rozumieniu kościelnym, to raczej przestrzeń spotkania osób, którym wartości chrześcijańskie są bliskie. Wśród nich znaleźć można również niewierzących. Trafiają tu ludzie poszukujący miejsca, ↦

DANIEL GNAP / EAST NEWS

Artur Kapturkiewicz

„gdzie będzie normalnie w sprawach wiary". Mianownikiem dla większości z nich jest chrześcijaństwo, ale „przecież chrześcijanie są dla świata" – wyjaśnia mi Artur, wskazując na otwartość fundacji.

Większość katolików dowiedziała się o nich podczas Światowych Dni Młodzieży w Krakowie, gdy „Rzeczpospolita" nagłośniła obecność WiT oraz brak reakcji Kościoła. – Pisano, że byliśmy u kard. Dziwisza, a on się nas nie wyparł. Kolejne media podchwyciły temat, że podobno tłumy gejów jadą do Krakowa. To sprowokowało prawicowe bojówki do wysyłania gróźb w naszą stronę. Przez tydzień pod miejscem naszych spotkań stał radiowóz – wspomina Artur Kapturkiewicz.

Ostatecznie „Przystań pielgrzymów LGBT" zorganizowano w Spółdzielni Ogniwo. Pojawiali się tam duchowni niemal wszystkich obrządków. Niestety nie odwiedził ich ani jeden polski ksiądz rzymskokatolicki. – A przecież obecni tam katolicy byli tacy sami jak wszyscy i zostali pozbawieni opieki duszpasterskiej – słyszę rozgoryczenie w głosie Artura.

Dzisiaj jest trochę lepiej. Grupy WiT w całej Polsce mogą liczyć już nie tylko na Kościoły protestanckie, ale też na niektórych księży katolickich, jak choćby we Wrocławiu, gdzie goszczą ich dominikanie.

Jak w tęczowym aktywizmie kształtuje się wiara Artura? – Na tym etapie życia jestem agnostykiem skłaniającym się ku wierze. Jezus jest dla mnie od zawsze ważną osobą. Opowiadam sobie tę historię na różne sposoby, również tak, że gdyby nie było w tym nic nadprzyrodzonego, to Jego przesłanie pozostaje dla mnie ważne. Brakuje mi dowodów, by wierzyć, ale brakuje też tych, by zaprzeczyć. Jako lekarz mam tak skonstruowany umysł, że ich szukam. Dzięki Jezusowi wszyscy zyskujemy głębszy sens istnienia. Poczucie sensu bycia na tym świecie ocala w nas miłość. Również tę między osobami LGBT+ – mówi Artur i dodaje: – Wydaje mi się, że czuję obecność Jezusa, ale nigdy nie mam pewności, czy to nie jest wytwór mojego mózgu. Mam w sobie gen religijności. Jeśli się już zwracam do Niego, to nie wypominam Mu swojej niewiary. Modlitwą jest całe moje życie.

W kościele Artura raczej nie spotkam. Uważa, że wyrządza on zbyt wiele krzywd ludziom, by z czystym sumieniem mógł się tam pojawić. Zdradza mi jednak, że czasami gości u protestanckich przyjaciół, gdzie przyjmuje komunię, która jest dla niego więcej niż symbolem. – Jeśli przyjmuję naprawdę Jego słowa „to jest ciało moje" oraz „czyńcie to na moją pamiątkę", to słyszę: czyńcie to samo, oddawajcie się na służbę innym! Ciało jest symbolem służby, krew męczeństwa różnego stopnia – od bycia wyśmianym, bo stajesz w czyjejś obronie, po śmierć. Osoby LGBT+ doświadczają go zbyt często – wyznaje.

W Kościele katolickim najbardziej boli go to, że kreuje on osoby LGBT+ na istoty aseksualne, zmuszając do życia w cierpieniu i wmawiając, że to jedyna droga. Zdaniem Artura nikt nie próbuje nawet zrozumieć ich sytuacji ani tego, czego się od nich wymaga. Dlatego w wieku 48 lat, mając już dorosłe dzieci, postanowił powołać Wiarę i Tęczę. – Przeżywając na nowo i z całą mocą swoją tożsamość, uświadomiłem sobie krzywdę, jaka wciąż się dzieje.

Napięcia istnieją po obu stronach. Na pytanie krytyków Kościoła, dlaczego tworzy fundację, która umacnia jego obecność w przestrzeni publicznej, odpowiada: – Weź odpowiedzialność za ludzi, dla których to jest psychicznym ratunkiem. Którzy dzięki wierze żyją, mając poczucie sensu istnienia. Wykop ich, ale co im dasz w zamian? Nawet w złych organizacjach bywają dobrzy ludzie.

Wiara bez duchowej przemocy

Nie dziwi fakt, że drogi wielu wierzących gejów, lesbijek lub osób transpłciowych w końcu przecinają się z Wiarą i Tęczą. To jedyna działająca w tej przestrzeni grupa w Polsce, która nie próbuje tłumić i leczyć orientacji osób wierzących. W jej ramach w Poznaniu działa też Zuzanna Witulska. Dla niej *coming out* był podwójnie trudny, bo odkrywanie, że jest lesbijką, zbiegło się z etapem nawrócenia i odkrycia wiary. – Wcześniej byłam agnostyczką wierzącą w coś nieskonkretyzowanego. Nagle zaczęłam jednocześnie budować swoją tożsamość jako lesbijka i tożsamość duchową, co było pokręcone. To było ekstremalnie trudne doświadczenie – opowiada.

Wiara i Tęcza pomogła jej zaakceptować te dwie zupełnie nowe rzeczywistości: – Dzięki niej doszłam do poziomu równowagi, choć nie obyło się bez wewnętrznych konfliktów.

Tam poznała również swoją partnerkę, z którą od siedmiu lat jest w związku. Modlą się razem, lubią to robić zwłaszcza śpiewem. Prowadzą mały Kościół domowy. Również dla nich pandemia okazała się trudnym doświadczeniem, odcinając od wspólnoty. Nie wszystko da się przeżyć *online*.

Wiele było po drodze trudnych sytuacji, które sprawiły, że Zuzanna Witulska dziś nazywa siebie po prostu chrześcijanką lub rzymską katoliczką na emigracji. Razem z partnerką chciały przyjąć tradycyjną kolędę. Otworzyły więc drzwi księdzu, zapraszając go do siebie i nie ukrywając łączącej je relacji. Chciały tylko wspólnej modlitwy. W odpowiedzi kapłan wulgarnie je zaatakował, komentując łączącą je więź,

sugerując, że wybór przez partnerkę Zuzanny protestantyzmu to „pójście na łatwiznę”, oraz mówiąc: „Czuję wyraźnie, że w tym domu mieszka szatan”. – Wejście tego księdza było spotkaniem pełnym przemocy duchowej. Czuł dużą potrzebę uświadomienia nam, że nasz związek jest grzechem. Próbowałam podjąć z nim dyskusję teologiczną na intelektualnym poziomie, ale nie był nią zainteresowany. Brakowało mu również ekumenicznej wrażliwości. Przez kilka następnych dni czułam się skołowana. Wiem, że tych drzwi już więcej nie otworzę. Muszę chronić siebie – zwierza się Zuzanna.

Doświadczenia te sprawiały, że ona i jej dziewczyna są dzisiaj ostrożniejsze, a poznawanie nowych ludzi i wspólnot jest obarczone ich lękiem. – Jestem dziś mądrzejsza i staram się przeżywać wiarę w sposób dla mnie bezpieczny. Daję sobie prawo do tego, żeby unikać przemocy z tym związanej. Jeśli jesteś we wspólnocie, która wyzwala w tobie lęk, poczucie winy, powoduje depresję, to masz prawo z niej odejść. Nie musisz zaciskać zębów – podkreśla.

Mnie też sprawdziła, zanim zgodziła się na rozmowę. Przeczytała napisane przeze mnie reportaże i przeprowadzone rozmowy. Chciała wiedzieć, jaki stosunek mam do gejów, osób wierzących, jak reaguję na ludzi myślących inaczej.

Bóg wciąż pozostaje dla niej kimś bliskim, czułym i delikatnym, całkowitym przeciwieństwem przemocowej wiary. – Będąc lesbijką, gejem lub osobą transpłciową o wiarę trzeba walczyć – mówi. – Tymczasem ona powinna być naszym prawem. To okrutne, że się nam jej odmawia.

Dla Zuzanny Witulskiej **coming out był podwójnie trudny,** bo odkrywanie, że jest lesbijką, zbiegło się z etapem nawrócenia. Mówi: – Ekstremalne doświadczenie!

Na pytanie o definicję wiary odpowiada kolejną historią. Borykając się ze swoim coming outem, trafiła na forum poświęcone wierzącym homoseksualnym mężczyznom. Pisali o swoim doświadczeniu, dzielili się radami, jak wytrzymać w celibacie, zrezygnować z relacji. – To było przerażające – wspomina Zuzanna. – Widziałam osoby balansujące na granicy samobójstwa. Moją definicją są więc dziś słowa pewnego pastora, że wiara ma prowadzić do życia. Ona nie może prowadzić do śmierci – puentuje z przejęciem w głosie.

Zuzanna Witulska zwraca uwagę na jeszcze jedno: – Ludzie LGBT+ rodzą się w wierzących domach. Nie jesteśmy w stanie doprowadzić do społecznej zmiany bez poparcia osób wierzących. Nie sprawimy, że dzieci LGBT+ będą bezpieczne, jeśli nie pokochają ich wierzący rodzice. To, co robimy w grupach WiT, może przynieść zmianę. Widzą to nawet osoby niewierzące. Uznają, że katolicy i chrześcijanie są częścią społeczeństwa, bez której do niej nie dojdzie.

Podobną intuicją podzielił się Misza Czerniak we wspomnianym wcześniej podkaście, mówiąc: „Nie powinniśmy przekonywać biskupów, ale rozmawiać ze świeckimi”.

Powszechny, czyli tęczowy

Uznawanie, że wśród wierzących gejów i lesbijek są tylko ci, którzy nie akceptują własnej tożsamości i żyją w celibacie, jest krzywdzące zarówno dla nich, jak i okaleczające dla Kościoła. Dla nich skrót LGBT+ można rozwinąć o każdą literę – także symbolizującą ludzi Kościoła. Tak rozumieją powszechność zawartą w słowie *katholikós*.

Jakie mają marzenia związane z Kościołem?

Karol: – By traktowano nas normalnie, również w sakramencie spowiedzi oraz małżeństwa. Ślub przed Bogiem jest przypieczętowaniem miłości. Nie chcę odchodzić od korzeni, w których zostałem wychowany, aby móc go wziąć.

Artur: – Nie mam już złudzeń, stąd też niewiele marzeń. Chciałbym przynajmniej, żeby księża tłumaczyli rodzinom, że osoby LGBT+ to są ich bliscy, uczyli miłości do nich. Pomóc w tym mogliby księża geje. Obawiam się, że dla nich *coming out* w obecnych warunkach byłby katastroficzny w skutkach.

Zuzanna: – Nie dożyję raczej błogosławienia związków jednopłciowych, więc marzę o planie minimum, aby Kościół rzymskokatolicki zaczął realizować to, co ma w swoich dokumentach. Niech traktuje takie osoby z szacunkiem i delikatnością, zaprzestanie stosowania wyniszczającej mowy sączącej się z wielu ambon i wykorzystywania naszego życia jako tematu zastępczego, by przykryć inne trudności, z którymi się boryka.

© SZYMON ŻYŚKO

TP

NAGRODA POLIN

W następnym numerze „Tygodnika” dodatek, który powstaje we współpracy z **Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN**, a w nim między innymi:

- rozmowa o tegorocznej odsłonie Nagrody POLIN i idei, która jej przyświeca,
- prezentacja laureatów poprzednich edycji

Zapraszamy do lektury!

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

NOAH SEELAM / AFP / EAST NEWS

Abp Anthony Poola witany przez duchowieństwo i wiernych w domu biskupów w Hyderabadzie. Indie, 30 maja 2022 r.

Zburzyć mur

MARCIN CHODUŃ

Na konsystorzu 27 sierpnia papież po raz pierwszy wręczy biret kardynalski niedotykalnemu z Indii. Katoliccy dalici walczą z kastowością – także w Kościele.

Katolicy z grupy niedotykalnych długo czekali na tę chwilę. Bo choć stanowią oni prawie 70 proc. chrześcijan w Indiach (jest ich w sumie około 28 mln), to próżno szukać w kościelnej hierarchii odbicia tych proporcji – zaledwie w 12 ze 195 biskupstw urzędy piastują prałaci wywodzący się z tej najniższej warstwy indyjskiego społeczeństwa. Aktywiści chrześcijańscy przez dziesięciolecia słali do Watykanu prośby o zmianę tego niesprawiedliwego *status quo*. Więcej: gdy w maju 2021 r. Franciszek mianował na biskupa diecezji Salem w południowym stanie Tamilnadu ojca Arulselvama Rayappana, niedalita, wystosowali oficjalny protest przeciw tej decyzji. W tym samym stanie odbyły się protesty także w marcu tego roku, gdy grupa katolickich dalitów sprzeciwiła się mianowaniu Francisa Kalista, również pochodzącego z wyższej kasty, na arcybiskupa archidiecezji Puduććeri-Kudalur.

Nie dziwi zatem, że ogłoszoną w maju tego roku przez Stolicę Apostolską nominację kardynalską dla abp. Anthony'ego Pooli chrześcijańscy dalici przyjęli z radością. Tym większą, że nikt się takiej decyzji Watykanu nie spodziewał. Łącznie z samym zainteresowanym. – Byłem w podróży, gdy zaczęli do mnie dzwonić znajomi – mówi abp Anthony Poola. – Dopiero po otrzymaniu gratulacji od nuncjusza papieskiego dotarło do mnie, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Być głosem bezgłośnych

Anthony Poola urodził się 15 listopada 1961 r. we wsi Poluru w diecezji Karnulu w stanie Andhra Pradeś. Po siódmej klasie musiał przerwać naukę z powodu biedy rodziców. Pomogli misjonarze – dzięki ich wsparciu wstąpił do niższego seminarium, a następnie studiował w Papieskim Wyższym Seminarium Duchownym św. Piotra w Bengalurze. Święcenia kapłańskie otrzymał na początku 1992 r. Szesnaście lat później był już biskupem rodzinnej diecezji, a w listopadzie 2020 r. otrzymał godność arcybiskupa Hajdarabadu.

– Uważam, że moja nominacja jest olbrzymim przywilejem i przyczyni się do wzrostu wiary w stanach Andhra Pradeś i Telangana – mówi hierarcha. I dodaje: – Jako kardynał będę starał się być głosem tych wszystkich, którzy z powodu swojej przynależności kastowej są go pozbawieni.

Okazuje się bowiem, że podziały kastowe są tak mocno zakorzenione wśród mieszkańców Półwyspu Indyjskiego – choć dyskryminacja z ich powodu jest prawnie zakazana – że uprzedzenia pozostają żywe także po konwersji z hinduizmu na chrześcijaństwo. Przykłady można mnożyć. Wśród nawróconych chrześcijan prawie brak małżeństw międzykastowych, a czasopisma prowadzone przez Kościół zamieszczały do niedawna ogłoszenia matrymonialne bez ogródek określające kastę przyszłej panny młodej lub pana młodego. W wielu miejscach w Indiach nadal buduje się oddzielne kaplice dla dalitów, a sporo indyjskich kościołów wciąż ma przeznaczone tylko dla nich osobne wejścia i toalety.

W mieście Tiruććirappalli, leżącym w sercu południowego stanu Tamilnadu, lokalny cmentarz katolicki dzieli mur, za którym chowani są dalici. Choć niedotykalni od lat domagają się jego usunięcia (zbudowano go przed sześcioma dekadami), to władze kościelne uznały, że są bezradne, ponieważ miejsce pochówku jest własnością prywatną.

Nie wszyscy jednak zgadzają się z tą argumentacją. – Kościół jest w pełni uprawniony do usunięcia tego muru – twierdzi ojciec Lourdunathan Yesumariyan, jezuita, praktykujący prawnik i działacz dalicko-chrześcijański. – Nawet jeśli cmentarz znajduje się na prywatnej działce, to Kościół zarządza cmentarzem i ponosi za niego pełną odpowiedzialność. Tak zresztą orzekł w swoim wyroku sąd najwyższy.

Zdaniem duchownego istnienie muru jedynie cementuje uprzedzenia kastowe, które w Tiruććirappalli trzymają się mocno: kilka lat temu dwóch księży zburzyło jego niewielką część, ale wpływowa grupa katolików z wyższej kasty szybko go odbudowała.

Abp Anthony Poola: – Nie ma sensu zaprzeczać, że kasty w Indiach istnieją i że odniesienia do nich we współczesnym społeczeństwie indyjskim są nieuniknione. Przeciwdziałanie temu systemowi w Kościele wymaga połączenia różnych zasobów ludzkich, materialnych i duchowych oraz gotowości do zmiany ze strony wszystkich.

Ucieczka od kasty

Koncepcja kasty zawarta jest w Manusmryti, świętym tekście hinduskim pochodzącym z II w. p.n.e., którego autorstwo tradycja hinduistyczna przypisuje Manu, mitycznemu praojcu ludzkości. Niski status społeczny jest wedle niej karą za grzechy w poprzednim życiu. Indyjscy dalici od wieków próbowali zrzucić to brzemię, przyjmując religie wolne od tego rodzaju podziałów: islam, buddyzm i chrześcijaństwo.

Chrześcijaństwo w Indiach ma długą historię – jego wprowadzenie przypisuje się samemu Tomaszowi Apostołowi (miał tego dokonać w południowo-zachodnim regionie Kerala w 52 r.). Tak głosi mityczny przekaz – żadne pisemne źródła bowiem nie potwierdzają tego faktu. Pewne jest natomiast, że w VI w. wspólnoty wywodzące się z chrześcijan syryjskich były już tu mocno zakorzenione. Rzymski katolicyzm wprowadzili w Indiach w XVI w. portugalscy, włoscy i irlandzcy jezuici. Od XIX w. obecne są również liczne denominacje protestanckie – w tym tradycyjny anglikanizm, wprowadzony w czasach Imperium Brytyjskiego.

W minionych wiekach dalici przechodzili głównie na islam, religię wyznawaną przez wielu indyjskich władców. Wraz z rozwojem gospodarczym kraju coraz większa liczba niedotykalnych przyjmuje jednak chrześcijaństwo. Prócz upragnionego poczucia godności, którego bezwzględnie odmawia im hinduistyczna doktryna, nie bez znaczenia są z pewnością konkretne korzyści, takie jak edukacja czy opieka zdrowotna, oferowane przez wiele katolickich kongregacji. Dzięki nim niedotykalni mogą znaleźć zatrudnienie poza sektorem państwowym, w przemyśle informatycznym i usługowym – czyli tam, gdzie liczy się znajomość angielskiego oraz obycie z zachodnią kulturą.

Życie w ukryciu

Indyjskie władze od lat konsekwentnie odmawiają chrześcijańskim dalitom dostępu do edukacji, pomocy finansowej i społecznej oraz rządowych przywilejów. Członkowie Indyjskiej Partii Ludowej (Bharatiya Janata Party), rządzącej krajem pod wodzą premiera Narendry Modiego od 2014 r., są zagorzałymi przeciwnikami konwersji z hinduizmu.

Tymczasem indyjska konstytucja zakazuje dyskryminacji dalitów i zapewnia im tzw. świadczenia afirmatywne – m.in. gwarancje zatrudnienia w urzędach federalnych na poziomie 15 proc. wszystkich stanowisk oraz możliwość kształcenia na państwowych uniwersytetach. Ma im to umożliwić odejście od ich tradycyjnych zajęć, czyli opróżniania latryn, zakopywania krowich zwłok i garbowania skór zwierzęcych. Jest w tym jednak haczyk – zgodnie z rozporządzeniem prezydenta kraju z 1950 r. z dostępu do tych przywilejów jest wykluczona każda „osoba, która wyznaje inną religię niż hinduizm". Zasada ta została dwukrotnie zmieniona – w 1956 r., gdy do akcji afirmatywnej włączono dalitów wyznających sikhizm, i w 1990 r., gdy objęto nią również dalitów buddystów. Dlaczego nie objęto wówczas tym wyjątkiem również chrześcijan? Twórcy tej legislacji posłużyli się argumentem, że obie te religie można w gruncie rzeczy uznać za odłamy hinduizmu, a skoro chrześcijaństwo (a także islam) nie mają kast, to dalici znajdują równość wśród swoich nowych współwyznawców, więc nie potrzebują już specjalnej ochrony ze strony państwa. Chrześcijańscy aktywiści w Indiach od dziesięcioleci próbują uzyskać dla chrześcijaństwa podobny wyjątek; projekt odpowiedniej ustawy w tej sprawie został zatwierdzony przez rząd krajowy już w 1996 r., ale do tej pory nie trafił pod głosowanie w parlamencie.

Według abp. Anthony'ego Pooli konstytucja Indii jest świętym dokumentem, który wszystkim może służyć za moralny kompas: – Jako kardynał będę dokładał wszelkich starań, aby prawa tego kraju zwyciężyły. Musimy powiedzieć sobie i innym, że możemy zdecydować się na uwolnienie od kastowego sposobu myślenia i budować relacje, które wykraczają poza etniczność, język, region i religię.

Spełnienie tych uroczystych obietnic nie będzie łatwe – w grę wchodzi zmiana mentalności całych grup społecznych. Jak na razie każdy niedotykalny porzucający hinduizm na rzecz chrześcijaństwa natychmiast traci uzyskane państwowe przywileje – łącznie z gwarantowanym miejscem pracy. Nierzadkie są też akty przemocy. Roczny raport na temat nienawiści wobec chrześcijan w Indiach, opublikowany w lutym tego roku przez Komisję Wolności Religijnej Ewangelickiego Stowarzyszenia Indii, dokumentuje 505 przypadków aktów przemocy wobec chrześcijan w całym kraju w 2021 r., w tym trzy morderstwa. Wymienia także inne formy nękania, jak zakłócanie kultu, ostracyzm społeczny oraz przymusową konwersję na hinduizm. Większość tych ataków miała miejsce na obszarach wiejskich i była wymierzona w chrześcijańskich dalitów i Adiwasich, również plasujących się na najniższych szczeblach społecznej drabiny (tym zbiorczym mianem określa się rdzennych mieszkańców Półwyspu Indyjskiego, należących do różnych społeczności plemiennych). Skutek jest taki, że wielu chrześcijańskich dalitów prowadzi podwójne życie – publicznie zachowują się jak hinduiści, ale swoje mieszkania ozdabiają obrazkami Jezusa i Maryi.

Mimo wszystko jezuita ks. AXJ Bosco – koordynator Zjednoczonego Frontu Praw Chrześcijan Dalitów – wiele się po nominacji kardynalskiej dla Anthony'ego Pooli spodziewa. Duchowny ten (również dalit) od lat lobbuje u indyjskich polityków oraz organizuje demonstracje w New Delhi na rzecz szerszych praw dla chrześcijan pochodzących z tej kasty. – Daje nam to silny impuls do dalszej walki o wyzwolenie – mówi. – To dla nas znak nadziei. ©

Szczęśliwi luteranie

TOMASZ P. TERLIKOWSKI

Klocki Lego i hygge, czyli duński styl życia, to znaki rozpoznawcze Danii. Rzadziej wspomina się o tamtejszej wersji religijności – państwowym Kościele, Folkekirken.

Wyprawa z młodszym synem do Kopenhagi była nie tylko spełnieniem jego, ale i moich marzeń. Ojczyzna klocków Lego dostępnych za czasów mojego dzieciństwa wyłącznie za twardą walutę w Peweksach, miejsce, gdzie rozgrywa się akcja znakomitego netfliksowego serialu „Borgen", przyciągało mnie od dawna. To jednak były tylko punkty zaczepienia, bowiem tak naprawdę chciałem zobaczyć miasto, w którym żył, pisał, przepuszczał fortunę swojego ojca, spotykał się, zaręczał i zrywał z narzeczoną jeden z najważniejszych dla mnie od czasów studenckich filozofów – Søren Kierkegaard. Doświadczenie tego miasta, miejsc dla niego ważnych, wejście do kościołów, w których się duchowo formował, modlił czy złościł na kaznodziejów miało więc dla mnie charakter pielgrzymki (w znaczeniu romantycznym), spotkania z religijnością, która mnie z jednej strony inspiruje, a z innej irytuje.

I nie chodzi tylko o osobistą (bardzo skomplikowaną i trudną do jednoznacznego sklasyfikowania) religijność duńskiego egzystencjalisty, ale także o konfesję, w której wyrósł, która go ukształtowała i na którą nieustannie miotał oskarżenia. „Precz z Kościołami państwowymi, z Kościołami ludowymi" – pisał w swoich „Dziennikach". I ten sam Kościół ludowy, z którym nieustannie polemizował, którego biskupów potępiał, ustawił jego wzniosłą figurę na frontonie jednego z najważniejszych kopenhaskich budynków kościelnych Marmorkirken, obok tych, których – jak choćby biskupa Jacoba Petera Mynstera czy Nikolaia Frederika Severina Grundtviga – najostrzej i najbardziej brutalnie gromił. Już samo to jest „ironią" (pojęcie ważne dla Kierkegaarda), ale także doskonale pokazuje specyfikę duńskiego luteranizmu i szerzej – modelu życia *hygge*.

Teologia błogostanu

To duńskie słowo oznacza przecież nie tylko wygodę, ale także „błogostan", „komfort bycia ze sobą i z innymi", bycie razem przy domowym ognisku, a wreszcie prawdziwą duńskość. W takim świecie ostre spory nie są dobrze widziane, ważniejsze jest ucieranie, dogadywanie się, mieszczańskie temperowanie emocji, by lepiej być ze sobą. I to dlatego wokół wzniosłego, trochę barokowego, a trochę eklektycznego Marmorkirken (z kopułą, co ciekawe, wzorowaną na Bazylice św. Piotra), niemal obok siebie stoją figury zarówno Kierkegaarda, jak i tych, z którymi z pasją polemizował. I on, i oni mają otaczać gmach duńskiego luteranizmu, być jego symbolami.

Tyle że z jego punktu widzenia to bzdura. On – nie tylko im, ale właśnie uosabianym przez nich wartościom, które leżą u podstaw laickiej wersji duńskiego luteranizmu, jakim jest *hygge* – wypowiedział wojnę. Dla niego wizja biskupa Mynstera oznaczała w istocie epikureizm, dążenie do szczęśliwego, spełnionego życia. „Cała jego powaga nie sięgała dalej niż do myśli o tym, by w dopuszczalny, ludzki i uczciwy sposób móc przejść przez życie szczęśliwie i dobrze" – pisał w „Chwili nr 6" Kierkegaard, a dalej przekonywał, że tego rodzaju myślenie jest w istocie zdradą chrześcijaństwa. „Tego rodzaju koncepcja życiowa zupełnie nie odpowiada wymogom chrześcijaństwa zawartym w Nowym Testamencie, nie jest koncepcją życiową pierwotnego chrześcijaństwa. Pierwotne chrześcijaństwo odnosi się tak bitnie do tego świata, że jego poglądem jest: nie chcieć prześlizgnąć się szczęśliwie i dobrze przez ten świat" – podkreślał duński filozof, a na koniec już zupełnie wprost gromił Mynstera: „Jest więc absolutna i niebios sięgająca różnica między Mynsterową koncepcją życia (która właściwie jest epikurejska, przynależy do tego świata, afirmuje rozkosze życiowe i chęć życia) i chrześcijańską, która entuzjazmuje się cierpieniem i śmiercią i dotyczy innego świata". To zatem, co proponuje Mynster (ale także inny wielki myśliciel i biskup duńskiego Kościoła, z którym Kierkegaard toczył nieustanne polemiki – Hans Martensen) jest w istocie kultem mieszczańskiego, wygodnego, narodowego życia odzianym w szaty udające chrześcijaństwo. Z prawdziwym, ewangelicznym chrześcijaństwem nie można i nie da się go, zdaniem Kierkegaarda, pogodzić.

Tyle że w chrześcijaństwie rozumianym tak, jak chce tego Kierkegaard, w ogóle nie ma miejsca na dziedziczenie, na wspólnotę, na doktrynę, która „jest wygodą małpowania dla nauczającego", „drogą do świeckiej władzy dla nauczyciela" („Dzienniki" NB 32:102). Kościół jako taki przestaje istnieć, zostaje zastąpiony przez wciąż na nowo zapoczątkowywany akt wiary, zaufania, samoustanowienia. Folkekirken (Kościół ludowy) ani żadna inna wspólnota wiary nie mogła więc przyjąć na poważnie tak głoszonej doktryny, bo oznaczałoby to w istocie samorozwiązanie. Świat chrześcijański, którego częścią są instytucje kościelne – zdaniem Kierkegaarda – „uczynił chrześcijaństwo zupełnym nonsensem", a „or-

SERGEI GAPON / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

Trasa wyścigu kolarskiego Tour de France obok kościoła Fryderyka (Marmorkirken) w Kopenhadze, 1 lipca 2022 r.

todoksja chrześcijańska w istocie chrześcijaństwo zamieniła w pogaństwo" („Dzienniki" NB 15:59). Dlaczego? Bo ono z nieustannie podejmowanego mierzenia się z życiem Chrystusa stało się teorią o Nim, zamiast cierpieniem z Nim, stała się szukaniem spokoju i dostatku. „Kościół walczący stał się tryumfującym, czyli ustabilizowanym światem chrześcijańskim" – wskazuje duński egzystencjalista we „Wprawkach do chrześcijaństwa".

Nie trudno więc zgadnąć, że Folkekirken poszedł raczej drogą Mynstera (a przynajmniej drogą, o jaką Kierkegaard Mynstera oskarżał), i bliższy jest raczej chrześcijańskiej wersji *hygge* niż wizji Kościoła walczącego. Wyraźny spadek liczby zawieranych małżeństw kościelnych (w roku 2017 była to tylko jedna trzecia wszystkich zawartych w Danii małżeństw), który Kierkegaarda z jego narastającą z wiekiem fobią seksualności i niechęcią do rodzinnego stylu życia by raczej cieszył, doprowadził do ukształtowania nowej formy „liturgii małżeńskiej" w wersji *light*. W jednej z duńskich parafii pastorka Sophie Nordentoft zdecydowała się na zaproponowanie parom skróconej – do piętnastu, dwudziestu minut – wersji nabożeństwa małżeńskiego, tak by pary mogły uniknąć drogich przygotowań, wielkich imprez. W efekcie tylko jednego dnia w jednym kościele ślub wzięły 24 pary.

Skrócone obrządki, większa różnorodność udzielania sakramentów, zmiana języka – to także lekarstwo, jakie proponuje Folkekirken na nieustanny spadek liczby przyjmowanych chrztów. I, choć szału nie ma, metody te sprawdzają się, bowiem choć na niedzielne nabożeństwa uczęszcza nieco ponad 2 procent Duńczyków, to już do konfirmacji przystępuje 70 proc. ośmio-, dziewięciolatków (a chrzczonych jest jeszcze więcej). Kierkegaard, który już w XIX wieku ubolewał nad tym, że w jego własnym Kościele za mało jest naśladowania Chrystusa i żywej wiary w Niego, zwróciłby jednak uwagę na jeszcze inną wielkość statystyczną: tylko 20 proc. w większości należących do Kościoła ludowego Duńczyków wierzy, że Jezus był Synem Bożym, a tylko 17 proc. wyznaje, że jest On Zbawicielem Świata.

Pastor ateista

Dane te nie powinny Polaków szokować, bo i u nas, choć jest lepiej, dalece nie wszyscy katolicy wierzą w zmartwychwstanie. Z badania przeprowadzonego przez TNS na zlecenie „Gazety Wyborczej" w 2013 r. na 96 proc. Polaków deklarujących się jako katolicy tylko 81 proc. uznaje istnienie Boga, a odpowiednio 48 i 47 proc. wierzy w śmierć Chrystusa na krzyżu i Jego Zmartwychwstanie. Jeszcze gorzej jest z wiarą w niebo (38 proc.), piekło (31), czyściec (30) czy istnienie diabła (28). Ściśle katolicki dogmat, jakim jest Niepokalane poczęcie, wyznaje 38 proc., a w sąd po śmierci wierzy 39 proc.

Wracając do Danii, nie ma tam nawet konieczności, by w istnienie Boga wierzył ksiądz. Kilkanaście lat temu krajem wstrząsnął skandal, który zdaniem konserwatywnych luteranów, a tych także w Kościele nie brakuje, przyspieszył zrywanie więzi z luteranizmem: ks. Thorkild Grosbøll w roku 2002 publicznie ogłosił, że jest ateistą. „Bóg należy do przeszłości. W rzeczywistości jest tak staromodnym starszym panem, że jestem zdumiony współczesnymi ludźmi wierzącymi w jego istnienie. Mam dosyć pustych słów o cudach i życiu wiecznym" – mówił. Reakcja jego przełożonej biskupki (kobiety są ordynowane na pastorki od roku 1948, a pierwsza z nich została biskupką w 1995 r.) była błyskawiczna – Lise-Lotte Rebel zawiesiła pastora w pełnieniu obowiązków proboszcza w parafii Taarbæk. Powody? Zanegowanie wyznania wiary Kościoła ludowego, podważenie zaufania do posługi pastorskiej, ignorowanie złożonych przyrzeczeń i wreszcie wywołanie zamieszania wokół wiary Kościoła.

Jej decyzja nie zakończyła jednak sprawy, bowiem to nie ona zatrudnia pastora, tylko ministerstwo ds. kościelnych, a ono odmówiło podjęcia takiej decyzji, sugerując, że nie wolno dyskryminować urzędnika państwowego (a tym jest pastor w Danii) ze względu na światopogląd. Pastor ateista został – i to był dalszy ciąg sprawy – wyjęty z jurysdykcji swojej biskupki i oddany w jurysdykcję biskupa Jana Lindhardta, który jasno deklarował, że uważa, iż w Folkekirken jest także miejsce dla pastorów ateistów. Grosbøll wrócił więc do posługi i był proboszczem aż do wcześniejszej emerytury w roku 2008.

Religia po duńsku

Ta historia wskazuje na jeden z kluczowych problemów Kościoła ludowego, a mianowicie na jego państwową strukturę. Od kilkunastu już lat coraz więcej Duńczyków (w tym pewna część biskupów) wskazuje, że ich wspólnota powinna przestać być Kościołem państwowym, ale wciąż do tego nie doszło. Jakie są efekty? Ministerstwo finansów ↦

↦ wtrąca się w kasę kościelną, minister ds. kościelnych reguluje, czy ateista może być pastorem, a państwo – niekiedy zgodnie z opiniami większości praktykujących luteranów, a niekiedy wbrew nim – ustala istotne elementy doktryny. Tak było z wprowadzeniem do rytuału kościelnego (wspieranych przez nieznaczną większość, ale dalece nie wszystkich duchownych i świeckich luteranów) „małżeństw osób tej samej płci", którego dokonano także na podstawie kolejnych decyzji ministra ds. kościelnych.

I właśnie na takie zagrożenie przesadnej interwencji państwa w życie Kościoła zwracają uwagę zwolennicy konserwatywnego teologicznie ruchu grundtvigianów, których zdaniem konieczne są nowe rozwiązania. „Potrzebujemy Kościoła w nowych szatach. W miejsce małżeństwa z państwem potrzebujemy nowych, eksperymentalnych relacji, które dadzą Kościołowi ludowemu wolną rękę i uświadomią, że to jest właśnie najlepsze rozwiązanie" – mówił już dziesięć lat temu w rozmowie z „Christian Daily" ks. Finn Riber Jensen, jeden z liderów tego zasłużonego dla Danii i Kościoła ludowego ruchu. Odpowiedź państwa na tamte sugestie była zdecydowana, i co ciekawe: odwoływała się do założyciela ruchu grundtvigianów ks. Nikolaia Frederika Severina Grundtviga. „Kościół i państwo zostaną od siebie oddzielone, kiedy mniej niż połowa populacji będzie jego członkami. Grundtvig tak powiedział i ja to popieram" – mówił w 2007 r. minister ds. kościelnych Bertel Haarder. Do tego jednak jeszcze daleka droga, bowiem – choć z Kościoła ludowego co roku odchodzą kolejni wierni – to rok temu 73,8 proc. populacji Danii była jego członkami.

Przy okazji tej dyskusji toczonej przy pomocy cytatów z Grundtviga trudno nie wrócić do tej postaci, także niezwykle ważnej – głównie polemicznie – dla Kierkegaarda. Dlaczego? Bowiem rzeczywiście obie strony sporu mogą się do niego odwoływać. Z jednej bowiem strony Grundtvig jasno wskazywał, że luteranizm i chrześcijaństwo są rozstrzygające dla tożsamości duńskiej, co oczywiście oznaczało, że powinny być wspierane przez państwo, ale z drugiej – już wtedy sprzeciwiał się zbyt dużej ingerencji państwa w sprawy ściśle religijne. Niezależnie jednak od tych sporów, to właśnie on i jego ruch, a także założone przez niego *folkehøjskolen* (ludowe szkoły istniejące do tej pory) umocniły duńską tożsamość i sprawiły, że „mądrość ludu", wspólnoty została uznana za prawdziwe źródła duńskości.

Pewien pastor stracił wiarę i – w konsekwencji – probostwo. Został jednak przywrócony do pracy przez ministra ds. kościelnych. **W Danii księża są urzędnikami państwowymi.**

„Demokratyzm pastora Grundtviga zbudowany był na przekonaniu, że lud lepiej wyraża Ducha Świętego niż wąska elita władzy, nie mówiąc już o królu – władcy absolutnym" – wskazywał w książce „Czepiam się Kierkegaarda" Bronisław Świderski. Nie oznaczało to jednak, że Grundtvig uważał, iż między ludem a władcą możliwy jest jakiś spór. „Grundtvig nie sądził bowiem, aby między tymi dwiema instancjami politycznymi mógł kiedykolwiek powstać antagonizm i walka, skoro obie były duńskie. Narodowy kolektyw posługujący się tym samym językiem był, jego zdaniem, trwalszy od haseł wzywających do walki klas. Współcześni mu ideolodzy nacjonalizmu utrzymywali, że jedność narodowa jest tym silniejsza, im bardziej jednostki przypominają siebie. Także Grundtvig był tego zdania: wszak wszyscy mieszkańcy Danii powinni być Duńczykami!" – uzupełniał Świderski. Być Duńczykiem oznaczało zaś czytać Pismo Święte i „Mały Katechizm" Marcina Lutra w języku duńskim, co w istocie oznaczało być luteraninem. Zlaicyzowane społeczeństwo odwróciło do pewnego stopnia kolejność i uznaje, że być luteraninem oznacza – do pewnego stopnia – bycie Duńczykiem. Z całym dobrodziejstwem, ale i problematycznością inwentarza.

Obecność

Wszystkie te spory, analizy nie powinny jednak przyćmiewać piękna luterańskiej religijności. Kopenhaskie kościoły, z jednej strony skromnie urządzone, z pięknymi obrazami, z drugiej – niekiedy wielkie i wyniosłe (w duchu narodowej gigantomanii), ukierunkowują wzrok na Chrystusa. I piszę to także o tych budowlach, które otwarte były głównie dla turystów, bowiem także tam, często nieco z boku, były wydzielone miejsca modlitwy, zazwyczaj ze świecznikiem w środku, z krzyżem na ścianie. Pierwszą emocją katolika było oczywiście zwrócenie uwagi na brak Najświętszego Sakramentu, który jest formą najlepiej dostrzegalnej Obecności w świątyniach katolickich. Z tej perspektywy w kościołach Folkekirken można było odnieść wrażenie pustki. Ale to pustka dająca przestrzeń na Słowo, na spotkanie, na Uobecnienie Tego, który jest niepoznawalny, niewyrażalny w słowach, nieogarnięty. Pustka, która ma moc stania się Obecnością.

Lektura Kierkegaarda w takich warunkach, wejście w jego myślenie, w jego radykalnie ujęte chrześcijaństwo są o wiele prostsze – szczególnie, gdy do takiego miejsca modlitwy wchodzi się z barwnego tłumu napełniającego Park Rozrywki Tivoli. Park, którego nie znosił już Søren Kierkegaard. I akurat w tej sprawie zgadzam się z nim całkowicie.

© TOMASZ P. TERLIKOWSKI

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 168/21 postępowanie z wniosku ZUS o stwierdzenie nabycia spadku po Ryszardzie Antczaku, zmarłym 30.01.2018 r., ostatnio zamieszkałym w Jarocinie. Skład spadku po zmarłym nie jest znany, poza pojazdami samochodowymi.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

WOJCIECH

Bonowicz:
Kąpiel

Przez kilka dni jestem stary. Przez kilka dni oddaję się w ręce innych ludzi, którzy decydują, co będę robił, o której i jak. Nigdy wcześniej nie stać mnie było na taki luksus: niemyślenia, uwolnienia od zobowiązań, wyzwolenia od siebie samego. Przez kilka dni, zaznaczam, nawet nie pełny tydzień, robiłem to, co dawno należało zrobić.

Zdawało mi się, że nie mam natury sanatoryjnej, nigdy mnie nie ciągnęło do takich turnusów, do życia opisanego w rubrykach: o tej masaż, o tej kąpiel, o tej borowina. Teraz wiem, że nie bolało mnie dostatecznie mocno, żebym za tym zatęsknił. Zdawało mi się, że to nie dla mnie, a teraz czekam na kolejny dzień zabiegów, spacerów, odpoczywania. Jem mniej niż zwykle, chodzę więcej, czytam tyle samo. Podczas posiłków słucham i obserwuję; gdybym pracował w międzywojennym tygodniku kulturalnym, pisałbym korespondencje z Horyńca, jakie nowe inwestycje poczyniono, o czym rozmawia się przy stole, kogo można spotkać na deptaku i tak dalej.

To jednak nie znaczy, żebym nawet na tych kilka dni stracił zainteresowanie tym, co się dzieje poza uzdrowiskiem. W ciszy, jaka tu panuje, łatwiej odróżnić ważne od nieważnego. Kiedy leżysz na borowinowym posłaniu, nagusieńki, jak cię Bóg stworzył, obłożony gorącym czarnym błockiem, a potem zmywasz je z siebie starannie pod prysznicem, myślisz o tym, ile niezdrowego błota wylewa się na ciebie codziennie z różnych stron. Ile informacji nieistotnych zajmuje ci czas i pamięć. Tymczasem toczy się wojna, tymczasem Odrą płyną martwe ryby, tymczasem w lasach na wschodniej granicy wciąż koczują ludzie... Nie, nie tylko smutne jest istotne, nie tylko jemu należy się nasza uwaga. Bo równocześnie otwierane są nowe miejsca spotkań i schronienia, ukazują się ważne książki, powstają znakomite spektakle. W Horyńcu oglądaliśmy Agnieszkę Przepiórską w monodramie, którego bohaterką jest Simona Kossak. Agnieszka złapała nas od pierwszych minut i nie wypuściła aż do końca. Zanurzaliśmy się z nią w las, w wodę, w osobisty dramat bohaterki i w szczęście, które zjawia się wtedy, kiedy robi się to, co we własnym przekonaniu powinnam, powinienem zrobić właśnie ja. To współczesna pieśń słoneczna, hymn na cześć życia spontanicznego, żywiołowego i odpowiedzialnego jednocześnie.

„Pycha to uparte dążenie do bycia tym, kim się nie jest ani nigdy nie miało być", pisał Merton. W takich miejscach jak to i w takim trybie życia wyzwalamy się od siebie i jednocześnie do siebie wracamy. Jesteśmy obolałym ciałem, ale też pragnieniem, by się ponad to ciało wznieść. Może ciało nigdy już nie będzie bez bólu, może coraz częściej będzie musiało kapitulować przed taką czy inną słabością, ale to nie znaczy, że niemożliwe jest szczęście ciała i szczęście poza nim. Przez kilka dni gromadzę w sobie siły na kilkanaście miesięcy, kiedy trzeba będzie zawalczyć o to, co dla mnie ważne, i pomóc tym, którzy w tej walce są osłabieni, poranieni, samotni.

Wysoko w górze gromadzą się chmury, ale burza nie nadchodzi. Na ławce pod tężnią przeglądam w telefonie najnowsze doniesienia. Maciek przysyła zdjęcie Leona zaglądającego do łazienki, w której nas nie ma. Zza futryny wystają dwa żółte, zaciekawione ślepia. Pani obok czyta powieść Parnickiego; chyba z sanatoryjnej biblioteki, bo gdzie indziej można dziś Parnickiego pożyczyć? Słona woda skapuje po gałązkach tarniny. Kobieta i mężczyzna po drugiej stronie tężni opowiadają sobie, skąd przyjechali i co im dolega.

Przez kilka dni jestem stary. To znaczy szczęśliwy. ©

POŻEGNANIE

Drogi Grzegorzu

jesteśmy z Tobą i Twoją rodziną
w tych bolesnych
i pełnych smutku chwilach.
Przyjmij nasze serdeczne
wyrazy współczucia
z powodu śmierci Twojego

Taty

Kazimierza Jankowicza

Przyjaciele z „Tygodnika"

MAM 80 LAT, CZEGO TU SIĘ BAĆ

SWIETŁANA GANNUSZKINA, ROSYJSKA DZIAŁACZKA PRAW CZŁOWIEKA:

Bywało, że ktoś ośmielił się powiedzieć: „Nie chcę jechać do Rosji". Na co usłyszał, że zastrzelą go na miejscu.

KATARZYNA SYSKA: Ilu w Rosji jest oficjalnie uchodźców?

SWIETŁANA GANNUSZKINA: 31 marca 2022 r., tuż po inwazji na Ukrainę, mieliśmy w Rosji dokładnie 304 osoby ze statusem uchodźcy. Gdy to mówię w rozmowach z zagranicznymi mediami, tłumacze zwykle dopytują: „Chyba 304 tysiące?". Bo nie do pojęcia jest, że tak ogromny kraj przyznał ochronę tak niewielu ludziom. Rosyjscy urzędnicy robią wszystko, by odrzucić składane dokumenty.

Dlaczego?

Zapytałam o to kiedyś Władysława Surkowa, wiceszefa administracji prezydenta. Był taki czas, gdy Surkow chciał

LEON KLEIN / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

Nawet 2 mln obywateli Ukrainy z jej wschodnich regionów mogło trafić na teren Rosji po tym, jak zaczęła ona pełnowymiarową agresję przeciw sąsiadowi. **OBOK:** *cywile, którzy ukrywali się w hucie Azowstal, idą do niewoli. Mariupol, 6 maja 2022 r.*

oswoić społeczeństwo obywatelskie i przyszedł na spotkanie do Memoriału. Odparł: „Wiecie, jak u nas działa zarządzanie w państwie? Na zasadzie sygnałów". Wtedy stało się dla mnie jasne, że problem nie tkwi w ustawach, lecz w tym, że w danej sprawie nie ma sygnału z „góry".

Dlaczego nie ma tego sygnału?

Nasza elita władzy, z Władimirem Putinem na czele, cierpi na ksenofobię, boi się zewnętrznych wpływów, migrantów. Jeszcze przed wojną w Syrii słyszeliśmy od Putina, że Europa „jęczy pod naporem uchodźców". Dlatego statusu uchodźcy Rosja nie daje prawie nikomu. Otrzymała go np. tylko dwójka Syryjczyków.

Te same mechanizmy dotyczą przyjeżdżających z Ukrainy?

Ukraińcy, którzy zaczęli do nas przyjeżdżać po aneksji Krymu i rozpoczęciu wojny w Donbasie, stanowią wyjątek. W 2014 i 2015 r. statusu uchodźcy Rosja udzielała tylko nielicznym pracownikom prokuratury i żołnierzom Berkutu [oddziałów policji, które tłumiły protesty na Majdanie – red.]; roczny azyl tymczasowy otrzymało ponad 300 tys. osób. Większość Ukraińców, którzy przyjechali do Rosji po 2014 r., otrzymała szybko rosyjskie obywatelstwo.

W 2014 r. w krótkim czasie zorganizowano ogromny tymczasowy obóz dla uchodźców w obwodzie rostowskim, w którym warunki były bardzo dobre, co potwierdzali przedstawiciele UNHCR i pracownicy naszego Komitetu Wsparcie Obywatelskie. Pod koniec 2014 r. w trybie natychmiastowym zarządzono jednak rozlokowanie uchodźców w rosyjskich regionach. Praktycznie w ciągu jednego dnia obóz opustoszał.

Jak wyglądało to rozlokowywanie?

Dzwonili do mnie z MSW – co się rzadko zdarza – i mówili: „Jeśli macie chętnych, pomożemy im się przenieść w inne miejsce. Np. na Magadan". Pytam, czy to żart. W moim biurze była akurat uchodźczyni z Ukrainy, powiedziała, że chętnie poleci. Upewniłam się, czy wie, gdzie jest Magadan. Ona na to, że się tam urodziła i ma tam ciocię. To był cud. W naszej rzeczywistości czasem tylko cuda nas ratują. Ta kobieta zadzwoniła do mnie po roku, aby powiedzieć, że wychodzi za mąż za pilota.

Zdarzały się takie historie, ale częściej było inaczej. Regiony Federacji Rosyjskiej udostępniły dla Ukraińców pensjonaty, ale latem 2015 r. chciały wysłać własne dzieci na wakacje, więc zaczęły je zamykać. Zadzwonił do mnie niemiecki dziennikarz i mówi, że w obwodzie twerskim ludzi z pensjonatu bez uprzedzenia wsadzili do autobusów, zawieźli na dworzec kolejowy i powiedzieli: „Jedźcie, dokąd chcecie". Zadzwoniłam do szefowej urzędu ds. migracji w MSW, przekazałam jej słowa niemieckiego dziennikarza. Ona na to, że nie wierzy cudzoziemcom. Do słuchawki telefonu przystawiłam telefon komórkowy, w którym słychać było płaczące dzieci. Zadzwoniła do gubernatora, uchodźców zakwaterowali.

Ale do końca 2015 r. skończyła się w Rosji wszelka pomoc dla uchodźców z Donbasu.

Potraktowano ich instrumentalnie, jak narzędzie propagandy?

Tak – to był czysto polityczny gest. Władze Rosji chętnie dawały obywatelstwo, ale, podobnie jak w przypadku Abchazji i Osetii, wolały, aby te osoby mieszkały u siebie. Żeby potem Władimir Władimirowicz mógł zerknąć w statystyki ↦

Wysłani do Rosji

DWA MILIONY: tylu obywateli Ukrainy, pochodzących z jej wschodnich regionów, mogło trafić na teren Rosji po tym, jak 24 lutego rozpoczęła ona pełnowymiarową agresję przeciw Ukrainie. Co do tej liczby zgadzają się zarówno strona rosyjska, jak też ukraińska – i na tym kończy się ich zgoda. Władze ukraińskie twierdzą, że ludzie ci zostali przymusowo deportowani do Rosji z terenów okupowanych przez rosyjską armię i że jest to powtórka metody stosowanej w czasach komunistycznych, gdy wysiedlenia i deportacje były narzędziem powszechnie stosowanym – wobec jednostek i całych narodów.

WŁADZE NA KREMLU utrzymują z kolei, że ci obywatele Ukrainy zostali ewakuowani ze strefy wojennej z powodów humanitarnych, i że są Rosji za to wdzięczni. Urzędnicy z Kremla twierdzą też, że „ewakuowana" w ten sposób ludność jest z reguły rosyjskojęzyczna. Zważywszy, iż Rosja odmawia otwarcie Ukraińcom prawa do ich tożsamości i odrębności oraz że jawnie przygotowuje aneksję okupowanych od 24 lutego terenów ukraińskich, wygląda na to, że Kreml postrzega tych ludzi jeśli nie wprost jako Rosjan, to co najmniej jako przyszłych obywateli Rosji – niezależnie od ich woli.

WŚRÓD TYCH dwóch milionów – sama ta liczba jest szacunkowa, gdyż nie wiadomo, ilu „ewakuowanym" udało się w międzyczasie wydostać z Rosji (czasem jest to możliwe) – zapewne są tacy obywatele Ukrainy, którzy mają poglądy prorosyjskie. Ale są też i tacy, jak pewna kobieta z Mariupola, o której losie opowiedział „Tygodnikowi" znajomy duchowny: jej rodzina, mieszkająca pod Żytomierzem, utraciła z nią kontakt wiosną, gdy Mariupol został oblężony przez Rosjan. Dopiero niedawno odezwała się, dzięki internetowym komunikatorom: dała znać bliskim, że żyje i że została wywieziona z Mariupola na Sachalin, wyspę na Oceanie Spokojnym u wschodnich wybrzeży Rosji. Poinformowała, że władze rosyjskie odebrały jej wszystkie dokumenty, przez co nie może opuścić Sachalinu. Co będzie dalej, nie wie.

SWIETŁANA GANNUSZKINA zajmuje się dziś losem takich właśnie ludzi – na ile tylko jest to możliwe. Gannuszkina, rocznik 1942, jest rosyjską obrończynią praw człowieka. Wieloletnia działaczka Memoriału, organizacji zajmującej się badaniami historycznymi i upamiętnieniem ofiar sowieckich represji, a także ochroną praw człowieka w krajach byłego Związku Sowieckiego (Memoriał oficjalnie zlikwidowano w Rosji w kwietniu 2022 r.). Założycielka Komitetu Wsparcie Obywatelskie (1990). Od lat 90. Gannuszkina dokumentowała naruszanie praw w Czeczenii.

©℗ WP

↦ i ze zdumieniem stwierdzić: o, okazuje się, że tam mieszka tak dużo obywateli Rosji, przecież musimy ich bronić! Dlatego w tych miejscach rosyjskie paszporty rozdawano jak karty z talii – komu popadło.

Czy po inwazji Rosji na Ukrainę 24 lutego relacje z władzą nie stały się dla Pani obciążające?

Nie. Moja organizacja nie może sobie pozwolić na lekceważenie urzędów. Samodzielnie możemy rozdać potrzebującym pieniądze, odzież, jedzenie – jeśli je akurat mamy – ale nie możemy dać im statusu uchodźcy, dokumentów. Nie możemy więc nie współpracować z państwem, w naszym przypadku to konieczność. Oczywiście od wybuchu tej wojny – a ja ją od początku nazywałam wojną – problemów jest więcej.

Spotkały Panią represje za nazywanie wojny wojną?

Dostałam mandat, którego jeszcze nie zapłaciłam. Próbowałam się odwoływać, ale chyba będę musiała zapłacić, bo rozprawę apelacyjną wyznaczono na 1 lipca, kiedy nie było mnie w Moskwie, więc wyrok nabrał mocy prawnej. Po powrocie do Moskwy zapłacę, choć nie chcę swoimi mandatami finansować wojny.

Oleg Orłow z Memoriału wychodził na pikiety już pięć razy, dostał kilka mandatów i może się to skończyć sprawą karną. Teraz jest dużo spraw karnych nie tylko za używanie słowa „wojna", lecz również za mówienie, że rosyjska armia zabija. O armii można mówić jak o zmarłych – albo dobrze, albo wcale.

Spodziewała się Pani, że Rosja zacznie tę pełnowymiarową już inwazję na Ukrainę?

Żyliśmy w wielkim napięciu, bo nasi politycy na czele z Putinem powtarzali, że nie zamierzają atakować. Doświadczyłam *déjà vu* – przypomniał mi się rok 1968. Moja córka miała wtedy półtora roku, siedziałam z nią na daczy, a mąż przywoził gazety i czytaliśmy zapewnienia, że Związek Sowiecki nie wprowadzi wojsk do Czechosłowacji. Na początku nas to uspokajało, a potem przestaliśmy w to wierzyć. Bo prawdę wystarczy powiedzieć raz. A jeśli coś wciąż powtarzają, a jednocześnie na granicy gromadzą się wojska, to zaczynasz rozumieć, że kłamią. Ta wojna to całkowite szaleństwo.

Dlaczego w ogóle niektórzy Ukraińcy trafiają do Rosji?

Proszę sobie wyobrazić: trwa bombardowanie, ludzie kryją się w piwnicach, brakuje wody, jedzenia, czasem nawet powietrza. Nagle drzwi się otwierają, wpada światło słoneczne, wchodzą jacyś mężczyźni i mówią: „Wsiadajcie do autobusów, zawieziemy was w bezpieczne miejsce". Ludzie nie pytają, czy nie można pojechać gdzie indziej. Biorą, co jest. A wariantów nie ma – albo do Rosji, albo nigdzie.

To nie jest dobrowolny wybór. Raz czy dwa słyszałam, że ktoś ośmielił się powiedzieć, iż nie chce jechać do Rosji, na co usłyszał, że zastrzelą go na miejscu. Urządzają czystki jak w Czeczenii. Analogii z wojnami czeczeńskimi w ogóle jest dużo. Ludzie jadą więc tam, dokąd ich wiozą. Ale gdy już trafiają do Rosji, tych, którzy przychodzą do naszej organizacji, pytamy: chcecie tu się urządzić czy wyjechać? Większość chce jednak zamieszkać w Rosji.

Jest takie błędne przekonanie, że ludzie w sytuacji zagrożenia wybierają miejsce ucieczki ze względów politycznych. Ale najczęściej jadą do krewnych, znajomych – tam, gdzie ktoś może ich przyjąć. A obywatele Ukrainy często mają w Rosji bliskich i znajomych.

Jak taki wyjazd uzasadniają?

Po pierwsze, wielu mieszkańców Donbasu ma pretensje wobec Ukrainy. Mam wrażenie, że czują się przedstawicielami „rosyjskiego świata" bardziej niż my. Ich rodzimym językiem był rosyjski, chcieli mówić tylko po rosyjsku, i gdy z tego powodu spotykali się z jakąś krytyką, czuli się dyskryminowani.

Nie da się porównać tamtej sytuacji – po roku 2014 – z obecną. Teraz giną przecież dziesiątki tysięcy ludzi. Jednak wielu mieszkańców Donbasu kulturowo bardziej utożsamia się z Rosją niż z Ukrainą. Żyją w ciągłym napięciu i gdy słyszą wybuchy, są skłonni wierzyć, że to Ukraińcy ich krzywdzą.

Czy są gotowi przyznać, że to Rosja ostrzeliwuje ich miasta?

Nie. To znaczy myślę, że rozumowo mogliby to przyznać, ale i tak powiedzą, że nie wiedzą, kto strzelał.

Drugi czynnik to działanie propagandy. Wciąż nie mogę uwierzyć, że nasza propaganda, która mnie wydaje się taka toporna, na wielu działa. Mieszkańcy wschodnich obwodów Ukrainy oglądają naszą telewizję, ale nie widzą naszej rzeczywistości. Paradoksalnie na nas telewizor działa słabiej niż na nich, bo my w Rosji możemy porównać obraz medialny i rzeczywistość. Pewien Ukrainiec opowiadał mi jakieś straszne historie i nagle zrozumiałam, że nie mógł być świadkiem tych wydarzeń, bo działy się jednocześnie w kilku miejscach. Więc poprosiłam, by opowiedział tylko o tym, co widział na własne oczy. On na to: „Wszystko widziałem na własne oczy. W rosyjskiej telewizji".

A co pani powie na taką relację: „Siedzieliśmy w piwnicy, usłyszeliśmy na podwórzu »Allah akbar«, przeżegnaliśmy się i zrozumieliśmy, że przyszli nasi, Rosjanie". W poczekalni naszego Komitetu, gdzie siedzi kilka osób, postawna Ukrainka mówi: „Zobaczyłam Ramzana Kadyrowa i zrozumiałam, że jesteśmy uratowani". Nasza pracownica Czeczenka, której krewni zginęli z winy Kadyrowa,

WOLFGANG SCHMIDT / RIGHT LIVELIHOOD

Swietłana Gannuszkina, Sztokholm, listopad 2016 r.

powiedziała wtedy: „Nie dam rady, przydzielcie mnie do kogoś innego".

Trzeci czynnik, który na pewno ma znaczenie, choć nie jest dominujący: uchodźcy przybyli do Rosji nie znają naszych poglądów politycznych i dostosowują swoje wypowiedzi do sytuacji. Ale nasi współpracownicy mają duże doświadczenie w prowadzeniu wywiadów i często okazuje się, że uchodźcy są zadowoleni, że trafili do Rosji, bo „tu jest silny lider, a u nas władza się ciągle zmienia, tu jest porządek". Czyli znowu: propaganda działa.

I ostatnia przyczyna, niepolityczna, o której już mówiłam: chcą zostać w Rosji, bo tu mają krewnych i znajomych.

Ocenia Pani te postawy?

Czasem to złożone sytuacje. W 2015 r. trafił do Komitetu Wsparcia Obywatelskiego mężczyzna z taką historią: mieszkał w Doniecku i było mu wszystko jedno, czy miasto będzie włączone do Rosji, czy zostanie przy Ukrainie. Uważał, że ta wojna go nie dotyczy. Ale w trakcie natarcia armii ukraińskiej zginęła jego sąsiadka w ciąży. Chwycił więc broń i dołączył do oddziału separatystów. Trafił do ukraińskiej niewoli, po czym w ramach wymiany jeńców po jakimś czasie wrócił do swojego oddziału do Doniecka. Zobaczył, że jego towarzysze to maruderzy, zajmują się rozbojem – więc zdezerterował. Trudno mi było jakoś mu pomóc.

Zapytałam mojego przyjaciela Jewhena Zacharowa [przewodniczący Ukraińskiego Związku Helsińskiego na rzecz Praw Człowieka – red.], co się stanie, jeśli wyślemy tego człowieka do Ukrainy. Odpowiedział, że trafi na ławę oskarżonych. A do Doniecka nie chciał wracać. Gdy opisałam tę historię, oberwałam ze wszystkich stron. Bracia demokraci krzyczeli: bronisz separatysty! Inni wysyłali go z powrotem do Doniecka, by walczył o swoją republikę, a nie siedział tu bezczynnie. Dla Ukraińców był zdrajcą. Z trudem udało nam się załatwić mu prawo pobytu w Rosji.

Jewhen Zacharow to niesamowity człowiek. Jestem mu wdzięczna, że jako Ukrainiec nie odwrócił się od nas i nie powiedział, że jesteśmy obywatelami kraju-okupanta i wszystkich nas trzeba zniszczyć. Jednakowo oceniamy wojnę i zachowanie władz. To wielkie szczęście, że nie ma między nami konfliktu. Bo mogli się od nas odwrócić i mieliby ku temu wszelkie podstawy. Zdarzyło się po 2014 r., że ukraiński aktywista nie chciał mi podać ręki. Nie było to dla mnie przyjemne, ale nie mogę powiedzieć, że czułam się obrażona. Miał prawo do takiego zachowania. W końcu ponosimy odpowiedzialność za naszą władzę.

Zdarzają się Ukraińcy, którzy z Rosji chcą jednak uciec?

Współpracujemy z prężną grupą wolontariuszy, którzy pomagają ukraińskim uchodźcom wydostać się z Rosji. Ale proporcja jest mniej więcej taka, że jedna osoba na dziesięć chce jechać do Europy.

To ci, którzy mają poglądy antykremlowskie?

Nie chodzi o poglądy. Ludzie potrzebują tu i teraz jakoś zorganizować sobie życie. Prosiliśmy Komisję Europejską o przyznanie nam pieniędzy dla tych uchodźców – nie otrzymaliśmy ich. Kilka razy dzwonili do mnie z KE i pytali, czy to, że pomagamy uchodźcom z Ukrainy w Rosji, nie jest udziałem w przymusowym przesiedlaniu Ukraińców. Nie rozumiem tego. Co to za logika? Przychodzi do mnie człowiek, który potrzebuje leków, a ja będę go pytać, po co do nas przyjechał? Pomagamy tym, którzy już są na terytorium Rosji. Nie bierzemy udziału w przymusowym przesiedlaniu.

Na pytanie, dlaczego uczestniczymy w polityce państwa, odpowiadam: nie uczestniczymy. Kontynuujemy naszą pracę z ludźmi, udzielamy im pomocy, ↦

↦ której potrzebują w tym momencie. Nikogo tu nie ściągamy. Zabawne – wcześniej to władze rosyjskie zarzucały nam, że ściągamy do Rosji uchodźców.

W 2012 r., gdy Putin ponownie doszedł do władzy, łamiąc 81. artykuł konstytucji, odeszłam z Rady ds. Praw Człowieka przy prezydencie Rosji. Wychodziłam z założenia, że skoro to rada przy prezydencie, to powinnam móc mu coś doradzić. A doradzić mogłam tylko jedno: „Proszę nie łamać konstytucji".

Z jakimi sprawami zwracają się do Was teraz uchodźcy?

Że nie dostali tych 10 tys. rubli, które Putin wszystkim obiecał, i po przyjeździe zostali bez środków do życia. Najgorsza jest jednak tzw. filtracja na granicy [rosyjska procedura śledcza, podobna jak podczas wojen w Czeczenii – red.]. Bo jak w wielu sprawach w rosyjskiej rzeczywistości, wszystko zależy od tego, kto konkretnie filtrację przeprowadza. Sadyści mają tam pole do popisu.

Czyli nie ma odgórnych instrukcji?

Problemem jest brak precyzyjnych kryteriów, kogo można, a kogo nie wolno przepuszczać. Prawdopodobnie są ogólne wytyczne, by najdokładniej sprawdzać mężczyzn, brać odciski palców, sprawdzać telefony, tatuaże i przesłuchiwać. Przesłuchania wyglądają różnie. Niektórzy skarżą się, że byli bici. Jednych puszczają po 20 minutach, innych trzymają po 5-6 godzin. Pytają o rozlokowanie ukraińskich wojsk. Nie wiem, po co ludzi, którzy siedzieli w piwnicach, męczyć pytaniami o takie rzeczy, skoro armia rosyjska ma sprzęt, drony. Kobiety mówią, że czuły się zagrożone, gdy kontrolowało je kilku uzbrojonych mężczyzn, pozwalając sobie przy tym na rubaszne zaczepki. O przemocy seksualnej mnie osobiście nikt nie opowiadał. Sprawdzają też, czy mężczyźni nie mają otarć na barku od broni.

Co się dzieje z tymi, którzy nie zostaną przepuszczeni?

Czasem aresztują za tzw. wykroczenie administracyjne. Np. za używanie niecenzuralnych słów w miejscu publicznym. Pomagaliśmy kiedyś w Kraju Krasnodarskim mężczyźnie, którego siedem razy pod rząd o to oskarżyli – kończył się jeden areszt i w momencie zwolnienia znów go aresztowali „za wulgaryzmy".

Gdy moje dzieci opuszczały Rosję, bardzo to przeżywałam. Ale kiedy podczas procesu, na którym broniłam Czeczenki, podstawieni przez służby ludzie grozili mi, że je dopadną, poczułam ulgę.

Nie było żadnych poważnych przyczyn, po prostu funkcjonariusze MSW go nie lubili, a poza tym jego żona – Rosjanka o jasnych włosach i niebieskich oczach – przeszła na islam. W końcu za siódmym razem wysłałam tam prawnika, który dosłownie „odbił" go z komisariatu po kolejnym zwolnieniu i zatrzymaniu.

W ten sam sposób „odbiliśmy" ostatnio dwóch Ukraińców. Szukali na nich cięższych zarzutów. Jeden miał wytatuowaną kobietę z pejczem. Rozmawiałam w jego sprawie z Tatianą Moskalkową, rzeczniczką praw człowieka Federacji Rosyjskiej. Pytałam, co ma Ukraina do kobiety z pejczem, bo mnie się kojarzy wyłącznie z pastereczką.

W tym czasie służby szukają dowodów, żeby taką osobę skazać już z artykułu kodeksu karnego. A przestępstwem jest np. bycie żołnierzem armii ukraińskiej.

Szukałam niedawno adwokata dla mężczyzny, który trafił do rosyjskiego aresztu śledczego. Bezskutecznie. Pewien prawnik powiedział mi, że do „tego aresztu" – Nowozybkowo w obwodzie briańskim, przy granicy z Ukrainą – adwokaci nie chodzą, bo mówi się, że tam trzymają cudzoziemców. Zrozumiałam, że „nie chodzimy do tego aresztu" należy czytać: „zalecają nam trzymać się z daleka od tego miejsca". Ludzie, którzy trafiają do aresztów śledczych, przepadają.

Zdarza się, że ludzie znikają bez śladu?

Niestety tak. To jest najgorsze. Człowiek dojechał do granicy, a potem znika. Nie ma go w aresztach śledczych, nie wytoczyli mu sprawy administracyjnej, nic.

Próbujecie ich szukać?

Nie mamy jak. Piszę pisma do Moskalkowej. Np. piszę, że przyszła do mnie kobieta, która twierdzi, że jechała z synem, ona przeszła przez granicę, a syn nie. Dzwonią do mnie, mówią, że się tym zajęli, że wystosowali zapytanie do odpowiednich organów. I nic. Rozumiem, że nie dostali odpowiedzi. W ogóle Moskalkowa i rzecznicy regionalni to nasz ostatni kanał kontaktu z władzą.

Jaki jest stosunek Rosjan do uchodźców z Ukrainy?

Dostajemy dużo wpłat. Tylko wczoraj wpłynęło 170 tys. rubli. To jakieś dwadzieścia razy więcej, niż dostawaliśmy w poprzednich latach. Ofiarodawcy do wojny mają różny stosunek. Są tacy, którzy święcie wierzą, że tam czegoś bronimy, tylko nie wiedzą, czego. Wydaje mi się, że większość Rosjan wie, że nie walczymy tam z żadnymi faszystami. Mimo to, jeśli porównać tę wojnę z wojnami czeczeńskimi, gdy matki jechały na front i osobiście zabierały stamtąd swoich synów, to dziś takiego ruchu nie ma. Może dlatego, że wtedy jednak relacje między społeczeństwem a władzą były bliższe, bardziej bezpośrednie – szczególnie za Jelcyna, podczas pierwszej wojny czeczeńskiej. Jelcyn rozumiał, że jest jakoś zależny od narodu, bo to naród go wybrał. A Putin był już protegowanym Jelcyna, nie czuł zależności od narodu.

Przecież Rosjanie na początku masowo głosowali na Putina.

Nie, za Putina normalnych, całkiem uczciwych wyborów nigdy nie było. A Jelcyn za pierwszym razem uczciwie wygrał. Muszę to przyznać, choć nigdy na niego nie głosowałam, bo to był dawny działacz komunistyczny i populista.

Teraz ludzie boją się mówić, ale myślę, że coraz dobitniej do nich dociera, że to zbrodnicza wojna. A żołnierze kontraktowi idą do armii dla pieniędzy.

Dlaczego Pani mówi i działa bez autocenzury?

A czego mam się bać w wieku 80 lat? To by było śmieszne. Mam przewagę – moje dzieci nie mieszkają w Rosji. Wyjechały w 2000 r. Bardzo to wtedy przeżywałam. Ale gdy podczas jednego z procesów, na którym broniłam Czeczenki, podstawieni przez służby ludzie zagrozili mi, że dopadną moje dzieci, poczułam ulgę.

© Rozmawiała KATARZYNA SYSKA

Wolontariuszki

PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KIJOWA, CHARKOWA I SŁOWIAŃSKA

Pół roku po rozpoczęciu inwazji Ukraińcy wciąż pomagają swojej armii, często wysupłując ostatnie pieniądze i resztki sił.

Ponad pół roku temu był to sklep wędkarski. Dziś tylko manekiny i elementy wystroju przypominają o jego przeszłości. Po 24 lutego pomieszczenie zamieniono na centrum pomocy dla żołnierzy. Mogą otrzymać tu cały ekwipunek: od skarpet i bielizny przez mundury, śpiwory i karimaty po kamizelki taktyczne i kuchenki turystyczne. Jak trzeba, wolontariuszki zorganizują też auto.

– Zbędnych rzeczy nie bywa, wszystko znika raz-dwa – mówi 43-letnia Tetiana Chimion, choreografka i właścicielka studia tańca. Jest jedną z trzech kobiet, które rzuciły wszystko, by wspierać wojskowych, którzy trafili w okolice Słowiańska, miasta w obwodzie donieckim.

Po pół roku wojny na pełną skalę, po ostrzałach, zbliżającym się froncie i wezwaniach władz do ewakuacji centrum w sklepie rybackim jest dziś ostatnim w mieście zorganizowanym punktem wsparcia. Mimo trudności Chimion i jej koleżanki nie chcą wyjeżdżać. – To mój kraj i dom, będę tu do końca – stwierdza. – Jeśli nie pomożemy chłopakom na froncie, to front dotrze do cywilów.

Pomaganie jest jednak coraz trudniejsze, bo wolontariusze w całym kraju mierzą się ze słabnącym wsparciem zarówno ze strony rodaków, jak z zagranicy.

Idę

Gdy 24 lutego krajem wstrząsały wybuchy rakiet, w Słowiańsku było cicho. Chimion wstała z mężem jak zwykle koło dziewiątej. Zbierała się do pracy, jak co dzień miała prowadzić zajęcia z dziećmi i nastolatkami. Zaczynała zwykle koło trzynastej i kończyła wieczorem. Do jej studia przychodziło ok. 300 osób, z czego część brała udział w licznych zawodach. Na marzec szykowali się do Białki Tatrzańskiej, a na kwiecień do Wielkiej Brytanii.

Tetiana i jej mąż włączyli telewizor do śniadania i zrozumieli, że zaczęła się inwazja na ich kraj. Mąż ogolił się i powiedział: – Idę.

– Jesteś pewien?

– Tak.

Więcej nie pytała. Razem pojechali do komisji poborowej. Jego wzięli do obrony terytorialnej, jej nie. W pierwszej kolejności przyjmowano osoby z doświadczeniem. Nie podobało jej się to kryterium. Chimion uważa, że poborowi powinni być sprawdzani w komisji także pod kątem gotowości do walki i wytrzymałości w warunkach ekstremalnych. Czuła, że może poradzić sobie nawet w najgorszej sytuacji. – Nie wpadam w histerię, a czasami wręcz przeciwnie: w skrajnych warunkach staję się spokojniejsza – mówi.

PAWEŁ PIENIĄŻEK

43-letnia **TETIANA CHIMION** pracuje w ostatnim centrum pomocy dla wojskowych w Słowiańsku – mieście w pobliżu frontu. Słowiańsk, 19 lipca 2022 r.

Trzy kategorie

Poza tym Tetianę zahartowały wydarzenia sprzed ośmiu lat. Wojna w Donbasie zaczęła się właśnie od Słowiańska: to nieduże miasto stało się bazą Rosjan i miejscowych separatystów.

Chimion pamięta tamten dzień w kwietniu 2014 r., jakby zdarzył się wczoraj. Jej studio tańca jest naprzeciw budynku Służby Bezpieczeństwa Ukrainy. Zaczynała zajęcia, podeszła do okna, by włączyć magnetofon. Do siedziby SBU podbiegło dwóch mężczyzn, jeden podsadził drugiego przez bramę, a tamten go wciągnął. Minęły może dwie minuty, gdy funkcjonariusz wyszedł z portretem prezydenta-zbiega Wiktora Janukowycza pod jedną pachą i z komputerem pod drugą. Chimion i dzieci odprowadzały go wzrokiem, aż wsiadł do auta i odjechał.

Wokół miasta wkrótce rozgorzały walki, a Chimion zaczęła odczuwać silny związek ze swoim krajem. – Wcześniej po prostu mieszkaliśmy na Ukrainie, więc nie byłoby różnicy, jakby był to Kazachstan – przyznaje.

Chimion została w Słowiańsku przez dwa miesiące. Gdy miasto było coraz częściej ostrzeliwane, zdecydowała się wyjechać – bała się o synów, wtedy trzynasto- i dziewięciolatka. Siły rosyjskie opuściły miasto latem, Słowiańsk wrócił pod kontrolę Ukrainy.

Chimion twierdzi, że na tej wojnie są trzy kategorie ludzi. Pierwszym się ona podoba. Drudzy rozumieją, że jest konieczna i trzeba przez nią przejść. Trzeci po prostu chcą przeżyć.

W 2014 r. ona należała do tej ostatniej kategorii, z czasem przeszła do drugiej: wojna trwa i trzeba zrobić wszystko, by w niej zwyciężyć. Dlatego tuż po tym, jak miasto odzyskały ukraińskie wojska, przez kolejne lata zajmowała się pomocą dla żołnierzy.

Dziś intensywność wydarzeń jest nieporównywalna z rokiem 2014. – Jeszcze trochę tu posiedzę i trafię do pierwszej grupy – żartuje Tetiana.

Od rana do wieczora

Nie zdeprymowała jej odmowa w komisji poborowej. Nie zamierzała pozostawać bezczynna. Odświeżyła kontakty i jeszcze tamtego 24 lutego pojechała do sąsiedniego Kramatorska, aby pleść siatki maskujące dla armii. Dwa dni później była już w sklepie rybackim w Słowiańsku, bo żołnierze nie mieli do kogo się w nim zwrócić.

W pierwszych dniach było ciężko. Tetiana i pozostała część zespołu pisali do znajomych, aby każdy przynosił, co może. Potrzeby były ogromne, bo ukraińska armia w zasadzie z dnia na dzień rozrosła się do ogromnych rozmiarów.

Ci, którzy stacjonowali w okolicach Słowiańska, mogli odtąd liczyć na pełne zaopatrzenie w sklepie rybackim. W przeciwieństwie do wielu punktów wsparcia tutaj żołnierze mogli brać hurtowo ↦

↦ niezbędne rzeczy, tak aby wystarczyło dla całej jednostki. Dziennie przychodziło około stu wojskowych i każdy czegoś potrzebował. Z czasem zespołowi ze sklepu rybackiego udało się znaleźć darczyńców nie tylko z Ukrainy, ale też z Czech, Niemiec i Stanów Zjednoczonych.

– Już nie było nam wstyd, że nic nie mamy – przyznaje Chimion.

Jednak po paru miesiącach to wsparcie zwolniło. Jedni się zmęczyli ciągłym działaniem, drugim skończyły się środki, bo wiele osób na Ukrainie straciło pracę i źródło dochodów. Ponadto pomoc stała się bardziej scentralizowana i sformalizowana. Często nie są już to jedynie spontaniczne działania. Mniejsze punkty wsparcia, takie jak dawny sklep rybacki, które nie mają rozbudowanych struktur, są na straconej pozycji.

W centrum pomocy Tetiana przebywa od rana do wieczora. Czasami przynosi ze sobą komputer, aby pisać wnioski o wsparcie do różnych instytucji.

– Tylko go otworzę, a zaczynam szukać, coś pisać, i zaraz ktoś przychodzi. Mijają dwie godziny i próbuję sobie przypomnieć, co robiłam – opowiada. – Dlatego piszę wnioski po nocach, proszę też o pomoc znajomych.

Tetiana Chimion twierdzi, że pozytywna odpowiedź przychodzi na jeden z dwudziestu wysłanych wniosków. Czasami sklep rybacki odstrasza inne organizacje hurtowymi zamówieniami, bo one są przyzwyczajone do mniejszych, ale bardziej skonkretyzowanych działań. Do tego wiele fundacji, szczególnie tych zagranicznych, z założenia pomaga nie wojskowym, lecz tylko ludności cywilnej.

Trupa w akcji

Szybko do tych zmian przystosowuje się charkowski SzOK Kulturowy. SzOK to skrót od Sztab Ołeha Kadanowa.

Kadanow jest muzykiem, aktorem i poetą, od lat pomaga żołnierzom. Kulturalny SzOK powstał spontanicznie, a z czasem stał się sformalizowaną organizacją.

Od pierwszych dni rosyjskiej inwazji z Kadanowem współpracuje 24-letnia Tetiana Hołubowa. Od jakiegoś czasu odpowiada za pozyskiwanie środków dla SzOK-u. Gdy spotkałem się z nią w połowie marca [patrz „TP" nr 13/22 – red.], jej telefon dzwonił nieustannie po tym, jak lokalny portal opublikował jej numer z informacją, że to sztab humanitarny Charkowa.

PAWEŁ PIENIĄŻEK

24-letnią **TETIANĘ HOŁUBOWĄ** po raz pierwszy spotkałem w marcu w Charkowie. Wtedy spędzała noce w piwnicy ze względu na częste ostrzały. Charków, 19 marca 2022 r.

– Wtedy nie zastanawialiśmy się, czym jesteśmy – przyznaje Hołubowa. – Nie było żadnej struktury, wszystko działo się spontanicznie.

SzOK Kulturowy to grupa znajomych związanych ze środowiskiem teatralnym. Jak to w takich sytuacjach bywa, na początku wszyscy robili, co akurat było trzeba. Zresztą regularne ostrzały i bombardowania półtoramilionowego wcześniej Charkowa nie dawały zbyt wielu okazji, aby systematycznie planować działania. Po prostu wstawali rano, jedli szybkie śniadanie i gnali, aby załatwić, co się tylko da, zanim wieczorem zacznie się godzina policyjna.

Kadanow wraz z kilkoma osobami woził rzeczy wojskowym: celowniki, drony, okulary taktyczne, krótkofalówki. Ktoś dzwonił do Hołubowej i mówił, że ma pół tony kaszy, a ona szukała miejsc, dokąd można ją rozwieźć. Jej koleżanka szukała agregatu prądotwórczego. Ktoś inny prosił o niezwłoczne przywiezienie leków, więc obie ich szukały; następnie próbowały znaleźć kierowcę gotowego je zawieźć. W międzyczasie odpowiadały na niekończące się telefony i wiadomości wysyłane na wszystkie możliwe komunikatory. I tak przez cały dzień.

Cztery tysiące

Było jasne, że długo w takim trybie nie wytrzymają, zaczęli więc dzielić różne obowiązki pomiędzy tych, którzy byli na miejscu w Charkowie, i tych, którzy pomagali na odległość. Przez cały ten czas ich liczba wahała się w okolicach dziesięciu osób.

W pierwszych miesiącach pomagali nawet czterem tysiącom osób dziennie – ludności cywilnej w Charkowie, w tym uchodźcom wewnętrznym, a także wojskowym. Z czasem, gdy sytuacja w mieście się ustabilizowała – przy czym owa stabilność polega na tym, że Charków jest ostrzeliwany właściwie codziennie – ruszyli z pomocą także dla mieszkańców podmiejskich wsi wyzwolonych spod rosyjskiej okupacji.

– Jakoś od czerwca w Charkowie zaczęło działać więcej sklepów, wznowiono transport publiczny, wciąż działały punkty wydawania pomocy humanitarnej i organizacje partnerskie. Postanowiliśmy, że w mieście będziemy pomagać tylko tym, których znamy i wiemy, że naprawdę tego wsparcia potrzebują. Poza tym wciąż rozwozimy lekarstwa – opowiada Tetiana Hołubowa. – Natomiast we wsiach znajdujących się w pobliżu frontu nie działa praktycznie nic, a ci, którzy tam zostali, są zazwyczaj w podeszłym wieku.

Już w pierwszych tygodniach inwazji Hołubowa wraz ze współpracowniczką stworzyły formularz w Google'u, który udostępniały osobom proszącym o pomoc. Opracowały też tabele i na ich podstawie pomoc była rozdawana z większą precyzją.

Dopóki „rusnia" nie zniknie

W międzyczasie Tetiana Hołubowa zmieniła numer telefonu, by nareszcie móc trochę wytchnąć. Także tempo pracy trochę się zmieniło: nie jest to już szaleńczy galop, tylko rozkładanie sił na długi marsz. Bo w którymś momencie w SzOK-u uświadomili sobie, że wojna szybko się nie skończy. Dlatego część czasu Tatiana poświęca na pracę zarobkową. Musi w końcu z czegoś żyć. Pisze też wnioski grantowe dla zespołu teatralnego, który obecnie znajduje się we Lwowie.

Ponadto do 24 lutego Tetiana pracowała przy konferencji Fake X, której celem była walka z nieprawdziwymi informacjami. Spotykanie się w Charkowie jest obecnie niemożliwe, więc zespół Fake X szykuje inne sposoby na to, by organizować się na odległość.

Teraz w SzOK-u poszukują przede wszystkim środków na dalsze działania. Zwracają się, gdzie tylko mogą, składają wnioski. Jeśli chodzi o wspieranie żołnierzy, to Hołubowa przyznaje – podobnie jak Chimion – że dziś jest z tym trudniej. Otrzymują darowizny z prywatnych środków, od firm informatycznych czy znajomych przebywających za granicą. Hołubowa zauważa też, że pomoc nie

płynie już tak szerokim strumieniem jak na początku inwazji, gdy walki toczyły się nie tylko na południu i wschodzie Ukrainy, ale także w jej centralnej części, w tym wokół Kijowa.

– Przez pierwszych kilka tygodni czy nawet miesięcy mieliśmy wrażenie, że wszyscy coś robili, a potem stopniowo się wykruszali. Myślę, że ludzie nie mogą być ciągle skupieni na tym, co jest daleko i ich bezpośrednio nie dotyczy – przyznaje.

Ona nie zamierza przerywać swojej pracy, dopóki wojna się nie skończy.

– Wszyscy mamy jeden problem: jest nią „rusnia" na naszym terytorium – mówi Tetiana Hołubowa, używając pogardliwego określenia Rosjan, często stosowanego po 24 lutego. – Jeśli mogę jakoś przyłożyć się do tego, aby „rusnia" stąd zniknęła, muszę to robić.

Czarny pas

Mimo to w miastach, od których oddaliła się perspektywa walk, wielu nie zapomina o tym, że wojna wciąż trwa.

W Kijowie niewiele zostało dziś z atmosfery grozy – tej, która była wszechobecna w dniach, gdy rosyjska armia stała u bram miasta. Ponownie otworzyły się sklepy, kawiarnie, restauracje, nawet niektóre kluby, ulice zapełniły się ludźmi i stanęły w korkach.

Jednak dla Bohdany Hołub wojna stała się wszystkim.

– Myślę tylko o tym, żeby to jak najszybciej się skończyło, żeby nasi chłopcy więcej nie umierali. Dlatego zastanawiam się, jak zapewnić im jak najlepszy ekwipunek i skąd wziąć na to pieniądze – mówi Bohdana.

24 lutego także jej świat stanął na głowie. Jej ojciec, były wojskowy, od razu dołączył do obrony terytorialnej. Wraz z rodziną Bohdana mieszka w kijowskiej dzielnicy Obołoń, gdzie już w pierwszych dniach dochodziło do starć z rosyjską armią. Czas spędzała w piwnicy dzielonej z innymi mieszkańcami bloku.

Zupełnie zapomniała o sali, o tatami (macie) oraz o gi (potocznie nazywanym kimonem). Bo Bohdana Hołub od dziewięciu lat uprawia brazylijskie ju-jitsu, w którym zdobywa medale na arenie międzynarodowej. – Wiedziałam, że to jest to, od kiedy zrobiłam pierwszy krok na tatami – mówi.

Ten sport oparty jest głównie na walce w parterze i chwytach. Także dzięki mieszanym sztukom walki, których jest elementem, brazylijskie ju-jitsu od lat zdobywa popularność na świecie, w tym w Polsce i na Ukrainie. Bohdana Hołub jest pierwszą Ukrainką w kategorii senior, która otrzymała czarny pas. Od 2019 r. reprezentuje swój kraj w ju-jitsune-waza, jak oficjalnie nazywa się ta dyscyplina sportowa.

ARCHIWUM PRYWATNE

BOHDANA HOŁUB podczas treningów wojskowych, na które poszła, by wiedzieć, jak się bronić w razie, gdyby stolica znowu była zagrożona. Kijów, 3 sierpnia 2022 r.

W piwnicy starała się wykorzystać swoje kontakty i pisała do wszystkich znanych sportowców z jej dyscypliny, aby mówili głośno o tym, co się dzieje na Ukrainie. Niektórzy udostępniali jej list i publikowali apel o wsparcie dla Ukrainy.

– Każdy powinien działać na swoim froncie. Zajmuję się sportem, więc zrobiłam wszystko, aby wspólnota brazylijskiego ju-jitsu pokazała prawdę – mówi Bohdana.

Podciąganie na gałęzi

Sportem Bohdana zajmowała się całe życie: najpierw gimnastyką, a potem także crossfitem. Jest zawodniczką, trenerką i sędzią. Mimo to tamtego dnia, 24 lutego, sport przestał ją interesować. – Moje życie podzieliło się na okresy „do" oraz „po" rosyjskiej agresji – stwierdza.

Wielu jej znajomych z sal treningowych poszło bronić kraju. To im chciała pomóc w pierwszej kolejności. Pytała ich, czego potrzebują. Pierwszą rzeczą, na którą zbierała pieniądze, były krótkofalówki. Potem na płyty do kamizelek kuloodpornych i okulary taktyczne, hełmy czy ochronniki słuchu. Wkrótce stworzyła własną organizację. Nazwała ją: „Chronię żołnierza z grupy specjalnego przeznaczenia".

– Mam poduszkę finansową, którą zebrałam wcześniej. To dzięki niej kupuję niezbędne rzeczy i wysyłam żołnierzom. Jak są już w użyciu, to dopiero organizuję zbiórkę. Następnie kupuję kolejne rzeczy – wyjaśnia.

Wiele z nich się zużywa, więc czasami musi kupować to samo po raz kolejny. Wiosną kupiła żołnierzom czapki. Niedawno jeden z nich wysłał jej zdjęcie z nakryciem głowy z dziurą od kuli. Od razu kupiła kolejną.

Żołnierzom pomaga także w utrzymaniu sprawności fizycznej. Ci, którzy u niej kiedyś trenowali, gdy tylko mają czas po powrocie z pozycji, proszą ją o rozpisanie treningów. Bohdana adaptuje je do warunków, w jakich się znajdują, i do sprzętu, który posiadają. Na telefonie pokazuje mi filmik, jak jeden z wojskowych podciąga się na gałęzi. Gdy potrzebne było do tego obciążenie, brali pnie drzewa.

Kolejny sezon

Bohdana Hołub przez dwa miesiące nie odwiedziła sali sportowej ani nie trenowała. Zmusiła się wreszcie, bo zbliżały się kluczowe imprezy międzynarodowe. Tyle że na salę pchało ją coś innego niż dotąd: nie była to już chęć bycia najlepszą ani też przyjemność. Potraktowała to jako pracę, za którą zapłatą miało być podniesienie na duchu żołnierzy walczących na froncie i duma jej rodziny.

– Sport nie przynosi już takiej radości jak dawniej. W zasadzie nie przynosi jej wcale – stwierdza Bohdana.

Mimo myśli skupionych na wojnie, mimo przerwy w treningach i ogromnego stresu, najpierw zdobyła złoto w mistrzostwach Europy, a następnie srebrny medal na odbywających się co cztery lata World Games. Potocznie określa się tę imprezę mianem igrzysk sportów nieolimpijskich (rozgrywane na nich dyscypliny z czasem mogą zostać włączone do programu właściwych igrzysk).

Po zdobyciu medalu Bohdana od razu wróciła z zagranicy do Kijowa i znów zajęła się pomocą dla wojskowych. Nie jest w stanie myśleć o wakacjach, gdy wie, że jej bliscy i znajomi codziennie ryzykują życiem. To dla nich przywiozła ten medal.

– Gdyby nie oni, żołnierze, nie moglibyśmy dalej zajmować się sportem – mówi.

Teraz szykuje się do kolejnego sezonu. Nie tylko sportowego. Wojna trwa, a w pracy wolontariackiej, podobnie jak w sporcie, nie powinno być przerw. Dlatego Bohdana myśli już o tym, jak wyposażyć żołnierzy na czas zimy.

©℗ PAWEŁ PIENIĄŻEK

TOLGA AKMEN / EPA / PAP

Po fali upałów nad południową i wschodnią częścią Wielkiej Brytanii przeszły burze, które spowodowały lokalne podtopienia. Londyn, 17 sierpnia 2022 r.

Angielska pogoda

PATRYCJA BUKALSKA Z WIELKIEJ BRYTANII

Po największej od dziesięcioleci suszy nadeszły burze i powodzie. To dziwne lato pokazuje, że aura, którą zwykliśmy uważać za typową dla Wysp Brytyjskich, odchodzi w przeszłość.

Promenada w nadmorskim mieście Southport w północno-zachodniej Anglii wciąż pełna jest urlopowiczów, rodzin z podekscytowanymi dziećmi, przechadzających się emerytów. Nieopodal zgromadziła się grupa motocyklistów, najwyraźniej w wakacyjnej podróży. Karuzela się obraca, pachnie watą cukrową i rybą z frytkami. Wakacje w pełni. Jest piękne letnie popołudnie, nie za gorąco. No i nie pada, choć prognozy grożą burzami.

Niedaleko promenady, w tutejszym parku Wiktorii, odbywają się jedne z największych brytyjskich targów ogrodniczych Southport Flower Show. Trawniki gdzieniegdzie są pożółkłe i wypalone, ale po tym, jak od tygodni w całym kraju mówi się o suszy, nikogo to nie dziwi – i tak w ciągu czterech targowych dni przejdzie po nich wiele tysięcy gości.

Podlewać czy nie?

Wystawcy przywieźli do Southport mnóstwo przepięknych kwiatów – jak rozkwitające teraz w całej gamie kolorów dalie, rudbekie, jeżówki. A także mnóstwo ogrodniczych akcesoriów. Na stoisku z oczkami wodnymi i fontannami woda relaksująco szumi – na pozór nic nie psuje humorów ogrodników, sprzedawców i odwiedzających targi.

Sprzedawcy kwiatów, którzy przyjechali z różnych stron kraju, przyznają jednak, że mają za sobą ciężkie chwile. Jak udało im się dowieźć kwiaty w rozkwicie mimo panującej w wielu regionach Anglii suszy? – Podlewaliśmy i podlewaliśmy, co było robić... – jeden z hodowców tylko macha ręką.

Z kolei ogrodniczka przybyła z hrabstwa Worcestershire opowiada, że kwiaty podlewała dwa razy dziennie: wcześnie rano i wieczorem. – Mamy też swoje sposoby utrzymywania wilgoci w glebie – dodaje.

Ona również niespokojnie patrzy w przyszłość: – Niedaleko, w Oxfordshire, jest już gorzej, trawy tam właściwie nie ma. Kto wie, czy i u nas nie ogłoszą zakazu podlewania ogrodów.

Zakaz używania wody do podlewania ogródków (przydomowych, nie komercyjnych), wypełniania dziecięcych basenów czy mycia samochodów obowiązuje już w wielu regionach Anglii i dotyka blisko 30 mln obywateli. Dwa dni przed rozpoczęciem targów w Southport w pobliskim Yorkshire – jako dziewiątym już regionie Anglii – oficjalnie ogłoszono stan suszy. Niewiele wcześniej, w połowie sierpnia, media obiegły zdjęcia z kanału Huddersfield Narrow w pobliżu wioski Slaithwaite w tamtym rejonie: pokazywały niemal wysuszony kanał i uwięzione w błocie barki.

Coraz bardziej gorąco

Seria upałów przyszła do Wielkiej Brytanii w lipcu – podobnie jak do wielu innych krajów Europy Zachodniej. Przez kolejne dni temperatury przekraczały 30 stopni. W hrabstwie Lincolnshire padł brytyjski rekord: odnotowano tam 40,3 stopni. Pojawiły się zdjęcia spalonych przez słońce trawników w miejskich parkach i popękanego dna w zbiornikach wodnych. Z obawy przed zagrożeniem pożarami część sklepów wstrzymała sprzedaż jednorazowych grillów, które latem Brytyjczycy tak chętnie zabierają na pikniki w parkach i nad brzegami rzek.

Początek sierpnia nie przyniósł szczególnej ulgi – nawet na północy Szkocji temperatura sięgała rzadkich w tym regionie 28 stopni. Przede wszystkim jednak – nie padało. Teraz wiadomo już, że na terenie Anglii był to najsuchszy lipiec od prawie stu lat i najsuchsza pierwsza połowa roku od 1976 r.

W tej części Zjednoczonego Królestwa na deszcz czekano więc jak na wybawienie. Ale gdy przyszedł w połowie sierpnia, nie rozwiązał problemu: burze, które przeszły głównie nad południową i wschodnią częścią kraju, spowodowały

lokalne podtopienia i powodzie. W ciągu upalnych tygodni ziemia stwardniała i wyschła na tyle, że opady nie mogły już w nią wsiąknąć.

Żeby uzupełnić wilgotność gleby i poziom wody w zbiornikach wodnych i rzekach, trzeba by systematycznego deszczu przez dłuższy czas. Eksperci podkreślają zgodnie, że sam fakt, iż akurat pada, nie oznacza, że susza się skończyła.

Letnie straty

„Oczekujemy ekstremów, a te ekstrema będą bardziej ekstremalne" – stwierdził ostatnio jeden z brytyjskich meteorologów, dr Rob Thompson z uniwersytetu w Reading. I wydaje się to trafną prognozą. Bo powodzie i susze już się w Wielkiej Brytanii zdarzały – choćby często przywoływana teraz w porównaniach wielka susza z 1976 r. Wtedy w niektórych regionach nie padało przez 45 dni, poziom opadów był najniższy od chwili, gdy zaczęto prowadzić pomiary, a rząd powołał specjalnego „ministra ds. suszy".

Chodzi jednak o to, że dzisiaj zjawiska te mogą się nasilać i występować coraz częściej, stając się niemal regułą. Pytanie, na ile Brytyjczycy są na to przygotowani – bo wymaga to działań na wielu poziomach, od budowy nowych zbiorników wodnych, uszczelnienia i wymiany wodociągów po ułatwienie inwestycji rolnikom.

Do tego potrzebny jest czas, a konsekwencje obecnej suszy widać już teraz. Rolnicy alarmują, że mogą przepaść im zbiory ziemniaków, buraków cukrowych, a nawet kukurydzy, która zwykle dobrze sobie radzi w przesuszonej ziemi. To, co udaje się zebrać podczas przyspieszonych żniw, nie zawsze jest odpowiedniej jakości – rolników czekają więc straty, a konsumentów wyższe ceny. Bydło nie może być wypasane na pastwiskach, bo nie ma już na nich trawy – karmione jest więc paszą zimową. Dotknięta jest każda branża rolnicza czy hodowlana.

Do tego dochodzi ryzyko pożarów, które wybuchały na wielu polach. A to wszystko dzieje się w realiach rosnących już bardzo cen żywności i kryzysu wywołanego inflacją oraz zwiększającymi się kosztami utrzymania.

„To konsekwencja wieloletniego braku działania w związku z kryzysem klimatycznym. Efektem jest »*perfect storm*« w postaci braku bezpieczeństwa energetycznego, chaosu w dostawach żywności i ekstremalnej pogody, który szkodzi społeczeństwu" – pisała w dzienniku „Guardian" Caroline Lucas, posłanka z partii Zielonych.

Ogrodnicze dylematy

„Bądźmy realistami" – stwierdził niedawno Jack Wallington, znany projektant ogrodów i autor książek, przygotowując serię wskazówek dla ogrodników na czas suszy. „Wyznacz swoje priorytety: które rośliny ocalić, a które przepadną. Wszystko, co łatwo ponownie wyhodować z nasiona lub szczepki, należy zostawić swemu losowi" – pisał w „Guardianie".

Wallington dodaje, żeby – dokonując trudnych wyborów – raczej ocalić pomidory, a poświęcić sałatę, która ma mniej wartości odżywczych i potrzebuje dużo wody. Ogrodnicy powinni też wykorzystać cień, osłaniając rośliny przed słońcem i wysuszeniem, oraz wodę gospodarczą, pozostałą np. po zmywaniu naczyń. Ozdobnym roślinom ona nie zaszkodzi, a liczy się każda zaoszczędzona kropla. Przede wszystkim jednak należy przygotować się na przyszłość, np. ustawiając pojemniki na deszczówkę.

W tym wszystkim pobrzmiewa pytanie, czy w suszy powinno się ogrody ratować i na ile inwestować w niektóre rośliny, nawet najpiękniejsze, w sytuacji, gdy zasoby wody są ograniczone. O tym, że należy sadzić rośliny rodzime i dobrze znoszące przesuszoną glebę, wielu projektantów mówi od dawna. Wallington idzie dalej i w swoim blogu zastanawia się, czy może należałoby pogodzić się z tym, że w czasie suszy ogród zamiera, by potem w lepszym okresie odżywać. „Czy Wielka Brytania jest gotowa na piękno obumarłych ogrodów?" – pisze.

Choć zatem wydaje się, że brytyjskie ogrodnictwo może w kolejnych latach przejść prawdziwą rewolucję, to jednak na targach w Southport nie było widać, by zmniejszała się popularność np. uwielbianych tu powszechnie dalii. Te kwiaty wymagają podlewania i lubią umiarkowany klimat.

Na szkockiej północy

Choć susza, ekstremalne temperatury i powodzie dotknęły tego lata głównie południową Anglię, to również w Szkocji widać zmiany. Wprawdzie nie w całej Szkocji, ale w jej wschodniej i północno-wschodniej części już tak. Poziom rzek w tych regionach od czerwca określany jest jako „zauważalnie niższy" lub niższy niż zwykle, a całe szkockie wschodnie wybrzeże kwalifikuje się jako suche.

Suche jest nie tylko to lato – taka była też wiosna i zima. Styczeń był tu najsuchszy od 1940 r. Na początku sierpnia Szkocka Agencja Ochrony Środowiska wydała ostrzeżenie związane ze znacznym niedoborem wody w regionie Fife. Wprawdzie nie ma mowy o zakazie podlewania ogrodów, jak w Anglii, ale możliwe są ograniczenia dla rolników w pompowaniu wody z rzek.

Szkocja jest krajem zasobnym w wodę: jest tu 90 proc. powierzchniowych zasobów słodkiej wody całej Wielkiej Brytanii. Słynne Loch Ness, największe ze szkockich jezior, zawiera więcej wody niż wszystkie jeziora Anglii i Walii, a mniejszych słodkowodnych „lochs" jest w sumie w Szkocji 31 tysięcy.

Na pozór obawy o niedobór wody mogą więc wydawać się przesadne. Na pozór, bo Loch Fyvie w hrabstwie Aberdeenshire ma dziś tak niski poziom wody, że miejscami można by przejść z jednego brzegu na drugi. W przybrzeżną warstwę mułu wbito tablicę ostrzegawczą, aby ze względu na osad dzieci i psy trzymać z daleka. Kaczki na razie się tym nie przejmują, ale powinien to być sygnał ostrzegawczy dla wszystkich.

Przecież tu zawsze padało...

Według prognoz do października poziom wody w rzekach w niemal całej Wielkiej Brytanii, a szczególnie w środkowej i południowej Anglii, nadal będzie niższy od normalnego. Wyrównanie letnich strat wymagałoby zwiększonych opadów trwających przez kilka miesięcy. A co, jeśli nie będzie tak padać? „Jeśli będziemy mieć podobnie suchą jesień i zimę jak ostatnio, wejdziemy w lato roku 2023 z gorszej pozycji niż teraz" – uważa meteorolog Rob Thompson.

Tymczasem pierwszy dzień na targach Southport Flower Show był pochmurny, ale ciepły. Dopiero pod wieczór zaczęło lekko kropić – coś w rodzaju przelotnej mżawki. – Eee, to nie deszcz. Można powiedzieć, że dziś nie padało – dziwi się sprzedawca ogrodowych mebli. – Bo przyjeżdżam tu co roku i zwykle pada – wyjaśnia swoje zdziwienie.

Po chwili dodaje: – Może jutro też nie będzie padać? ©℗

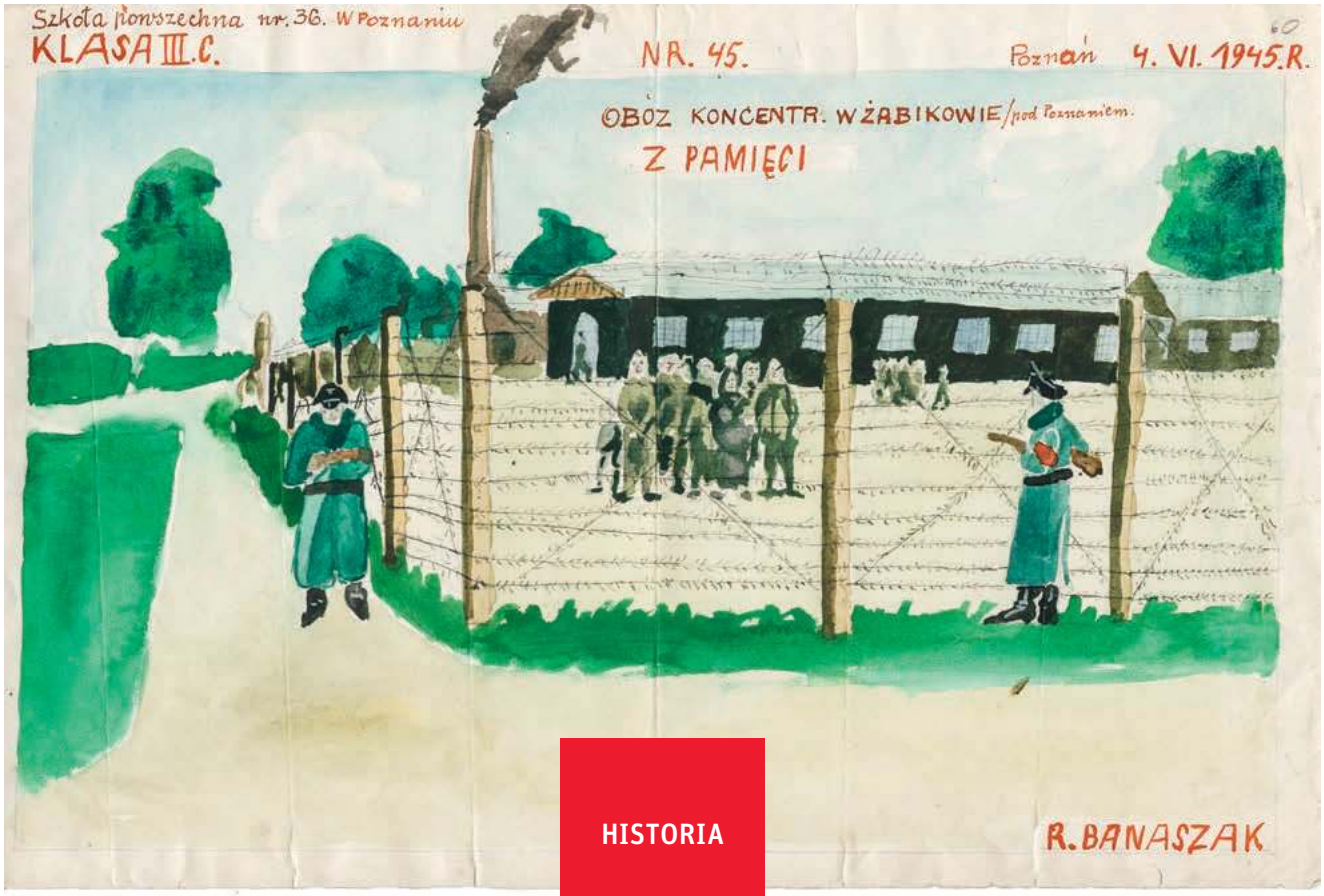

ARCHIWUM AKT NOWYCH W WARSZAWIE

R. Banaszak, Szkoła Powszechna w Poznaniu: „Obóz koncentracyjny w Żabikowie koło Poznania", 4 czerwca 1945 r.

HISTORIA

Z PRZYPOMNIENIA

DR DOROTA SADOWSKA, KURATORKA WYSTAWY „MAMO, JA NIE CHCĘ WOJNY!":

Dziecko często nie potrafi werbalnie wyrazić tego, co przeżywa podczas wojny. Komunikuje się przez rysunek.

PATRYCJA BUKALSKA: „Wojna nie widzi, nie słyszy, nie czuje" – takiego cytatu użyła Pani podczas otwarcia wystawy w Warszawie.

DOROTA SADOWSKA: To cytat ze współczesnej książki obrazkowej, której autorem jest Portugalczyk José J. Letria. Wojna nie widzi, czy dziecko jest małe. Nie słyszy, jak ono płacze. Nie ma litości ani współczucia dla dziecka. A ono nie ma szans się obronić. Tak było w Polsce w czasie II wojny światowej i tak jest teraz w Ukrainie.

Wasz projekt archiwalny, dotyczący polskich rysunków, zaczął się jednak wcześniej niż obecna rosyjska inwazja.

Tak, natomiast projekt wystawy związany z Ukrainą przyspieszył ekspozycję prac polskich dzieci z 1946 r. Gdy zobaczyłam ukraińskie rysunki, gromadzone w ramach projektu „Mom, I See War", zauważyłam powtarzające się motywy wojenne.

Wojna w oczach dzieci wygląda zawsze tak samo.

Jak trafiła Pani na rysunki polskich dzieci?

Przypadkiem. Jako literaturoznawca szukałam książek dla dzieci o tematyce wojennej. Trafiłam na album wydany w latach 90. XX w. – prezentował rysunki polskich dzieci powstałe w 1946 r., pokazane na wystawie w Japonii.

W Japonii?

Japonia to kraj, który obrazem stoi. Japończycy jako pierwsi okazali zainteresowanie wojennymi rysunkami pol-

skich dzieci i pod koniec lat 80. ubiegłego wieku zorganizowali u siebie dużą wystawę, korzystając właśnie z zasobów warszawskiego Archiwum. Niedługo po tym na naszym polskim rynku pojawił się album opracowany przez Katarzynę Iwanicką i Marka Dubasa. Trafił do moich rąk w 1994 lub 1995 r. i zrobił na mnie ogromne wrażenie. Gdy w 2017 r. szukałam literatury z motywem wojny we współczesnych książkach dla dzieci, przypomniałam sobie o nim. Tak trafiłam do Archiwum Akt Nowych. Potem zaczął się żmudny proces pozyskiwania środków na projekt.

Rysunki dziecięce długo nie były postrzegane jako prawdziwe świadectwa. Można oczywiście zastanawiać się, na ile są one kreacją dziecka – powstały już po wojnie – a na ile świadectwem udziału w obrazowanych wydarzeniach. Z pewnością są to jednak ważne świadectwa tamtego czasu. Do twórczości dziecka o tematyce wojennej świat naukowy do niedawna nie przywiązywał zbyt dużej wagi.

Teraz pozycja dziecka jako świadka chyba się zmienia?

Mam taką nadzieję. To dewiza Janusza Korczaka, on postawił dziecko w centrum jako partnera do rozmowy. Dzieci dużo widzą i rozumieją, więcej niż nam się wydaje. Gdy otworzyłam teczki w Archiwum Akt Nowych, zaskoczyło mnie, że te prace są tak świeże. Papier pożółkł, ale one wciąż wyglądają tak, jakby dziecko przed chwilą odłożyło kredki czy ołówek – bo sporo ich wykonano ołówkiem. Taką samą reakcję widziałam potem u innych osób.

Rysunków polskich dzieci jest ponad 7 tys., a ukraińskich ponad 10 tys., więc wybór prac na wystawę musiał być trudny.

Początkowo zakładałam, że będzie to porównanie jeden do jednego – wojny w Ukrainie i wojny w Polsce. Tu czołgi i tam czołgi. Tu płoną domy, tam płoną. Później, podczas weryfikacji materiału, zauważyłam motywy typowe dla polskiej okupacji, np. szubienice, które powtarzają się niezależnie od tego, skąd pochodziło dziecko. Szubienice wpisały się w wojenny krajobraz Polski. Dziecko stawiało kilka nieporadnych kresek i na papierze powstawała szubienica, kolejnych kilka – i był wisielec. Najbardziej zaskakuje chyba, że w kreskach nierzadko uchwycono realistyczne ułożenie wiszącego ciała: stopy skierowane ku sobie, głowa opuszczona na piersi. Dziecko musiało widzieć to na własne oczy. Są też sceny, które dziecko rysowało, być może nie będąc ich świadkiem, np. tortur w obozach czy więzieniach. Choć nie można wykluczyć, że i tu było świadkiem. W każdym razie w obu przypadkach rysunek jest świadectwem czasu, bo opowieść o tym, co się zdarzyło, wciąż była obecna w przestrzeni życia dzieci. Ludzie wracali z obozów, z tułaczki, opowiadali o swoich doświadczeniach. Pozostały też ślady: mogiły, puste miejsca przy stole.

Mówiła Pani, że szukanie środków na Wasz pierwotny projekt było żmudne.

Mniej więcej od 2018 r. bezskutecznie próbowałam zainteresować projektem różne osoby, zajmujące się dzieciństwem wojennym, pedagogiką historyczną czy kulturą pamięci. Wsparcie od początku okazał pan Mariusz Olczak, dyrektor Archiwum Akt Nowych w Warszawie, ale dopiero wojna w Ukrainie i uwaga świata skoncentrowana na tej wojnie ułatwiły wdrożenie projektu.

Rosyjska inwazja i rysunki ukraińskich dzieci uwiarygodniły zapis doświadczeń polskich dzieci?

Dokładnie. Pokazując wcześniej polskie rysunki za granicą, słyszałam, że są propagandowe. Byłam zaskoczona. Do głowy by mi to nie przyszło, że ktoś może tak określić te prace. Choć w Archiwum faktycznie można znaleźć rysunki z adnotacją „z wyobraźni". Nie zmienia to jednak ich historycznej wartości.

Ale są też te „z przypomnienia"...

Na jednym dziecko napisało: „Widziałem Polaków powieszonych w Lublinie. Widziałem, jak Polacy byli rozstrzelani". Jest też rysunek trumny z podpisem: „Moja mama. Niemcy zamordowali moją mamę". To poruszające prace.

Albo: „Niemiec mnie bije, bo pasłem kozę".

Albo ten, na którym Niemiec zabiera świnię do samochodu. I kolejny, z podpisem: „Jak Niemcy rozstrzelali Tomiaka za świniobicie" – tu podane jest nawet nazwisko. To rysunki różnych dzieci z różnych miejsc, ale pokazują te same okupacyjne realia.

W Archiwum Akt Nowych jest ponad 7 tys. prac i najchętniej pokazałabym je wszystkie. Gdy patrzymy na wojnę z perspektywy dziecka, odrzucamy spory historyczne i polityczne – na wojnie dziecko zawsze cierpi. Korczak powiedział, że dziecko nie jest żołnierzem. Ja dodam – dziecko zawsze jest ofiarą.

Wróćmy do pierwotnego projektu, o którym Pani wspomniała.

Po pierwsze, chciałam przeprowadzić badania. Ponad 70 lat temu prowadzili je pedagodzy i psycholodzy dziecięcy, z uwagi na wzrost zachowań patologicznych wśród młodzieży. Podczas wojny dzieci musiały gwałtownie dorastać i po wojnie nie wszystkie potrafiły przystosować się do uporządkowanych na nowo warunków życia. Chciałam tamte badania niejako powtórzyć: odszukać autorów rysunków, zobaczyć, co się z nimi stało. Dotąd, dzięki zaangażowaniu pracowników Archiwum, udało się odnaleźć kilkanaście osób. Drugim celem, którego niestety nie udało się dotychczas zrealizować, było zdobycie środków na digitalizację całego zbioru. Papier jest nietrwały, jeszcze chwila, a stracimy te świadectwa.

Co to był wówczas za konkurs?

Został ogłoszony w 1946 r. w „Przekroju" – jak napisano, „za zgodą Ministerstwa Oświaty". Przewidzianą nagrodą było kilo cukierków i cztery kilo cukru. W „Przekroju" drukowano nazwiska wszystkich dzieci, które nadesłały prace. Konkurs cieszył się ogromnym zainteresowaniem. „Przekrój" pisał, że najmłodszy uczestnik liczył sobie dwa lata i trzy miesiące.

W Archiwum są też pisma dyrektorów szkół, wysyłane do kuratoriów i inspektoratów szkolnych, w których dyrektorzy powołują się na wezwanie zamieszczone w okólnikach Ministerstwa Oświaty. „W odpowiedzi na pismo nr... przesyłamy ... rysunków o tematyce wojennej" – tak to mniej więcej brzmiało.

Poza tym prace na temat II wojny światowej powstawały też z inicjatywy środowisk pedagogicznych – chodziło o materiał do badań na temat wpływu wojny na psychikę dziecka. Proszono, by dzieci z młodszych klas rysowały, a starsze spisywały swoje wspomnienia. Pierwsze działania w kierunku pozyskiwania materiału badawczego rozpoczęły się już ↦

↦ w 1944 r. i prowadził je jeszcze w warunkach konspiracji prof. Stefan Baley.

Zdumiewające, że zajęto się tym dopiero teraz.

Gdy pierwszy raz przeglądałam teczki w Archiwum, znalazłam karteczkę opatrzoną datą 4 lipca 2001 r. z zapiskiem: „Ja też malowałam rysunek z pobytu w KL Oświęcim-Brzezinka – byłam wówczas dzieckiem – miałam 10 lat – ale mojego rysunku tu brak, byłam później w IV klasie jak te dzieci, które malowały rysunki, które oglądałam". Czyli ktoś wcześniej dotarł do tych prac i pamiętał, że brał udział w ich powstawaniu.

To właśnie pytanie chciałabym zadać żyjącym autorom: co zapamiętali? Niestety, osoby, z którymi rozmawiałam, nie do końca pamiętają konkurs. Ale pamiętają, że coś rysowały. Wśród nich jest prof. Władysław Kot, filozof z Poznania, rocznik 1933. Na jego pracy widnieje adnotacja „z wyobraźni". Przedstawił scenę egzekucji, ale nie wyjaśnił, kto został stracony. Pamięta, że egzekucję widział na własne oczy, choć rysunek nie jest jej dokładnym odwzorowaniem. To bardziej praca „z wyobraźni" niż „z przypomnienia".

Co te rysunki mówią o dzieciach, które przeżyły wojnę?

Mówią o ich cierpieniu, trudach życia codziennego, tęsknocie, stracie, rozłące, trosce i lęku o najbliższych. O zbrodniach i gwałtach, których żadne dziecko nie powinno oglądać. Dziecko rysuje samoloty zrzucające bomby, zabitą matkę i ojca, ale też to, że stoi w kolejce po chleb, który był kiepskiej jakości, z czarnej mąki, nierzadko posypany trocinami. Ludziom wychowanym w pokoju, jak nam dzisiaj, trudno wczuć się w sytuację dzieci cały czas żyjących w zagrożeniu. Te, które urodziły się w latach wojny lub były wtedy małe, nie znały innego świata. Dla nich nie było „przedwojnia". Głód, bieda, upokorzenie i śmierć to była ich codzienność. I to także widać na rysunkach.

Dla niektórych rysowanie mogło być jedynym sposobem, by opowiedzieć o swoich doświadczeniach, wyrzucić to z siebie.

Dla wielu była to bez wątpienia forma autoterapii. We wspomnianych wcześniej badaniach pedagogicznych zaznaczono zresztą, że młodsze dzieci należy zachęcać do rysowania, bo one nie potrafią wyrazić w słowach tego, co czują. Maluchom łatwiej jest komunikować się przez obraz.

Jeśli popatrzymy szerzej na osoby, które doświadczyły traumy wojennej, mamy dwie grupy: jedni chcą opowiadać, pomaga im to funkcjonować, drudzy milczą. Z takimi postawami mamy też do czynienia wśród odnalezionych autorów rysunków – są osoby, które chcą dzielić się wspomnieniami, chcą wrócić do tamtego czasu, a inne odmawiają rozmowy.

Coś Panią zaskoczyło w tych rysunkach?

To, co uderza w powojennych świadectwach dzieci – i co również widać w ich pracach – to fakt, że pokolenie dzieci wojny inaczej postrzegało rodzinę, polskość i tradycję niż współczesny świat. Często pojawia się motyw niszczenia krzyży, obiektów sakralnych, bo dla małych Polaków była to wielka zbrodnia. Religia i wiara były wtedy ważne – pozwalały

Gdy rozpada się mały świat

TE PIERWSZE mają ponad 75 lat, a rysowały je dzieci polskie wkrótce po II wojnie światowej. Te drugie są współczesne – ich autorzy to dzieci ukraińskie.
„Jak Niemcy wieszali Polaków" – tak swój rysunek zatytułowała Ewka Lewandowska. Kazik Kośla z Liskowa, uczeń drugiej klasy, narysował, „jak Niemcy złapali w nocy moją ciocię". Strzelczykówna z Wrześni (klasa siódma) – „powieszanie żydów". Kazik Pogoda z Lubonia (klasa trzecia) „aresztowanie mojego brata". Ludwik Burewicz (klasa druga) „palenie domów".

A CO MALUJĄ mali Ukraińcy? 11-letnia Margaryta z Jużnoukrainska i 10-letnia Anastazja z Odessy – schrony w piwnicy. 12-letni Danilo z Chersonia – płonący blok, nad nim samolot. 5-letni Edam z Kijowa – zakrwawione ciało żołnierza i ukraińską flagę. 9-letnia Angelina z Sambora – płonące domy i dziewczynę z plecakiem, która na rękach niesie psa.

„Mamo, ja nie chcę wojny!" – taki tytuł nosi wystawa, którą pod koniec lipca otwarto przed Pałacem Staszica w Warszawie oraz w kilkunastu innych miastach, gdzie są oddziały Archiwów Państwowych (w kolejnych miesiącach trafi do następnych dziewięciu miast). Tworzą ją kopie rysunków dzieci polskich i ukraińskich. Te pierwsze wybrano spośród 7 tys. prac polskich dzieci, które powstały na konkurs ogłoszony w 1946 r. przez tygodnik „Przekrój", a dziś są przechowywane w Archiwum Akt Nowych. Zestawiono je z rysunkami dzieci z Ukrainy, wybranymi spośród ok. 10 tys. prac, które gromadzi portal Mom, I See War (Mamo, widzę wojnę).
Papier polskich prac zbrązowiał, mało też na nich barw – dzieci rzadko miały kolorowe kredki. Te ukraińskie mają świeże, jaskrawe czasem kolory. Poza tym jednak są często podobne: ludzie chronią się w piwnicach, uciekają ze swoich miast i wsi, spadają na nich bomby, wokół leżą ciała. Na jednych i drugich świat dzieci rozpada się na kawałki.
Na warszawski wernisaż mimo upału przyszło dużo ludzi. Również w kolejne dni przy wystawie zatrzymuje się sporo przechodniów. Jedni na chwilę, inni na dłużej. Nieopodal Jula z Ukrainy zbiera pieniądze na pomoc dla ukraińskich żołnierzy.

ARCHIWUM PRYWATNE

O genezie polskiego zbioru, a także o wpływie wojny na dziecko, rozmawiamy z **DR DOROTĄ SADOWSKĄ** z UW, która przygotowała tę wystawę wraz z prof. Olgą Kulinich z Kijowskiego Narodowego Uniwersytetu oraz Mariuszem Olczakiem, dyrektorem Archiwum Akt Nowych w Warszawie, i pracownikami Archiwum.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

PROJEKT „MOM, I SEE WAR"

PROJEKT „MOM, I SEE WAR"

ARCHIWUM AKT NOWYCH W WARSZAWIE

Od góry:
Maksim, 7 lat, z miejscowości Kamienskie, 2022 r.
Poniżej:
Sofia, 15 lat, z miejscowości Korosteń, 2022 r.
Albert Narwojsz, Szkoła Powszechna w Liskowie: „Widziałem jak Polacy byli rozstrzelani", 1946 r.

zachować nadzieję, dodawały sił. Jest też przedstawienie grobu z niemieckim hełmem, otoczonego kwiatami – co pokazuje szacunek dla każdej śmierci, nawet wroga. Znamienne są też opisy: dzieci pisały „mamusia", „tatuś". Rzadziej „matka" czy „ojciec". Kto z młodego pokolenia mówi teraz o rodzicach „tatuś" czy „mamusia"?

Czy jakiś wpływ na te rysunki mogła mieć powojenna sytuacja polityczna?

Być może, np. jeśli prace powstawały w szkole, pod nadzorem nauczyciela. Ale to, co zwraca uwagę, to szacunek dla symboli narodowych i religijnych oraz radość z możliwości rysowania biało-czerwonej flagi. Oczywiście są też takie, na których Armia Czerwona witana jest kwiatami, ale typowo propagandowe hasła zdarzają się bardzo rzadko. Trzeba pamiętać, że rysunki przechodziły przez cenzurę, to był rok 1946 i może z tego powodu w zasobach Archiwum nie ma prac przedstawiających wydarzenia na ziemiach wschodnich przedwojennej Polski. Za to znalazła się taka z żołnierzem AK.

Rzecz ciekawa: na rysunkach jest np. kolejka po chleb czy konfiskata świni, ale dzieci nie przedstawiały własnego dramatu, np. tego, że nie miały ubrań, że musiały kraść żywność.

Może rysowały to, co było wybijającym się wydarzeniem, a nie powszechną wtedy biedę.

Prawdopodobnie tak, ale myślę też, że trudno byłoby im pokazywać siebie w upokarzający sposób, np. w łachmanach. By pozyskać materiały do badań nad skutkami wojennej traumy, powojenni pedagodzy posługiwali się także innymi narzędziami badawczymi. Były to m.in. kwestionariusze i ankiety. Na podstawie ankiet, obserwacji i rozmów prowadzonych w swobodnych sytuacjach, czy też analiz snów, badacze doszli do wniosku, że dzieci w czasie wojny stały się bardziej samodzielne, zaradne i odporne. Potrafiły przeżyć w tych trudnych warunkach, troszczyć się o siebie i młodsze rodzeństwo. Jeżeli nie potrafiły wyżebrać, to potrafiły ukraść. Wojna zmusiła je do czynów, które w czasie pokoju nie są akceptowane społecznie, ale w czasie wojny pozwoliły im przeżyć. Gdy po 1945 r. dzieci te znalazły się w szkołach, w wielu przypadkach nie umiały się w nich odnaleźć i dopasować do dyscypliny. Jak w warunkach szkolnych zaakceptować 9-latka, który pije, pali i przeklina, a wszelkie konflikty rozwiązuje pięściami?

Gdy jednak ogląda się rysunki i słucha wspomnień dzieci wojny, nie trudno zauważyć, że dziecko mimo wszystko pozostaje dzieckiem i ma naturalną potrzebę zabawy, radości. Nawet w potwornej rzeczywistości. Wojna i dziecko to dwa przeciwstawne światy, których nie da się połączyć. Chyba dlatego rysunki polskich i ukraińskich dzieci tak bardzo nas teraz szokują. Bo jak połączyć nieporadnie narysowaną szubienicę z kwiatkami i słoneczkami?

©℗ Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

WSPANIAŁE PUSTKOWIE

W Układzie Słonecznym znajduje się około 20 dużych księżyców, wśród których nasz jest jednym z najnudniejszych. Ale i tak go kochamy – i znów chcemy po nim chodzić.

ŁUKASZ LAMŻA

GRAHAM WIFFEN / EAST NEWS

Gdy przyjrzeć się menażerii Układu Słonecznego, aż bierze żal – bo jakże inaczej żyłoby się, mając na nocnym niebie takiego choćby Tytana z własnymi deszczami i kałużami, Trytona z powierzchnią jak kantalupa albo żółciutką wulkaniczną Io! Nasz księżyc to jednak Księżyc i innego nie będzie.

Powierzchnia do liftingu

Początek był imponujący – wygląda na to, że Księżyc powstał, gdy niedługo po wyłonieniu się Układu Słonecznego dwie wielkie protoplanety zderzyły się ze sobą. Większa z nich, nieco uszczuplona, stała się Ziemią. Mniejsza z nich, Theia, doszczętnie się w tym zderzeniu roztrzaskała, a z jej przemielonych resztek, z domieszką materii wyrwanej z warstw wierzchnich proto-Ziemi, powstał Księżyc. Nie jest to zresztą rzecz aż tak niezwykła w naszym brutalnym Kosmosie: każde duże ciało Układu Słonecznego bierze swój początek ze zderzania się ciał mniejszych, każde też jest regularnie bombardowane. Nie zawsze jest to aż tak ewidentne, jak w przypadku Księżyca, którego słusznie kojarzymy z morzem kraterów – ma on jednak aż dwie cechy, które sprawiają, że jego powierzchnia jest ponadprzeciętnie pokancerowana.

Po pierwsze, nie ma atmosfery, która funkcjonuje jako płaszczyk ochronny – swojski letni meteor to wszak nic innego, jak świetlisty ślad po intruzie niszczącym na ziemskiej gazowej tarczy. Ot, wspomniany wyżej Tytan – o połowę większy od Księżyca satelita Saturna – dzięki solidnej atmosferze złożonej głównie z azotu ma na powierzchni tylko pojedyncze wyraźne ślady po uderzeniach. Księżyc nie ma takiego luksusu, a pojedyncze cząstki fruwające czasem ponad jego powierzchnią, odparowane ze skał albo wybite przez promieniowanie kosmiczne, nie zasługują w zasadzie na dumne miano atmosfery – to, mówiąc technicznie, egzosfera, która nie zatrzymuje nawet mikroskopijnych okruchów.

Po drugie, Księżyc nie ma żadnego własnego procesu „odmładzania", który by zamazywał ślady po dawnych uszkodzeniach. Nawet i miliardy lat kraterowania można wszak wymazać w geologicznym mgnieniu oka, jeśli tylko ma się do dyspozycji którąś z planetologicznych technik liftingu. Io odmładzają wulkany, regularnie rozlewając na powierzchni lawę i pokrywając ją siarkowymi wyziewami. Ganimedes – również krążący wokół Jowisza – należy z kolei do grona księżyców aktywnych tektonicznie: mniej więcej dwie trzecie jego powierzchni pokrywają jasne pasy, powstające gdy kry ganimediańskiej skorupy przesuwają się względem siebie, a świeża materia uzupełnia od spodu pęknięcia. Tryton, gigantyczny satelita Neptuna, ma do dyspozycji prawdopodobnie aż kilka różnych tego rodzaju procesów odmładzających. Choć udało się dotychczas sfotografować tylko jedną jego półkulę, geolodzy dopatrzyli się na niej aż trzech różnych odmian terenu, z których żaden nie wygląda staro.

Księżyc miał w swojej historii tylko jeden wielki epizod odmładzania – i to jemu zawdzięcza swój charakterystyczny wygląd. Trzeba bowiem wiedzieć, że nasz naturalny satelita ma dwie znacznie różniące się od siebie półkule. Samo w sobie nie jest to coś niezwykłego w Kosmosie. ↦

Wschód księżyca przy wyspie Wight, 13 lipca 2022 r.

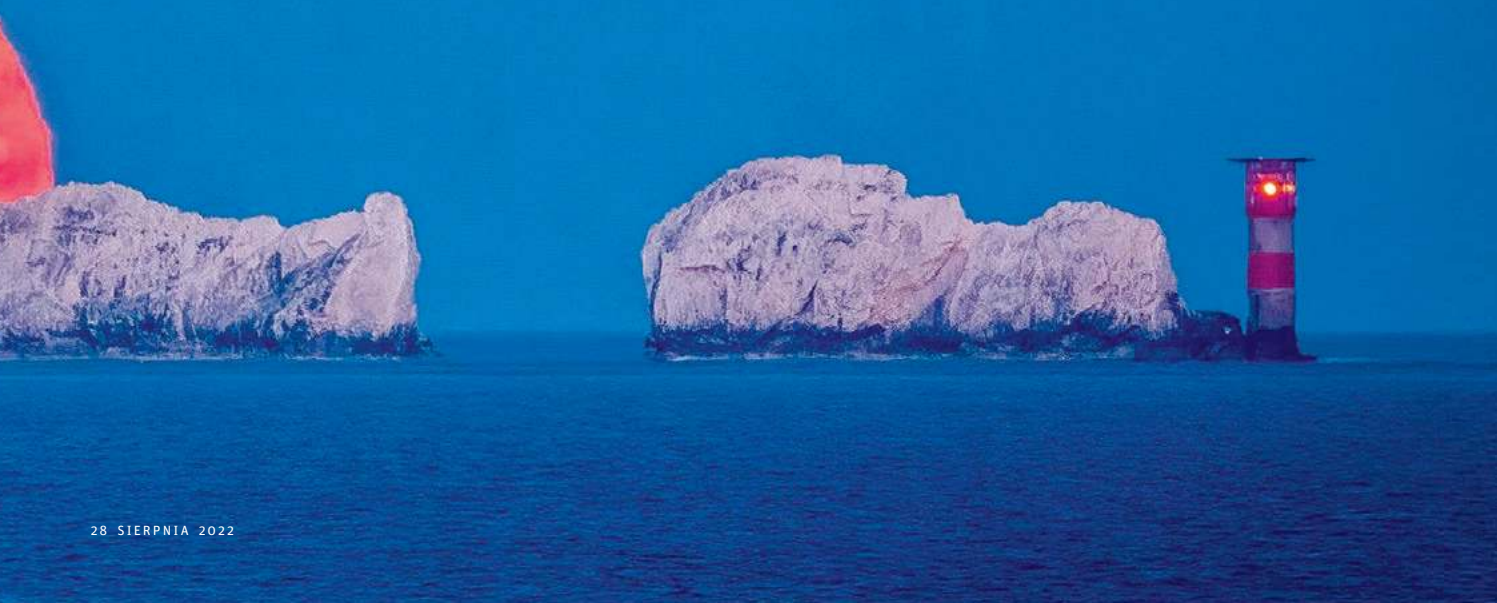

↦ Część „górna” i „dolna” (północna i południowa) Marsa są tak odmienne, jakby pochodziły z dwóch różnych planet, a księżyc Saturna Japet ma jedną półkulę jasną jak śnieg, drugą zaś brązowoczarną i tak ciemną, jak wilgotna gleba (ma też z niejasnych przyczyn imponujący grzbiet opasający go w równiku, dzięki czemu wygląda jak biało-czarny orzech włoski). Z powodu niefortunnego niedopatrzenia astronomów niewielki księżyc Saturna Janus, nazwany na cześć rzymskiego boga o dwóch twarzach, ma akurat dość jednorodną powierzchnię.

Tak czy inaczej, Księżyc jest w dobrym towarzystwie. Na jego widocznej dla Ziemian półkuli znajduje się zaś jego bodaj jedyna duża, nietypowa, charakterystyczna struktura: morza. Z drugiej, niewidocznej strony – którą poznaliśmy dopiero w 1959 r. dzięki radzieckiej sondzie Łuna 3 – znajdują się tymczasem niemal wyłącznie kratery, kratery, kratery... Ba, jest ich tak dużo, że uderzenie kolejnego ciała w zasadzie nie zwiększy już ich liczby. Kratery osiągnęły taką gęstość, że nie ma „wolnych miejsc” na kolejne – nowa dziura zawsze powstanie na miejscu jakiejś starej. Wydaje się, że gdyby było na odwrót, a my, Ziemianie, widzielibyśmy tę stronę Księżyca, która dziś jest niewidoczna, Księżyc straciłby wiele ze swojego uroku. Strona widoczna ma bowiem „to coś” – morza.

Kopernik już nie strzela

Co ciekawe, mimo dekad intensywnych badań, modelowania i uczonych przypuszczeń wciąż nie do końca wiadomo, jak powstały i czym tak w zasadzie różni się strona widoczna od niewidocznej; co spowodowało, że jedna z nich pokryta jest morzami w jednej trzeciej, a druga prawie wcale. Historia w pierwszym przybliżeniu przedstawia się jednak następująco. Mniej więcej pół miliarda lat po powstaniu Księżyca, czyli ok. 4 miliardów lat temu, nasiliły się szczególnie duże uderzenia w jego powierzchnię, powodując powstanie tzw. wielopierścieniowych basenów uderzeniowych. Basen taki to coś w stylu krateru na sterydach: gdy eksplozja wywołana uderzeniem jest naprawdę duża, nie powstaje jedna tylko dziura z otaczającym ją pierścieniem wynurzonej skały, lecz szereg koncentrycznych pierścieni, okalających sam „basen”: obszar obniżonego terenu i pocienionej skorupy, liczący sobie nawet setki kilometrów średnicy.

Cały Księżyc pokryty jest wieloma śladami po takich właśnie gigantycznych uderzeniach, z których największe mają nawet sześć koncentrycznych pierścieni. Podobne znane są też z wielu innych księżyców, jak satelita Saturna Dione albo Ganimedes. Na Kallisto, która krąży wokół Jowisza, znajduje się największa taka struktura, Basen Valhalla, w której – prawdopodobnie ze względu na to, że skorupa Kallisto jest lodowa, a nie skalista – geolodzy doliczyli się ponad stu okalających basen grzbietów w przynajmniej kilkunastu „rzędach”. W efekcie wygląda jak skrzyżowanie pajęczyny z pęknięciem na szybie. Polecam poszukać zdjęć.

Z jakiegoś powodu – wciąż nie do końca jasnego – mniej więcej 100-500 mi-

NASA.GOV

Jeden z członów rakiety SLS przygotowywany do testów przed misją na Księżyc. 21 lipca 2022 r.

Program Artemis

PATRONKĄ nowego księżycowego programu, który właśnie się rozpoczyna bezzałogowym lotem, została Artemida. Siostra Apolla – i bogini naszego satelity – nareszcie doczekała się sprawiedliwości. Fakt, że to imieniem Apolla nazwano program lotów na Księżyc w latach 60., można wytłumaczyć chyba tylko seksizmem.

ARTEMIS rodziła się w bólach. Jej korzenie sięgają katastrofy promu kosmicznego Columbia w 2003 r. Śmierć siedmioosobowej załogi zachwiała całym amerykańskim projektem załogowych lotów kosmicznych. Prezydent Bush zdecydował się na zmianę jego priorytetów i ogłosił powstanie programu Constellation, w ramach którego NASA miała wznowić loty na Księżyc, by potem, gdzieś w latach 30., wbić amerykańską flagę w marsjański grunt. Miało to kosztować 230 mld dol.

TO WSZYSTKO okazało się nierealne i Constellation została oficjalnie skasowana w 2010 r. W 2017 r. odrodziła się jako Artemis – bez planów lotu na Marsa, za to z poszerzonymi planami księżycowymi. Według aktualnych szacunków ma kosztować przeszło 90 mld dol. Trzy razy mniej niż w przeliczeniu na dzisiejszą wartość dolara pochłonął Apollo.

OPRÓCZ KSIĘŻYCOWEJ KAPSUŁY – Oriona, zaprojektowanego jeszcze na potrzeby Constellation – w skład Artemis wchodzi budowany przez Europejską Agencję Kosmiczną moduł serwisowy dostarczający kapsule prąd, powietrze i wodę, wielka rakieta SLS projektowana przez NASA, budowana na bazie części pamiętających jeszcze program promów kosmicznych, oraz międzynarodowa wokółksiężycowa stacja Gateway, która ma stanowić punkt przesiadkowy dla astronautów lądujących na Księżycu. Ma powstać także baza, Moon Base Camp, położona gdzieś w pobliżu południowego bieguna Księżyca, w miejscu, w którym mogłaby swobodnie korzystać z zasobów wody ukrytych w zacienionych, księżycowych kraterach.

BUDOWA GATEWAY ma się zacząć w 2024 r., wtedy również miałaby wyruszyć pierwsza załogowa misja Artemis 2, która weszłaby na orbitę Księżyca, ale nie lądowałaby na jego powierzchni. Pierwsze od przeszło pół wieku księżycowe lądowanie człowieka, Artemis 3, miałoby nastąpić w 2025 r., a kolejne misje wyruszałyby w dość spokojnym tempie 1-2 lotów na rok. © WB

Kosmiczny kolonializm

NIE TYLKO NASA I ESA wybierają się na Księżyc. Ruch na tej trasie będzie w najbliższych miesiącach bardzo intensywny. Koreański orbiter KPLO, japoński lądownik SLIM, indyjski Chandrayaan-3, rosyjska Luna-25 oraz sfinansowany przez Zjednoczone Emiraty Arabskie łazik Rashid są na ostatnich etapach przygotowań.

WSZYSCY MÓWIĄ o celach naukowych, ale ważniejszy jest prestiż i demonstracja własnych możliwości technologicznych . Szczególnie wysoko punktowane jest księżycowe lądowanie – posadzić pojazd na Srebrnym Globie bez rozbijania go na kawałeczki udało się dotąd tylko ZSRR, USA i Chinom.

ALE KTO WIE, może w przyszłości prestiż przeobrazi się w biznes. Księżyc nie jest dzisiaj żyłą złota, ale kiedyś może stać się np. (dość monotonnym) kurortem czy fabryką paliwa na potrzeby misji zmierzających w ciekawsze rejony Układu Słonecznego.

JEST JEDNAK mały problem: Traktat o przestrzeni kosmicznej, jeden z najbardziej utopijnych aktów przyjętych przez ONZ. Zakazuje on nie tylko działalności wojskowej w kosmosie (milczeniem pomijając satelity szpiegowskie), ale też zawłaszczania ciał niebieskich „przez ogłoszenie suwerenności, w drodze użytkowania lub okupacji". Nie można więc legalnie zaklepać sobie potencjalnie cennej księżycowej działki.

OD CZEGO jednak prawnicza kreatywność. USA zaczęły zawierać z innymi państwami dwustronne „porozumienia Artemis", które mają regulować kwestie związane z eksploracją i eksploatacją Księżyca. Polska podpisała je w ubiegłym roku jako 13. na świecie i 4. w Europie. Porozumienia wielokrotnie powołują się na zapisy traktatu, ale zawierają istotną furtkę: każdy, kto zbuduje na Księżycu bazę, będzie mógł wytyczyć wokół niej „strefę bezpieczeństwa". Czyli de facto przejąć na własność dany kawałek Księżyca.

CHINY, mające własne księżycowe plany, do których bardzo chciałaby podpiąć się Rosja, raczej nie podpiszą się pod porozumieniem. Pekin nazwał porozumienia „kolonializmem" i oskarżył USA o to, że Waszyngton chce Księżyc przejąć na własność. Kto pierwszy, ten lepszy.
© WB

lionów lat po powstaniu tych olbrzymich struktur zostały one zalane lawą. Gigantyczne wypływy, o objętości liczonej w tysiącach kilometrów sześciennych, wypełniły lokalne obniżenia terenu, zalewając baseny uderzeniowe i wdzierając się na dna okolicznych kraterów warstwą o grubości 35-450 metrów. Lawa księżycowa po zastygnięciu utworzyła bazalt, ten zaś jest dość ciemny, mniej więcej tak jak w miarę świeży asfalt – ot i historia księżycowych mórz. Gdy już się wie, jak powstały morza, łatwo zrozumieć ich okrąglutki kształt, który szczególnie pięknie widać na Morzu Jasności i Morzu Przesileń. Wyniesione brzegi szczególnie dużych basenów uderzeniowych, wystające ponad powierzchnię bazaltowego morza, wyglądają jak ziemskie łańcuchy górskie, a pomysłowi geolodzy planetarni nadali im tak kreatywne nazwy, jak Alpy, Apeniny, Jura czy Kaukaz. W księżycowych Alpach jest nawet Mont Blanc o wysokości 3,8 km ponad otaczającymi go równinami Morza Deszczów. Niemądrzy selenolodzy przez pomyłkę nazwali tym dumnym imieniem nie najwyższą, lecz trzecią najwyższą górę księżycowych Alp (choć – być może, żeby trochę odpokutować winę – wybłagali w Międzynarodowej Unii Astronomicznej „Mont" – wszystkie pozostałe legalnie nazwane góry pozaziemskie mają w nazwie standardowe, łacińskie „Mons").

Sytuacja z gigantycznymi wylewami lawowymi pokrywającymi lokalne obniżenie terenu, nawiasem mówiąc, nie jest wcale czymś nietypowym w Układzie Słonecznym. Być może pamiętacie, że gdy sonda New Horizons przysłała swoje pierwsze zdjęcia Plutona, widać na nich było sporą białawą strukturę w kształcie serca. Jej zachodnia część (technicznie: Sputnik Planitia) to odpowiednik bazaltowej skorupy księżycowych mórz, zbudowany jednak z lodu azotowego. Co ciekawe, Równina Sputnika powstała w ciągu ostatnich 10 milionów lat, podczas gdy Księżyc mniej więcej 3 miliardy lat temu przestał nie tylko produkować morza, ale w ogóle popisywać się wulkanizmem, nie licząc drobnych, kosmetycznych niemalże wypływów albo rozsianych tu i ówdzie wulkanicznych kopułek. Kolejna zmarnowana szansa: gdyby Księżyc był choć trochę jak Pluton – czyli byłby zdolny do dużych zrywów aktywności – moglibyśmy liczyć na pojawienie się na nim nowego morza. Ba, gdyby był taki jak Io, moglibyśmy regularnie oglądać wybuchające na nim wulkany: o, patrz, Kopernik strzela! (nasz astronom już w połowie XVII w. otrzymał piękny krater).

Jest to o tyle dziwne, że Pluton zaskoczył planetologów stopniem swojej aktywności – bądź co bądź jest to lodowa kulka w najchłodniejszych regionach Układu Słonecznego, która wedle wszelkiego prawdopodobieństwa powinna być zimnym, statycznym trupkiem. Nasz Księżyc tymczasem należy do największych skalistych obiektów i rezyduje w dobrze nasłonecznionej dzielnicy. Czysto teoretycznie wciąż mógłby huczeć od aktywności. Wygląda jednak na to, że w trakcie swojego formatywnego zderzenia otrzymał stosunkowo „jałową" frakcję Thei i proto-Ziemi, pozbawioną długo żyjących pierwiastków radioaktywnych. Te zaś są bardzo skuteczną planetarną „grzałeczką", napędzającą rozmaite formy aktywności powierzchniowej, takie jak tektonika czy wulkanizm. Również nasza własna Ziemia zawdzięcza pierwiastkom radioaktywnym rozpuszczonym w skałach znaczną część swojego wewnętrznego budżetu energetycznego, odpowiadającego za nasze pole magnetyczne, wędrujące kontynenty czy wulkaniczne piaski na hawajskich plażach.

Problem z bazą

Nie wygląda to dobrze – nie ma pola magnetycznego, nie ma porządnej atmosfery, nie ma żadnych nowych form aktywności na powierzchni, poza okazjonalnymi nowymi kraterami na jałowych liczących kilka miliardów lat skałach. Baseny uderzeniowe bywają ładniejsze, pokrywy lawowe miewają zabawniejszy kształt. Czyżby Księżyc był ↦

Wyścig korporacji

PROGRAM ARTEMIS jeszcze nie zaczął się na dobre, a już był powodem pozwu. Poszło o lądownik księżycowy, który na potrzeby misji ma zaprojektować i zbudować prywatna firma. Konkurs wygrało SpaceX Elona Muska, ale jego rywal, Jeff Bezos, nie odpuścił. Należąca do twórcy Amazona firma Blue Origin zaskarżyła decyzję rządu USA, twierdząc, że jej projekt był o wiele bardziej realistyczny. W sądzie przegrała, ale NASA i tak postanowiła przyznać jej drugi kontrakt na budowę pojazdu.

MOŻE DLATEGO, że pomysł Muska faktycznie jest z nieco innej bajki. Lądownikiem, na pokładzie którego Amerykanie mieliby wrócić na powierzchnię Księżyca, ma być bowiem zmodyfikowana wersja jego pojazdu Starship – 10 razy większa i 20 razy cięższa od statku NASA (Oriona).

CO WIĘCEJ, STARSHIP, zgodnie z deklaracjami Muska, mógłby wykonać całą misję zupełnie sam, i to o wiele taniej. Każdy lot ogromnej rakiety SLS ma pochłonąć 4 mld dol., podczas gdy Starship i jego rakieta nośna Super Heavy mają być pojazdami wielokrotnego użytku, dzięki czemu jeden start ma kosztować zaledwie 2 mln dol. W dodatku pojazd Muska, tankowany na orbicie, mógłby zawieźć na Księżyc sto ton ładunku – ponad dwa razy więcej niż najpotężniejszy z planowanych wariantów SLS.

NA RAZIE ANI STARSHIP, ANI SLS nie wykonały jeszcze żadnego udanego lotu – do końca roku oba powinny mieć taki test za sobą. Jeśli zapowiedzi Muska okażą się zbliżone do rzeczywistości (z czym bywa u niego różnie), program Artemis może okazać się przeżytkiem, jeszcze zanim ruszy z kopyta.
© WB

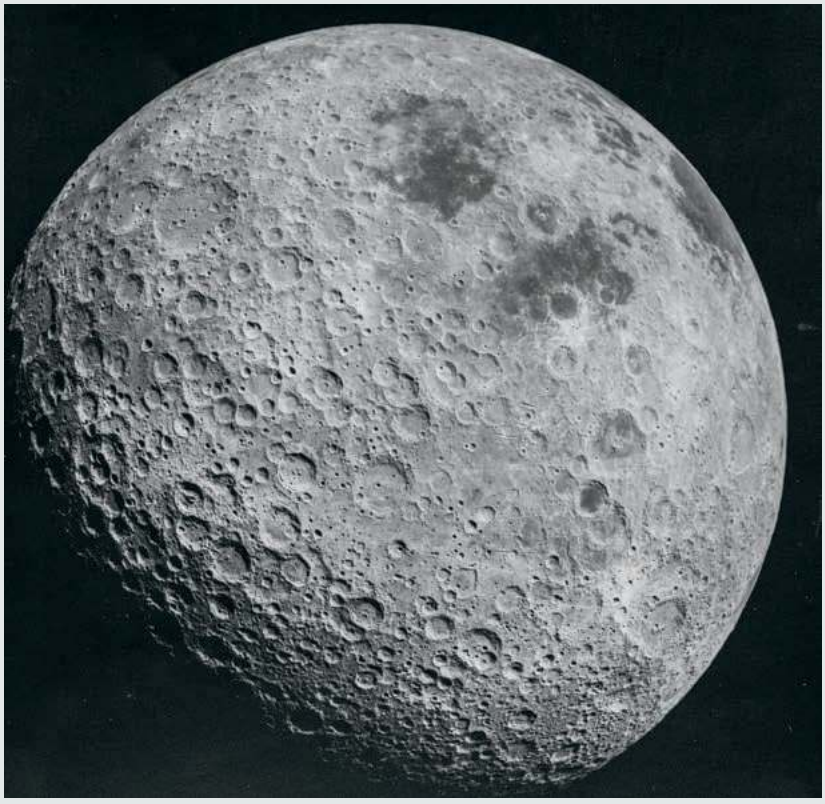

GRAHAM WIFFEN / EAST NEWS

NIEWIDOCZNA STRONA KSIĘŻYCA. Ponieważ nasz satelita obraca się wokół Ziemi i wokół własnej osi w tym samym tempie (pełny obrót co 27 dni i 8 godzin), stale widzimy tylko jedną jego półkulę. Choć brzmi to jak zbieg okoliczności, w rzeczywistości układ taki jest bardzo naturalny i wszystkie duże księżyce z czasem synchronizują się w ten sposób ze swoimi planetami.

↦ najnudniejszym miejscem w Kosmosie? Spokojnie, przecież mieszkańcy Nauru zdołali zarobić nawet na tym fakcie, że wyspa pod ich nogami pokryta była grubą warstwą ptasich odchodów – napędzając przez lata swoją gospodarkę eksportem nawozów (guano skończyło się w latach 70., a od tego czasu co parę lat Nauruańczycy na różne sposoby wymyślają swoje państwo na nowo, np. przekształcając je na jakiś czas w skorumpowany raj podatkowy). Może i Księżyc po prostu nam się na coś przyda?

Astronomowie przez pewien czas fantazjowali o bazie obserwacyjnej zlokalizowanej na niewidocznej półkuli – bynajmniej nie dlatego, że jest to „ciemna strona Księżyca", bo nie jest, a raczej dlatego, że jest ona chroniona przed blaskiem naszej planety. Gdy więc my tu na Ziemi wzdychamy do pełni, obserwator zlokalizowany na niewidocznej stronie Księżyca miałby przed sobą cudownie czarne niebo. Plan ten okazał się jednak na tyle niepraktyczny, że ostatecznie bardziej opłaciło się wysłać na czterokrotnie większą odległość Kosmiczny Teleskop Jamesa Webba. Nie gasną jednak nadzieje na bazę księżycową, a kolejne dekady badań utwierdzają nas w przekonaniu, że najlepszym wyborem są okolice bieguna południowego. Wszystko ze względu na światło – i wodę.

Już parę dekad temu naukowcy donosili o występowaniu niedużych ilości lodu wodnego na Księżycu, a w 1978 r. próbki skał księżycowych przywiezione na Ziemię przez sowiecką Łunę 24 składały się aż w jednej tysięcznej z drobinek lodu. Im zimniejsze i lepiej chronione przed słońcem miejsce, tym większa szansa na uchowanie się lodu, w okolicach biegunów na dnie kraterów znaleźć zaś można regiony wiecznej ciemności – takie, w które nigdy nie dociera światło Słońca.

W 2008 r. Hindusi roztrzaskali planowo sondę Chandrayaan-1 na dnie krateru Shackleton, znajdującego się niemal dokładnie na biegunie południowym, co potwierdziło ostatecznie, że tamtejsza gleba księżycowa zawiera wodę. Mieszkańcy zlokalizowanej tam bazy mogliby więc liczyć, jak szacują optymiści, nawet na 90 litrów wody z jednego metra sześciennego skał. Nie jest jednak jasne, jak wycisnąć tę wodę z lodowatego gruzu. Wśród propozycji są nawet takie, jak gigantyczna mikrofalówka. Energię w każdym razie można by pozyskiwać ze Słońca, gdyby

na brzegach kraterów, wystających ponad strefę wiecznej ciemności, umieścić panele fotowoltaiczne. Niektórzy wizjonerzy wspominają też czasem o pozyskiwaniu z księżycowych skał wodoru, za pomocą którego można by teoretycznie napędzać reaktor jądrowy, ale szacowana ilość użytecznego izotopu (wodoru-3) to zaledwie 0,007 grama na metr sześcienny. Nikt na razie nie ma pomysłu, jak ulepić z tych ponurych faktów realistyczną wizję tętniącej życiem bazy.

Turyści i górnicy

Zróbmy jednak krok wstecz: po co właściwie latać na Księżyc? Są oczywiście bogaci turyści kosmiczni, którzy po prostu mają na to ochotę, jak Jeff Bezos, który w lipcu ubiegłego roku zapłacił, jak się plotkuje, 5,5 miliarda dolarów, aby na cztery minuty wznieść się ponad symboliczną granicę Kosmosu, czyli sto kilometrów. „Wioska księżycowa" Moon Village – raczej luźny zestaw idei niż konkretny projekt, z którym sympatyzują jednak poważni ludzie, jak wieloletni dyrektor generalny Europejskiej Agencji Kosmicznej Jan Wörner – miałaby być m.in. również placówką turystyczną. Trudno jednak zapomnieć, że żadna spośród ok. 20 misji, które zakończyły się miękkim lądowaniem i wykonaniem zdjęć z powierzchni, nie dostarczyła żadnych innych widoków niż ciemnoszary gruz pod czarnym niebem. Nawet Buzz Aldrin, rozejrzawszy się po Morzu Spokoju, w prawdopodobnie najbardziej ekscytującej chwili swojego życia, nie zdobył się na więcej niż *„magnificent desolation"* – „wspaniałe pustkowie". To trochę za mało, żeby urządzić na Księżycu drugie Baden-Baden – dużo bardziej wiarygodnym modelem turystyki księżycowej jest przelot, choćby i wielokrotny: dostarczy równie niezapomnianych widoków, a nie będzie się wiązać z logistycznym koszmarem lądowania.

Może więc na powierzchnię zawiedzie nas żądza zysku? Może pierwszymi mieszkańcami Księżyca nie będą znudzeni miliarderzy, tylko pracownicy firm wiertniczych?

Górnictwo kosmiczne, mimo dekad żywego zainteresowania z perspektywy zarówno naukowej, jak i czysto biznesowej, to dziś wciąż mrzonka przyszłości. Nikt nie przedstawił jeszcze ekonomicznie uzasadnionego planu, czyli takiego o postaci: polećmy ku obiektowi A, aby wydobyć i sprowadzić na Ziemię zasoby B warte C, co będzie nas kosztowało D, przy czym C jest większe od D. W 2015 r. opublikowany został duży raport podsumowujący ekonomiczną wartość Księżyca i wszelkie inne zasoby mogące się przydać na miejscu hipotetycznej bazie księżycowej. Nie wygląda to dobrze. Autor, Ian Crawford, po wyczerpującym omówieniu umiejscowienia i stężenia niklu, złota, platyny, palladu, rodu, irydu, osmu, rutenu, tytanu, aluminium, krzemu, 15 tzw. metali ziem rzadkich (lantanu, lutetu, skandu itd.) oraz toru i uranu stwierdza ostatecznie, że żaden z tych zasobów nie występuje w złożach „ekonomicznie użytecznych".

Desperacja „kosmicznych geologów" jest na tyle duża, że rozważa się wykorzystanie atomów wiatru słonecznego, które na przestrzeni setek milionów lat osadzają się na powierzchni księżycowego gruntu, a następnie wskutek uderzeń drobnych meteorytów zostają z nim przemieszane. Stąd bierze się na Księżycu choćby wodór, wspomniany już jako potencjalne paliwo dla reaktorów (Crawford jest szczególnie pesymistyczny wobec tej właśnie nadziei), ale też np. oszałamiające 50 gramów chloru w każdym metrze sześciennym księżycowego gruzu. Z której strony spojrzeć, Księżyc nie wydaje się oferować wiele zachęty, aby go odwiedzać.

Pierwsza pełnia Cybanta

Co więc z tym Księżycem? Czemu właściwie niemal corocznie wystrzelona zostaje ku niemu nowa misja (o najbliższych piszemy w ramkach), a bogacze tego świata prześcigają się w obiecywaniu, że już niedługo będą po nim stąpać? (Elon Musk sugeruje czasem, że już być może w przyszłym roku wyśle na misję wokołoksiężycową 6-8 osób, w tym japońskiego miliardera Yūsaku Maezawę; Muskowi jednak z zasady się nie wierzy, gdy ogłasza jakikolwiek termin).

Z czysto praktycznego punktu widzenia Księżyc to „najbliższy daleki" albo „najprostszy trudny" cel eksploracji kosmicznej. Umieszczenie czegoś na orbicie ziemskiej to już dziś rutyna, a do momentu napisania tego tekstu łącznie 567 osób na tę orbitę trafiło. Dwie najbliższe nam planety, Wenus i Mars, to natomiast już cele naprawdę ambitne, takie na dekady planowania, nawet dla misji bezzałogowej – nie mówiąc już o tym, że choćby błyskawiczna wycieczka człowieka na Marsa i z powrotem musi trwać nie mniej niż półtora roku. Tymczasem cała misja Apollo 11, od startu po powrót na Ziemię, zajęła osiem dni. Nic więc dziwnego, że prostym testem zdolności danego kraju – lub firmy – do podbijania Kosmosu i popisem wydolności organizacyjnej jest właśnie dotarcie na Księżyc.

Są też jednak względy czysto niepraktyczne. Księżyc to coś więcej niż tylko kolejny satelita naturalny Układu Słonecznego – wystarczy na niego spojrzeć. Nawet i jego pustkowie potrafi być wspaniałe! Zresztą geologowi może nie imponować, ale mój pies Cybant, gdy po raz pierwszy zobaczył pełnię, zaczął na nią szczekać. A to jednak o czymś świadczy.

© ŁUKASZ LAMŻA

POŻEGNANIE

Wyrazy współczucia dla Joanny Muchy

z powodu śmierci

Ojca

Joanno, jesteśmy z Tobą

PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA"

Z MACZETĄ I BEZ

Oto świetny pisarz po przejściach typowych dla naszej epoki. Poza depresją, o której publicznie mówi, dotyka go powszechny wśród artystów problem uzależnienia od samego siebie, od własnej twarzy, głosu i napisanych słów.

MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Uwielbiam Michała Witkowskiego. Czytam wszystko, co wydaje drukiem. Czasem nawet przełknę jeden z wielu z wierzchu antymieszczańskich, a w trzewiach megalomańskich elaboracików o okropnych Polakach, które zamieszcza w mediach społecznościowych. Socjologiem jest błyskotliwym, choć mocno do obiektów swoich badań terenowych uprzedzonym. Jeśli inni pisarze, jak Jacek Dehnel, Ziemowit Szczerek, Paweł Sołtys czy Jakub Żulczyk – dla których Facebook i inne „sociale" są publicystyczną rekompensatą – pozostają ironicznymi alarmistami w nonszalancko powyciąganym tiszercie lub skromnej bonżurce, to Witkowski jest Arkadiusem krytyki społecznej. Wszystkie szwy i ostre cięcia wystawia na pokaz, obrywa poluzowane cekiny, a dziury posypuje brokatem.

Całkiem ładnie mi wyszło to wyznanie. Pasowałoby do kolekcji hymnów na cześć autora „Lubiewa", które wydawnictwo Znak Literanova zamieściło na wyklejce jego najnowszej powieści pt. „Tango". Chyba po to, abyśmy w trakcie lektury tej ponadpięćsetstronicowej książki nie zapomnieli, że obcujemy z literaturą, która nas zauroczy, omami i uwiedzie. To nie pierwszy raz, kiedy książki Witkowskiego sprzedaje się, czyniąc z czytelnikami osobliwy zakład, że z tekstem „prowokującego pisarza od seksu" musi iść w parze rozkosz czytania, a najlepiej pełen fajerwerków orgazm, i to niejeden. Fakt, „Tango" czyta się z niemałą przyjemnością, ale do rozkoszy to za mało.

Samo moje wyznanie jest jednak szczere. Sumiennie sięgam po książki Witkowskiego, bo nawet jego słabsze fabuły są po wielokroć ciekawsze od większości polskiej beletrystyki. Mam jednak wysokie oczekiwania, rozbudzone przełomowym dla mojego pokolenia „Lubiewem" (2004), a potwierdzone paroma następnymi książkami. One zawsze karczowały w tej naszej zawstydzonej seksualnością polonowoczesności nowe ścieżki. Nikt przed Witkowskim tak mięsiście, bez uprzedzeń i bez poprawnościowego lukru nie pisał o relacjach homoerotycznych. Choć udało mu się wykarczować sporo obyczajowej puszczy, to wciąż wiele chaszczy zarasta widok. W „Tangu" Witkowski odkłada jednak maczetę na bok, trzyma się wytyczonych szlaków powieści gatunkowej i nie rozgląda na boki.

Kryzys rozpisania

Witkowski jest pisarzem po przejściach bardzo typowych dla naszej epoki. Poza depresją, o której publicznie mówi, i z której nie śmiałabym żartować, dotyka go powszechny wśród artystów problem uzależnienia od samego siebie, od własnej twarzy, głosu, napisanych słów. Niedługo trwało, ale zdążył już być młodym, obiecującym pisarzem, felietonistą „Polityki", blogerką modową, salonową lwicą, przez chwilę pokutnikiem (z powodu nonszalanckiego podejścia do symboli historycznych i ideologicznych), aktorem serialowym i samotnikiem.

Choć poprzednią powieść Znak wydał mu pięć lat temu, w międzyczasie na pewno nie cierpiał na twórczą niemoc. Od miesięcy pisze obszerną i chyba naprawdę szczerą „Autobiografię", którą udostępnia w odcinkach w zamkniętej grupie na Facebooku i sprzedaje „poza rynkiem" tylko wybranym czytelnikom – tzw. zaprzysiężonym – którzy budzą jego zaufanie i nie puszczą pary z ust. W podobnych okolicznościach dzieli się „Dziennikiem kubańskim", a wcześniej „Fioletowym światłem", w których pozwala sobie na o wiele dosadniejsze diagnozy i niepoprawne sytuacje niż w książkach wydawanych w dużych oficynach. „Tango" jest więc jego powrotem na główny rynek książki.

Jeżeli coś „dolegało" Witkowskiemu, to był to kryzys rozpisania. Niezaspokojona, czasem kompulsywna chęć wypełnienia swoim przekazem, jaki by on nie był, multimedialnej przestrzeni. Nie jest zresztą w tej dolegliwości osamotniony. Żeby nie pozwolić sobie zamilknąć na zbyt długo, jedni płyną pod medialną banderą na Spitsbergen, inni śpiewają, mrugając okiem do fanów Maty i SB Maffiji, jeszcze inni – jak Witkowski – zaczynają pisać kryminały retro.

Z tych wielu leków ten ostatni ma najmniej skutków ubocznych. Retro kryminały podobają się niemal wszystkim. Mają oddanych wielbicieli, pierwszą i drugą ligę autorów, Festiwal Kryminału Retro – Kryminalny Magiel w Gostyniu ↦

Pisarz Michał Witkowski, Warszawa, 24 lipca 2022 r.

DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

↦ oraz gatunkowe nagrody. Fanom gatunku takich nazwisk jak Marek Krajewski, Marcin Wroński, Krzysztof Bochus, Ryszard Ćwirlej, Paweł Jaszczuk, Ida Żmiejewska nie trzeba przedstawiać. Formę tę mają w portfolio także najpłodniejsi twórcy kryminałów dziejących się współcześnie. Joanna Chmielewska próbowała w niej sił w „Wielkim diamencie" (1996), Remigiusz Mróz popełnił „W cieniu prawa" (2016), galicyjską zagadkę morderstwa z wątkiem klasowym w tle, a żonglerkę zagadkami z przeszłości uprawia też Zbigniew Miłoszewski, m.in. w „Bezcennym" (2013). Z kryminałem retro flirtują także pisarze kojarzeni z innym stylem i wrażliwością. To nie tylko duet Jacka Dehnela i Piotra Tarczyńskiego, który wydał jako Maryla Szymiczkowa cztery powieści o śledztwach profesorowej Szczupaczyńskiej, toczące się w Krakowie schyłku XIX w. Zabawy z gatunkiem uprawia Ziemowit Szczerek w „Chamie z kulą w głowie" (2020) czy Joanna Bator w „Gorzko, gorzko" (2020). Blisko tej półki – a czasem wręcz na niej – leży bestsellerowy „Król" Szczepana Twardocha (2016) i „Empuzjon" Olgi Tokarczuk (2022).

Kryminał retro sprawdza się w niemal każdych okolicznościach pogodowych i towarzyskich. Latem bywa ratunkiem na bibliofilskie konsekwencje katastrofy klimatycznej. Kiedy w ponadtrzydziestostopniowym upale nie masz siły na nowe tłumaczenia Joyce'a, reedycję dzieł Sebalda, a Chandler nigdy cię nie zachwycał i nowy przekład Bartosza Czartoryskiego (wydawnictwo Karakter) nic tu nie zmieni, to nie ma wstydu wyciągnąć z plażowego kosza rodzimej opowieści *noir* rozegranej w dekoracjach z epoki zaborów lub dwudziestolecia międzywojennego. Bo kryminał retro bawi i uczy. Wymaga dość rozbudowanego zasobu słownictwa, podstawowej wiedzy o historii i kulturze oraz nieco więcej socjologicznej wyobraźni niż przeciętna intryga współczesna. Oczywiście przewidujący autor nie pozostawi czytelników samych sobie, wszystko podpowie i wyjaśni. Ale jednak kryminał retro pozostawia nas z przyjemnym uczuciem, że czytając go nie tracimy głupio czasu.

Owszem, zawsze znajdzie się solidny varsavianista albo cracovianista, który wytknie autorowi niewiedzę o topografii miast. Że w 1929 r. na takiej a takiej ulicy, z drugiego piętra lewej oficyny nie mogło być widać kościoła, a elektryfikacja nastąpiła pięć lat później. Czytelnikom zwyczajnym to jednak nie przeszkadza, a Witkowski bezpiecznie umieścił akcję w mieście N***, „niedużym, ale »naftowym«" na południowym wschodzie ówczesnej Polski, za Drohobyczem. To takie Wymazane, jak ostatnia na Dzikim Wschodzie mieścina z jego poprzedniej „oficjalnej" powieści, tylko w większej skali i sto lat później. Utrzymujące się z ropy naftowej N*** stać na operetkę, kabaret i burdel, a lokalnych nafciarzy na kochanki z Warszawy. Nie stać ich jednak na to, by wypędzić z miasta dojmujący brud, kiłę i biedę, która skazuje fordanserki na niedogrzane strychy i „wąskie metalowe łóżka z nogami w puszkach po konserwach z wodą do ochrony przed pluskwami".

Opisy warunków mieszkaniowych i braku szans na awans stawiają „Tango" w bliskim sąsiedztwie z „13 pięter" Filipa Springera, choć u stylisty Witkowskiego policyjna przodowniczka ma w szafie „wachlarz ze strusich piór oraz krótkie futerko z małpy", a w gabinecie burdelmamy dominuje Bauhaus.

Duchologia Witkowskiego

„Tango" jest dla czytelników Witkowskiego książką wyczekaną. Zresztą, która jego powieść taką nie była? Siedem lat temu krytycy ostrzyli pazury na „Fynf und cfancyś" (2015), w której wracał do jednej z bohaterek „Lubiewa", Dianki, i jej zarobkowo-erotycznej podróży po krajach niemieckojęzycznych. Więcej jednak mówiło się nie o powieści, lecz o autorze, który wystąpił na łódzkim Fashion Week w wisiorze i furażerce z symbolem SS. Wydawnictwo Znak opóźniło o pół roku premierę jego książki. Skandal przycichł, ale wokół „Fynf und cfancyś" też było cicho. Chyba tylko Przemysław Czapliński wydał okrzyk zachwytu, twierdząc, że „to najlepsza książka Witkowskiego od czasu »Lubiewa« (...) naznaczona podobną do »Lubiewa« brawurą oraz niepewnością". Faktycznie, stempel tej słynnej powieści odcisnął się mocno na następczyni. Nawet część zdań w obu książkach jest uderzająco podobna, nie wspominając o anegdocie. Potem, na szczęście, przyszło „Wymazane" (2017) z świetnie nakreślonymi postaciami starszych kobiet, które wciąż mają ciała i czują ich drżenie, mimo że kultura odmawia im prawa do pożądania. Z pomocą bohaterkom „wyklętym" przychodzi niespętany kulturą młodzian. A cały melodramat rozgrywa się w miasteczku tętniącym postmodernistyczną dulszczyzną. Takiego Witkowskiego można jeść garściami.

Jednak najlepiej przyjętą powieścią Witkowskiego po „Lubiewie" była „Barbara Radziwiłłówna z Jaworzna-Szczakowej" (2007), historia mezaliansu Huberta, właściciela lombardu i kapitalistycznego drapieżcy na miarę małego miasteczka z lat 90., który za miskę kaszy i twardą pryczę zatrudnia Ukraińców. Aż wpada w ramiona jednego z nich, ale Saszka szuka lepszego życia niż to na Śląsku. Barbara Radziwiłłówna, w którą Hubert zamienia się, kiedy nikt nie widzi, zostaje sama z uprzedzeniami i katolickim sumieniem. Jest to powieść skromna, gdyż nie udaje, iż jest kontynuacją „Lubiewa". To samodzielna wariacja na temat person zaludniających wielki atlas ciot polskich (to z kolei tytuł komiksu, który powstał na kanwie „Lubiewa" w 2012 r., ale odsyła do konsekwentnie realizowanego przez Witkowskiego od dwudziestu lat zamysłu opisania środowiska, które do tej pory wymykało się beletrystyce).

Początki tego pomysłu sięgają opowiadań zebranych w tomach „Copyright" (2001) i „Fototapeta" (2006), pisanych z perspektywy nastolatka oraz młodego homoseksualisty na przełomie PRL i III RP, który widzi siebie na tle procesów historycznych i społecznych, żonglujących losami jego rodziny. Dziś powiedzielibyśmy, że są to opowieści duchologiczne. Fetyszem jest konsumowanie niedostępnych przedmiotów i doznań, a nie własnego wizerunku, jak to stanie się już w „Margot" (2009). Niestety mniej więcej w połowie tej powieści jej autor traci energię na rzecz złośliwostek pod adresem celebrytów, do których grona wkrótce dołączył z przytupem.

Z okresu, kiedy próbował wymyśleć się na nowo, porzucając resztki autentyczności, pochodzą dwie powieści

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 | FM **www.radiokrakow.pl**

„z dreszczykiem" – „Drwal" (2011) oraz „Zbrodniarz i dziewczyna" (2014). Kto wie, czy Witkowski nie jest, obok Olgi Tokarczuk, prekursorem horroru przyrodoleczniczego, a przynajmniej przyrodokurortowego. „Drwal" miał wszelkie zalety kampu – kiedy twórca celowo szarżuje, przejaskrawia i przesyca fabułę dekoracjami po to, by przekroczyć uświęcone granice gatunku. No i powstała opowieść klimatyczna jak Międzyzdroje po sezonie, gdzie pisarz umieścił pretekstową akcję. Natomiast „Zbrodniarz i dziewczyna" było już orgią masochistycznego narcyzmu, gdzie Michał Witkowski w centrum wszechświata postawił postać pisarza Michała W. Niby opisywał siebie z dystansem, ale jednocześnie tę autoironię tak celebrował, aż zmieniła się w nieznośną manierę. Gdzieś tam czaił się tytułowy zbrodniarz i pojawiała się panna, ale istnieli oni w tej powieści w sposób nienachalny – inaczej niż Michał W. Przyznam, że w czasie lektury zdarzało mi się kibicować seryjnemu zabójcy, żeby w końcu ukrócił „męki" protagonisty. Dlatego kolejny kryminał Witkowskiego brałam do ręki z niepokojem.

Pierwszy sezon serialu

Jest rok 1930. Ulubiona epoka Marka Krajewskiego, któremu za inspirację Witkowski dziękuje w posłowiu. Dla niego jest to powrót do źródeł swoich literackich fascynacji. Chciał pisać doktorat o prozie obyczajowej dwudziestolecia międzywojennego. Doskonale znał teksty Nałkowskiej, Ukniewskiej, Worcella, Gojawiczyńskiej, Uniłowskiego czy Boguszewskiej (Dołęgi-Mostowicza nie ceni z powodu... fałszu i kiczu). Wystarczyło je odświeżyć.

Może dlatego Witkowskiego bardziej niż pogmatwana intryga z odpowiednią liczbą fabularnych twistów interesują wstydliwe słabości i społeczny koloryt bohaterów. Na pewno *dramatis personae* „Tanga" nie sposób się znudzić, bo co rusz pojawiają się nowe postacie, a poszczególne wątki zmieniają się szybko, jak piosenki na płycie ze szlagierami. Niby jest wskazany protagonista, prowadzący śledztwo starszy przodownik Adolf Piątek, ale odgrywa on rolę co najwyżej koryfeusza, pogubionego w księdze twarzy miasta N***. Jedna z licznych bohaterek „Tanga", panna Wanda sekretarzująca policjantom, na koniec każdego roku tworzy *tableau* z fotografii całego zespołu komendy ułożonych w przemyślaną kompozycję, która o relacjach między ludźmi mówi więcej, niż ci chcieliby przyznać. Witkowski też komponuje swoją powieść na zasadzie *tableau* z podobiznami ludzkich typów, z których wyczytuje z równą pasją afekty, co prawdę socjologiczną.

Od miesięcy pisze obszerną i szczerą „Autobiografię", którą udostępnia w odcinkach w zamkniętej grupie na Facebooku i sprzedaje poza rynkiem tylko wybranym czytelnikom, którzy budzą jego zaufanie i nie puszczą pary z ust.

„Libretta operetek to jedyna stała rzecz na świecie" – uważa starszy przodownik Adolf Piątek. Niestety, fabuła kryminału retro też jest u Witkowskiego przewidywalna, jakby skopiowana ze scenariuszy filmowych i serialowych pewniaków. Bezwzględnie konieczny jest seryjny morderca. U Witkowskiego jak zawsze na bogato: seryjnych morderców jest dwóch. Ich policyjne kryptonimy sugerują zawodowstwo i pasję. Zbrodnie Kucharza i Tancerza dzieli dekada. Kucharz jest dalekim krewnym Hannibala Lectera. Z kolejnych kobiecych ofiar wycina „grasice, polędwiczki, kotleciki" w celach konsumpcyjnych. Tancerz z początku kopiuje ten rytuał. Czy są tą samą osobą, czy to mistrz i uczeń, a może kochankowie? Jest *femme fatale*, choć mało fatalna, po prostu zbyt dziwaczna jak na prowincjonalne miasto. Nie zabrakło socjopatycznego patologa i pociesznej czeredy prowincjonalnych śledczych, którzy przez kilkaset stron szukają winnego, mając go przed nosem. Chyba jedynym odstępstwem od sztampy jest postać przodowniczki Stanisławy Woźniak, sadystki od skłaniania wszelkimi środkami podejrzanych i świadków do składania wartościowych dla policji zeznań.

W N*** są mroczne kabarety, girlsy i fordanserki, oferujące z biedy cały wachlarz usług. Część z nich zginie. Eliminowanie pozbawionych praw jednostek, które uchodzą za zdemoralizowane, i usprawiedliwianie zbrodni pokrętną ideologią społecznej eugeniki to wzór z powodzeniem realizowany w skandynawskich kryminałach przynajmniej od czasów cyklu o Kurcie Wallanderze. Zarabiające ciałem kobiety nie są jednak jedynymi ofiarami. O ile Kucharz gotował według jednego przepisu, Tancerz jest w swych wyborach bardziej kapryśny. Ginie homoseksualny śpiewak, żigolo, mecenas i urzędnik. Przy każdym ciele sprawca zostawia cytat z popularnego tanga, a gapowaty zespół starszego przodownika Piątka próbuje rozczytać ich sens. Scena finałowej śmierci jest pełna sztucznego rozmachu – rozgrywa się w miejskiej operetce, gdzie ma miejsce premiera ubóstwianej przez międzywojenną publiczność „Księżniczki czardasza". Zaskakuje tylko to, że występujący licznie w „Tangu" homoseksualiści, biseksualiści i transwestyci nie mają w sobie nic czułego ani budzącego empatię. Są prowodyrami szajki, w którą uwikłane są elity polityczne, artystyczne i arystokracja hołdujące wszelkim zakazanym skłonnościom, nie wykluczając pedofilii. Także i oni są więc skopiowani z gwarantującego sukces skryptu. Nastrój „Tanga" przypomina czasem do złudzenia osadzony w Republice Weimarskiej serial HBO „Babylon Berlin".

Przy lekturze „Tanga" serialowe skojarzenia same się narzucają. Współczesna pierwszorzędna powieść drugorzędna, którą bez wątpienia jest ten kryminał retro, aż prosi się o adaptację i kusi czytelnika, żeby błagał autora o kolejny tom (a może sezon?). Witkowski ma do tej formy talent. Sądzę, że gdyby to jemu Netflix zlecił napisanie scenariusza do „Królowej" z Andrzejem Sewerynem i Marią Peszek, ta baśń o tęczowej metamorfozie zapyziałego górniczego miasteczka nie byłaby tak spektakularną porażką. Może dodałby jej sensu albo przynajmniej seksapilu. „Tango" na pewno przysporzy mu nowych fanów. Ale na kolejne śledztwa Adolfa Piątka nie czekam. Wolę, kiedy Witkowski pisze książki, a nie gotowce. Liczę, że nie wytrzyma i jednak wyda drukiem „Autobiografię". To dopiero będzie rozkosz czytania!

© MAGDALENA NOWICKA-FRANCZAK

Michał Witkowski **TANGO**, *Znak Literanova, Kraków 2022*

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

Rembrandt, Jeździec polski, ok. 1655 r.

Rzeczy uparcie nieśmiertelne

GERDIEN VERSCHOOR

Po czteromiesięcznym postoju w Pałacu na Wyspie w Warszawie arcydzieło Rembrandta przenosi się od 18 sierpnia na Wawel. Skąd przybywa i jaką przemierzyło drogę?

Patrząc na „Jeźdźca polskiego" Rembrandta w salach nowojorskiej The Frick Collection, można by zadać sobie pytanie: czy ta pani w słonecznych okularach, ten turysta z wiszącym na brzuchu aparatem fotograficznym, to marudzące dziecko, czy oni wszyscy patrzą na ten sam obraz? Czy widzą tego samego jeźdźca, tego samego konia, tę samą czerwień spodni? Czy widzą to samo wędzidło w pysku zwierzęcia, tę samą rękę trzymającą nadziak i ten sam na pół rozmyty pejzaż? Czy widzą tę samą egzotyczną czapkę, te same guziki kremowego żupana, ten sam obcas buta z cholewami?

A holenderski koneser, król Polski i amerykański przemysłowiec? Czy oni widzieli te same nieśmiertelne rzeczy w miejscach, które już nie istnieją?

Koneser i hrabia

Od tamtego czasu nic się nie zmienił, choć zmieniło się wszystko: krajobraz, który w 1897 r. obserwował Abraham Bredius ze swojego przedziału, jadąc koleją galicyjską im. Karola Ludwika (brata cesarza Austrii Franciszka Józefa I) z Kra-

kowa do Tarnobrzegu, a nawet dalej w głąb Galicji.

„To był dobry kawał drogi" – donosił potem z Moskwy Bredius. Był dyrektorem haskiego muzeum i koneserem Rembrandta. „I ta jazda małymi odgałęzieniami kolei galicyjskiej – jakżeż ona długo trwa, można by iść obok szybkim chodem". Wtulony w fotel wagonu pierwszej klasy obity aksamitem w kolorze czerwonego wina – tak to sobie wyobrażam – zobaczył falujące pola zbóż, lasy brzozowe, rzeczki, młyny wodne, stadniny i chmury, które w tym granicznym regionie Europy zalegają nad gruntami o wiele niżej niż na tak dobrze mu znanych obrazach mistrzów holenderskich. Cebulowate kopuły rusińskich cerkwi także musiały wydać się Brediusowi wielce egzotyczne. W tej odległej Galicji, ówczesnym kraju koronnym Monarchii Habsburgów, dokonał Bredius największego odkrycia w swojej karierze znawcy Rembrandta.

W 1897 r. wybrał się w podróż ze specjalną misją do Sankt Petersburga, Moskwy i Kijowa, by zbadać obrazy Rembrandta znajdujące się nie tylko w zbiorach znanych muzeów, lecz także w majątkach ziemskich i miejskich pałacach bogatych rodów szlacheckich. Popadał w zachwyt na samą wzmiankę o takich nazwiskach, jak Zamoyski, Czartoryski czy Siemionow, którzy byli właścicielami imponujących kolekcji. Bredius wiedział o istnieniu tych obrazów jedynie na podstawie reprodukcji oraz dokumentów archiwalnych. Teraz udał się wreszcie w daleką podróż, by móc te obrazy osobiście zbadać i potwierdzić ich autentyczność. Poszukiwał też wyjątkowych dzieł holenderskiego mistrza na potrzeby wystawy, która miała się odbyć w 1898 r. w Muzeum Miejskim w Amsterdamie z okazji koronacji królowej Wilhelminy.

W drodze do Moskwy Bredius zatrzymał się w Berlinie, gdzie spotkał się z innym sławnym koneserem sztuki, Wilhelmem von Bode. „Och – powiedział Bode – skoro i tak jedziesz do Krakowa, spróbuj zobaczyć na zamku hrabiego Tarnowskiego tego Rembrandta, o którym tak różnie się sądzi. Bardzo chciałbym się dowiedzieć, czy jest autentyczny".

I tak też się stało. Bredius zatrzymał się w hotelu w Krakowie, gdzie w Muzeum Czartoryskich obejrzał „dziwny pejzaż" Rembrandta. Próbował też nawiązać kontakt z hrabią Tarnowskim. Z pomocą przyszedł mu przypadek. „Kiedy zobaczyłem piękny czterokonny zaprzęg mijający mój hotel i usłyszałem od portiera, że jechał nim hrabia Tarnowski, który kilka dni temu zaręczył się z prześliczną hrabiną Potocką, mającą wnieść w ich związek znaczny majątek, nie sądziłem, że ten człowiek mógłby być właścicielem jednego z najpiękniejszych dzieł naszego wielkiego Mistrza. Okazało się jednak, iż tak faktycznie było". Nie zwlekał ani chwili: „Zwróciłem się oczywiście z prośbą o udzielenie permisji na obejrzenie obrazów znajdujących się na zamku w Dzikowie. Cóż, to nie była taka prosta sprawa, to był kawał drogi. Musiałbym więc zatrzymać się tam na noc... Ostatecznie hrabia Mycielski, kuzyn pana Tarnowskiego, zaoferował mi swoje towarzystwo w podróży oraz wszelką pomoc". W ten oto sposób dyrektor haskiego muzeum znalazł się w pociągu mijającym w ślimaczym tempie galicyjskie pola i kościoły.

Rezydencja Tarnowskiego ze wznoszącą się nad środkową częścią wieżą, ozdoby neogotyckie, majestatyczny dziedziniec – wszystko to musiało wywrzeć na Brediusie wrażenie. Na zamku panowała atmosfera pełna podekscytowania ze względu na przyjazd przyszłej małżonki hrabiego Tarnowskiego. Po przekroczeniu progu pałacu Bredius zauważył, że „w tym przedziwnym budynku pełno barachła", i to obok wiszących tu od wieków obrazów holenderskich mistrzów – Davida Teniersa, Lucasa van Leydena i Alberta Cuypa. Ale obrazem, który zrobił na nim kolosalne wrażenie, był „Jeździec polski" Rembrandta.

„Doszły mnie słuchy, że ten Rembrandt nie jest oznaczony, niektórzy sądzili, iż jest on dziełem ucznia, na przykład Aerta de Geldera, itd. Moje oczekiwania nie były więc zbyt wysokie. I oto on! Jedno krótkie spojrzenie na całość, potrzebowałem kilku sekund na badanie techniczne, by z przekonaniem stwierdzić, iż w tym odległym miejscu od prawie stu lat wisiało jedno z największych dzieł Rembrandta!" – wspomina Bredius.

Po tych słowach następuje liryczny opis obrazu, którego fragmenty są według Holendra „zachwycająco namalowane": „Jak długo ma on jeszcze wisieć w niedostępnym zamku, położonym na dalekim galicyjskim odludziu? Wszelkie moje próby pozyskania go dla Holandii spełzły na niczym. Ludzie są tu przywiązani do tego dzieła ze zdwojoną mocą, gdyż należało ono do zbiorów ostatniego polskiego władcy Stanisława Poniatowskiego".

Nie tylko bowiem Abraham Bredius, hrabia Tarnowski i hrabina Potocka stanęli oko w oko z „Jeźdźcem polskim". Przez długie lata należał on do zbiorów króla Polski, Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Król i dyplomata

W rozległym parku Łazienkowskim, z dala od ruchliwego centrum Warszawy, znajduje się prywatny pałac króla Stanisława Augusta. Wysokie okna przyglądają się swemu odbiciu w tafli wielkiego stawu, po którym jakby dryfował biały budynek z kamienia. Tutaj, za oknami pałacu Na Wyspie, w 1793 r. król urządził *galerie en bas*, w której znalazły się najcenniejsze dzieła z jego zbiorów malarstwa.

Zgodnie z królewską koncepcją sztuki Galeria Obrazów na parterze tworzyła bardzo osobisty kontrapunkt dla znajdującego się w sercu stolicy Polski Zamku Królewskiego. Zamek stanowił reprezentacyjne centrum władzy i był odpowiednim miejscem dla portretów króla i zaprzyjaźnionych głów państw oraz otrzymanych od nich darów. Tam znajdował się królewski dwór, tam król był otoczony swoimi doradcami i nadwornymi artystami, lokajami i kucharzami, karłami i kochankami.

Natomiast w pałacu Na Wyspie Jego Królewska Mość stworzył zupełnie inną atmosferę. Tutaj zapraszał przyjaciół, którzy mogli zwracać się do niego po imieniu, tu obwiesił sale obrazami, które najbardziej lubił. Na pierwszym piętrze wisiało 145 obrazów, na parterze 180. A 65 wybranych przez króla dzieł zawisło w *galerie en bas*, która stała się jego wizytówką. Na ścianach o lipowozielonym obiciu wisiały przykuwające wzrok ulubione przez króla obrazy Tycjana, Rubensa i Giordana w identycznych pozłacanych ramach, ozdobione monogramem królewskim. Zgodnie z ówczesną praktyką ściany były gęsto zawieszone, przy czym większe obrazy wisiały w górnych rzędach, mniejsze zaś – w niższych. ↦

Z KOLEKCJE GERDIEN VERSCHOOR

Jacek Sroka „Jeździec polski" ok. 2011-2013, tusz na papierze

↦ Jak wynika z inwentarza, król cenił Rembrandta głównie ze względu na jego *grand effet de lumière et un coloris vigoureux* (silny efekt świetlny i żywą kolorystykę). W *galerie en bas* znajdowało się sześć z dwunastu obrazów z jego kolekcji, które zgodnie z katalogiem królewskim były uważane za autentyczne dzieła Rembrandta. Jednym z nich był „Jeździec polski", który w pewnym momencie został przeniesiony z *l'antichambre en haut* do *galerie en bas*. Dzieło to trafiło do kolekcji króla w wyjątkowy sposób.

Na wzór licznych kolekcjonerów ówczesnej epoki król korzystał z rozległej sieci doradców, agentów, bankowców i dyplomatów, którzy umożliwiali międzynarodowe zakupy dzieł sztuki. We Włoszech sporo kupował za pośrednictwem swojego nadwornego malarza Marcela Bacciarellego lub jego agentów, w Paryżu zaś jego zaufaną pośredniczką była sławna gospodyni paryskiego salonu Madame Geoffrin. Oczywiście także i w Niderlandach król miał swoich doradców.

Ale nie tylko dzięki zakupom wzbogacał swoją kolekcję. Wymiana darów stanowiła jeden z ważniejszych rytuałów kultury dworskiej. A ponieważ wiedziano, że król był wielbicielem sztuki, dostawał nieraz w prezencie obrazy, rzeźby lub ryciny zamiast koni, psów czy klejnotów. Również „Jeździec polski" znalazł się w posiadaniu króla jako dar. To Michał Kazimierz Ogiński, wielki hetman litewski i powiernik króla, przesłał mu z Hagi wiosną lub latem 1791 r. ten obraz w prezencie, w zamian za zbiór drzewek pomarańczowych. W liście włączonym do archiwum królewskiego *mediis Augusti* z 1791 r. Ogiński napisał: „Sire, Odsyłam Waszey Królewskiey Mości Kozaka którego Reinbrand osadził na koniu, zjadł ten koń przez bytność swoją u mnie 420 guldenów niemieckich. Sprawiedliwa Łaska Waszey Królewskiey Mości spodziewać mi się każe, że pomarańczowe drzewa w tey proporcyi zakwitną, do nóg upadam. Waszey Królewskiey Mości, PMM, nayniższy sługa, Michał Ogiński HWL". Obraz został włączony do królewskiej kolekcji sztuki i w 1793 r. zarejestrowany w katalogu obrazów jako „Cosaque à cheval" o wartości 180 dukatów.

Trzy miesiące przed włączeniem listu Ogińskiego do królewskiego archiwum uchwalono w Polsce nową konstytucję, najbardziej postępową w Europie. Rosja i Prusy obawiały się, że w sąsiedzkim kraju dojdzie do rozruchów na wzór rewolucji francuskiej i ich wojska wkroczyły na terytorium Rzeczypospolitej. Doprowadziło to do drugiego i trzeciego rozbioru, król został zmuszony do wyjazdu do Rosji. Kilka lat później, w 1798 r., zmarł na wygnaniu w Sankt Petersburgu jako ostatni król dużego państwa, które przestało istnieć.

Monarcha musiał pozostawić w Warszawie większą część swojej kolekcji. Po śmierci jego spadkobierców wiele dzieł należących do królewskiej spuścizny, w tym „Jeździec polski", trafiło na rynek sztuki. Drogą posagów i spadków „Jeździec" znalazł się ostatecznie na zamku w Dzikowie, dokąd prawie sto lat po śmierci króla przybył Bredius, by po jednym rzucie oka stwierdzić, że to autentyczny Rembrandt.

Królowa i przemysłowiec

Wziąwszy pod uwagę wyjątkowe pochodzenie obrazu, było całkiem zrozumiałe, że Tarnowscy nie chcieli się z nim rozstać. Widocznie Bredius posiadał jednak dużą siłę przekonywania i kontekst królewski okazał się na tyle kuszący, że ostatecznie wyrazili zgodę na podróż obrazu do Niderlandów. Można go było obejrzeć na wystawie zatytułowanej „Rembrandt. Obrazy zebrane z okazji koronacji królowej Wilhelminy" w Muzeum Miejskim

w Amsterdamie, trwającej od 8 września do 31 października 1898 r.

Był to międzynarodowy *coming out* „Jeźdźca polskiego", który wpłynął na przyszłość obrazu. W szybkim tempie rozniosła się w kręgach kolekcjonerów wieść o jego istnieniu. Pragnąc pozyskać środki finansowe na zakup dużego obszaru graniczącego z jego majątkiem w Dzikowie, hrabia Tarnowski sprzedał w 1910 r. obraz Rembrandta za 60 tys. funtów amerykańskiemu magnatowi węglowemu Henry'emu Clayowi Frickowi, ku wielkiej konsternacji wśród polskich historyków sztuki. Przed pożegnaniem się z „Jeźdźcem", aby choć trochę złagodzić swój ból, Tarnowski zlecił wykonanie kopii obrazu dla zamku w Dzikowie. Tak oto „Jeździec polski" znalazł się po drugiej stronie oceanu i otrzymał honorowe miejsce w sławnej The Frick Collection w samym sercu Manhattanu.

Okopy I wojny światowej, rewolucja rosyjska, która przetoczyła się przez majątki ziemskie, II wojna światowa, która dotkliwie dotknęła „skrwawione ziemie", i wreszcie komunizm sowiecki na zawsze unicestwiły sielankowe życie polskich ziemian w Galicji. Ich kolekcje sztuki zostały rozkradzione, znacjonalizowane lub poszły z dymem. Dotyczyło to także rodu Tarnowskich. Tak starannie wykonana przez angielskiego portrecistę Ambrose'a McEvoya kopia „Jeźdźca polskiego" spłonęła w pożarze na zamku w Dzikowie w 1927 r., a Tarnowscy do tej pory walczą o restytucję swojej upaństwowionej własności. Być może więc to właśnie dzięki skandalicznej sprzedaży obrazu w 1910 r. możemy dziś stanąć przed „Jeźdźcem polskim", mając w pamięci tych kilka wersów Adama Zagajewskiego:

Suknie jak kołdry. Wilgotne ostrygi.
Rzeczy są nieśmiertelne ale nie służą nam.
„Malarze Holandii"

My

Gdy rzeczy są nieśmiertelne, mogą poruszać się nie tylko w przestrzeni i w czasie, lecz również w naszych wspomnieniach bądź wyobraźni. Bredius wspominał swoją podróż do „Jeźdźca polskiego" i te sekundy, gdy rozpoznał autentyczność obrazu Rembrandta. We wspomnieniu króla Stanisława Augusta obraz był niewątpliwie związany z lipowozielonym obiciem ścian w jego *galerie en bas* i przesyłką drzewek pomarańczowych. Patrząc na „Jeźdźca polskiego", widzieli oni nie tylko swoje własne wędrówki, lecz również podróż obrazu.

Czasami rzeczy, a nawet niektóre dzieła sztuki są uparcie nieśmiertelne. Znajdują wtedy dla siebie miejsce nie tylko w naszej głowie, ale stają się też częścią pamięci zbiorowej. Tak jest z „Jeźdźcem polskim".

Około 1865 r. Juliusz Kossak wykonał kopię obrazu, choć zamiast niezdarnego konia Rembrandta namalował szlachetnego araba. Jan Lebenstein wykorzystał „Jeźdźca polskiego" w swoim apokaliptycznym dziele, przedstawiając jeźdźca jako posłańca śmierci. Dla Jacka Sroki obraz Rembrandta stał się punktem wyjścia dla ironicznego obiektu: na mocno ekspresyjną akwarelę, na której można rozpoznać naszego jeźdźca, nakleił szkic innego znanego Polakom jeźdźca, mianowicie Lajkonika, tatarskiego wojownika podskakującego ulicami Krakowa na swoim sztucznym koniku w oktawę Bożego Ciała. A holenderski pisarz Simon Vestdijk podjął się dokonania głębszej analizy obrazu. W swoim eseju pt. „Jeździec polski" zdesperowany autor zastanawia się nad intencjami Rembrandta: „Tak oto koń polskiego jeźdźca potyka się, pada do przodu z trudem utrzymując się na nogach, kołysząc się, jakby szedł pod wodą, tęskniąc za garbarzem, z lewej na prawą stronę obrazu, niczym intymna zagadka".

A jakie emocje wzbudza we mnie? Próbuję patrzeć oczami wszystkich tych, którzy zetknęli się z obrazem przede mną, i ich oczami widzę jego podróż. Gdybym mogła przejść na drugą stronę ramy, znalazłabym się w *galerie en bas* i przysłuchiwała krzykom pawi i głosowi króla, który śpiewną francuszczyzną opowiada o tym ładnym prezencie i o przebytej przez niego drodze. A może po drugiej stronie ramy wziąłby mnie za rękę Abraham Bredius, by zaprowadzić do którejś z rezydencji szlacheckich w Galicji? „Nawet nie mieliśmy odwagi o tym pomarzyć – szepcze w półmroku wnętrza pełnego obrazów i gobelinów – iż będzie nam dane zobaczyć po drodze aż tak wiele nieznanych i pięknych rzeczy".

© GERDIEN VERSCHOOR

Przekład z języka niderlandzkiego:
EWA VAN DEN BERGEN-MAKAŁA

Tekst o „Jeźdźcu polskim" ukazał się w wersji angielskiej w czasopiśmie „The Low Countries", www.the-low-countries.com
Polski tytuł pochodzi od redakcji.

FJODOR BUIS / ARCHIWUM PRYWATNE

GERDIEN VERSCHOOR jest holenderską pisarką i historyczką sztuki. W latach 1990-2001 mieszkała w Polsce, gdzie doktoryzowała się, pisząc pracę o kapistach. Pracowała jako attaché kulturalny w ambasadzie Niderlandów w Warszawie, gdzie rozgrywa się akcja jej powieści „Nić i lotna igła". W tym roku ukazał się polski przekład książki „Dziewczyna i uczony. Historia dwóch Rembrandtów z kolekcji Karoliny Lanckorońskiej", której jest autorką.

W takim czasie

TEKST I ZDJĘCIE: KRZYSZTOF STORY

Według zespołu Joryj Kłoc ich muzyka to „ukraiński obrzędowy hip-hop-daj-Boże-etno-czort". Albo po prostu: „turbo folk", bo grają szybko, głośno, szamańsko. Sieją zamęt.

Gdyby urodzili się dwieście lat temu, byliby wędrownymi dziadami. Braliby liry, skrzypce, huculskie bębny i chodzili po wioskach i weselach. W pieśniach opowiadaliby to, o czym wszyscy wiedzą – że słońce wschodzi, że wiosna nastaje, że panny wydają się za mąż, że gospodarzom szczęście niech sprzyja. Może śpiewaliby też o kniaziach, kozakach, bitwach, o Ukrainie i jej historii. Ale, jeśli trzeba zmieszać ludową przyśpiewkę „Werbowaja doszczeczka" z melodią „Gotta Go Home" Boney M. – to mieszają.

Pierwszy raz widziałem ich na festiwalu Grajdół na zboczu Eliaszówki w Beskidzie Sądeckim kilka lat temu. Trzecia godzina koncertu, ludzie ledwo łapią oddech, bo siedzieć się przy tej muzyce nie da. Wtedy Anton nachyla się do mikrofonu i krzyczy: „Walimy dalej!".

Antena do przodków

Jak Anton krzyknie ze sceny, ciężko nie posłuchać. Wielki chłop, na głowie osełedec na kozacką modłę, siedzi za wielkim bębnem, wygląda naprawdę groźnie. Spotykamy się dwa tygodnie później w Gorajcu na festiwalu Folkowisko: – Muzyka folkowa musi być grana w tym brzmieniu, które dyktuje czas. Żeby zabrać nas w przeszłość, musi mówić współczesnym językiem. Dlatego mieszamy folk z hip hopem, rockiem, z drum'n'bassem. Przez nowe brzmienie kolejne pokolenia poznają melodie i słowa przodków.

Anton Lubij, wokalista i bębniarz, jest jedynym z oryginalnego składu. Dzisiaj Joryja Kłoca tworzą oprócz niego: Jarosław Jarowenko (altówka), Pawlo Goc (gitara) i Lubomir Sopilnyk (lira korbowa), ale historia zespołu zaczęła się od spotkania Antona z Gordijem Staruchem. Studiowali razem na Narodowej Akademii Sztuki we Lwowie, dzieliły ich dwa roczniki, a zbliżył właśnie folk. Zaczynali od mocnych elektronicznych brzmień, drum'n'bassu. Przełomem była współpraca z menedżerem Jurkiem Zełenym. W 2014 r. wydali pierwszą płytę, zaczęli więcej koncertować, wyjeżdżać za granicę: – Pomysł był taki, żeby grać dla zachodnich Słowian. Koncertowaliśmy w Polsce, w Czechach, na Litwie, Słowacji i Białorusi. W ciągu trzech lat wydaliśmy trzy płyty, graliśmy nawet w Niemczech, Kanadzie i Chinach.

Skład zespołu się zmieniał. Gordij Staruch zaczął karierę solową (od rozpoczęcia ponownej inwazji na Ukrainę mieszka w Krakowie), a zamiast niego za gitarę chwycił Pawlo Goc.

– Kiedy pierwszy raz spotkałem Pawla, zagrał ze mną chyba z dwadzieścia piosenek Joryja Kłoca. Nigdzie nie znaleźlibyśmy lepszego gitarzysty – wspomina Anton. – On i Lubomir byli po prostu fanami zespołu.

Anton ma 38 lat, w zespole złożonym oprócz niego z samych dwudziestoparolatków przypomina seniora rodu. Urodził się w obwodzie sumskim, ale dorastał we Lwowie. Z wykształcenia i zawodu jest rzeźbiarzem: – To wszystko idzie z dzieciństwa. Jak miałem pięć lat, to już mówiłem, że zostanę artystą. Cały czas coś malowałem, lepiłem z gliny, tworzyłem.

Na smartfonie pokazuje mi swoje ostatnie rzeźby sprzed wojny. Wiele jest inspirowanych przedchrześcijańską kulturą Ukrainy. Są tradycyjne huculskie świeczniki o trzech ramionach. Drewniane, zdobione, wykonanie jednego zabiera mu cztery dni. Mnie od razu kojarzą się z chrześcijańską trójcą. Nowe religie zazwyczaj przejmują symbolikę starych, tutaj nie było inaczej: – To zawsze były trzy świece. W naszym pogaństwie też była trójca, były nawet bóstwa o takich imionach: Trojan, Tryglaw. W starych wierzeniach współistniały trzy światy: ludzi, bogów i przodków. Boski świat nazywał się „*prawo*", od tego idą słowa „prawda", „prawić", „naprawić". Ludzki świat to „*na jawu*" – czyli to, co możemy poznać, doświadczyć. Świat przodków, czyli „*nawa*", był źródłem wiedzy; wiele tradycji pogańskich służy właśnie komunikacji z przodkami.

Wracamy do jego rzeźb, następne zdjęcie: szopka bożonarodzeniowa, która co roku stoi w centrum Lwowa. Następne – grupa dzieciaków w jego pracowni we Lwowie, Anton od lat prowadzi warsztaty z rzeźbiarstwa. Następne – Optimus Prime i Bumblebee (bohaterowie komiksu „Transformers"). To nie do końca jego styl, ale chyba odpowiedni na wejście na plac zabaw, którego strzegą dwa roboty. Przy malowaniu pomaga mu siedmioletni syn.

Gdy Anton miał 12 lat, słuchał z kolegami punka, thrash metalu. Parę lat później zainteresował się folkiem, kulturą i historią Ukrainy. Mówi, że zainteresowało go, kim jest: – Dla mnie najważniejsze są początki, czasy pogańskie, bo stamtąd pochodzą nasze opowieści, melodie, wzory, które wyszywamy na koszulach. Bez tego dziedzictwa nie mógłbym nawet powiedzieć, że jestem Ukraińcem.

Mówi, że od 24 lutego stało się to jeszcze ważniejsze: – Wszyscy wiedzą, że Ukraina przed wojną była mocno podzielonym krajem. Ale jest też inna perspektywa. Sięgamy siedemset lat wstecz i znajdujemy pieśni po ukraińsku z zupełnie różnych regionów. Znajdujemy wspólnotę, którą tworzą język i muzyka, dokładnie tę wspólnotę, którą dzisiaj chce zniszczyć Putin.

Pokazuje na swój kozacki osełedec i śmieje się, że to jego antena do połączeń z przodkami. Dodaje: – Każdy ukraiński żołnierz powinien nosić taką fryzurę.

Od środka

Festiwal Folkowisko, gdzie się spotykamy, jest dla Joryja Kłoca miejscem szczególnym. Pierwszy raz przyjechali do Gorajca (miejsce jednego z największych wydarzeń muzyki folkowej w Polsce, odbywa się w podkarpackiej wsi liczącej 40 mieszkańców). Kapela po raz pierwszy przyjechała tu w 2014 r. Zagrali wtedy, jak opisywał go później Gordij Staruch, koncert „jeden na milion". Trwał 12 godzin, do dziś na terenie festiwalu słychać opowieści o nocy, która niepostrzeżenie zamieniła się w kolejny dzień. Od tego czasu Gorajec jest ich „polskim domem".

Koncert zespołu Joryj Kłoc podczas Festiwalu Folkowisko w Gorajcu. 15 lipca 2022 r.

Wtedy nie tylko zagrali, ale też nagrali teledysk, publiczność stała się aktorami, a główną rolę z przypadku zagrał lokalny dziennikarz. Tak powstał pierwszy utwór Joryja Kłoca po polsku:

Oj, siadaj, siadaj, kochanie moje
– już tu nie pomoże płakanie twoje.
Już płakanie nie pomoże, bo już konie
stoją w wozie –
Siadaj, kochanie! Siadaj, kochanie!

W październiku ukaże się płyta Joryja Kłoca i Orkiestry Świętego Mikołaja, jednego z najstarszych polskich zespołów folkowych. Polacy śpiewają pieśni ukraińskie, Ukraińcy – polskie. Joryje śpiewają też czasem po litewsku i tatarsku, ale zdecydowana większość repertuaru to ukraińskie pieśni z różnych regionów, od Donbasu po Wołyń i Karpaty. Anton tłumaczy mi, że spisanych pieśni ludowych w jego kraju jest ponad 300 tysięcy, a zbiór oczywiście nie jest kompletny:

– Mamy materiału do końca życia.

Pytam Antona o różnice między folkiem polskim a ukraińskim.

– Mam wrażenie, że w Polsce przetrwało mniej naprawdę dawnych, starosłowiańskich melodii. Jest dużo pieśni majowych albo żołnierskich, ale nie ma w niej takich kolęd jak u nas.

„Kolęda", słowo, które dzisiaj kojarzymy wyłącznie z Bożym Narodzeniem, ma rodowód dużo starszy niż chrześcijaństwo w Polsce czy Ukrainie. Kolęda, czyli *ko ladu*, ku ładowi. Z jednej strony ład, czyli harmonia, porządek, z drugiej: Łada lub Łado – słowiańskie bóstwa miłości. Upraszczając: kolęda to pieśni radosne, świąteczne, dziękczynne. Anton tłumaczy: – Najstarsze ukraińskie kolędy to pieśni, które opowiadały historię stworzenia świata. Ale były też kolędy dziadowskie albo kniaziowskie, o wyczynach i bitwach wielkich panów. I kolędy z życzeniami – pieśni dla gospodarza, któremu kolędnicy życzą szczęścia, zdrówka. Wiele z tych melodii potem przejmowała Cerkiew.

Ukraińska muzyka ma też swój charakterystyczny instrument – lirę korbową. Zamiast smyczka struny wzbudza koło napędzane korbą. Palce lewej ręki nie naciskają gryfu, tylko klawisze. Lira ma co najmniej trzy struny, górnej granicy właściwie nie ma, bo czasem montuje się struny nawet na zewnątrz pudła rezonansowego. Są poruszane przez drgania liry i wydostające się z niej powietrze.

Pierwowzorem liry było używane we wczesnym średniowieczu organistrum, obsługiwane przez dwóch muzyków – jeden kręcił korbą, drugi grał linię melodyczną. Wersji dla jednej osoby używa się od XIII wieku. I choć lira wygląda na bardzo misterną, skomplikowaną i drogą konstrukcję, w wielu regionach stała się podstawą muzyki ludowej. W Niemczech nazywano ją *Bettlerleier*, czyli lira żebracza, we Włoszech *viola da orbo* – lira ślepców.

Popularność instrumentu tłumaczy mi Wojciech Miller, lirnik z polskiego zespołu Żmij: – Poza strunami melodycznymi lira ma burdon: strunę, która daje niski dźwięk o stałej wysokości, tworzący tło muzyczne, oraz tak zwanego pieska: strunę opartą na specjalnym mostku, która przy szybszym obrocie korbą daje charakterystyczne brzęczenie, to jakby wbudowana sekcja rytmiczna. Jeden człowiek z lirą może brzmieć jak cały zespół.

Nic dziwnego, że to właśnie lira korbowa jest znakiem rozpoznawczym ↦

↦ Joryja Kłoca. Nawet nazwa zespołu pochodzi z języka lirników – argo – w którym *joryj* oznacza m.in. szalonego, zaciekłego, a *kłoc* to kawałek, kęs lub człowiek, starzec czy mędrzec.

Na front

Pamiętam koniec tegorocznego koncertu Joryjów. Ukraińskie i polskie flagi, podziękowania za pomoc z jednej strony, podziękowania za walkę z drugiej, zespół *a cappella* śpiewa „Oj u luzi czerwona kalina". Od 24 lutego wszystko, o czym rozmawiamy, zyskało zupełnie nowe znaczenie. Kultura jest kolejnym frontem toczącej się od pół roku kolejnej rosyjskiej inwazji. Na froncie wielu chłopaków słucha Joryja Kłoca, zespół dostaje wiadomości. Nic dziwnego, folkowe, na wskroś ukraińskie szaleństwo na pewno podnosi morale. Wojna zmieniła też życie zespołu. Większość zespołu została wolontariuszami, a Anton przyznaje: – Delikatnie mówiąc, straciłem trochę pasji do muzyki i rzeźby. Ale mam nowe zainteresowanie. Chcesz zobaczyć?

Znów wyciąga smartfon. Zamiast huculskich świeczników piaszczysta droga przez las. W obiektyw patrzy ośmiu mężczyzn w mundurach, z karabinami. Anton stoi pierwszy z prawej. Do armii zgłosił się na ochotnika, właśnie kończy szkolenie. Na koncerty w Polsce przyjechał na przepustce, organizatorzy pisali do dowództwa jednostki: – Dziwnie grać muzykę w takim czasie, ale to też ma znaczenie. Nie da się cały czas walczyć. Musisz czasem od tego odpocząć. Nie może być tak, że trzy miesiące jedni walczą, a inni siedzą na poligonie.

Teraz jego kolej. W sierpniu, po trasie koncertowej w Polsce, Anton jedzie na front. O wojnie mówi po żołniersku, krótkimi zdaniami.

– Już jestem do tego gotowy. Różnie może być. Postrzelą cię, dostaniesz rakietą, cholera wie. Oswajasz się.

– A co, jak będziesz musiał zabić?

– To oni przyszli do nas. Nasze zadanie wyrzucić.

Dodaje tylko jedno: – Nigdy w życiu nie zagram koncertu w Rosji.

©℗ KRZYSZTOF STORY

MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Nic"

Dmuchany kowboj

ANITA PIOTROWSKA

Kino zaczęło się od czarnego mężczyzny na koniu – można by podsumować film „Nie!". I uznać go za współczesny manifest kulturowego rewizjonizmu.

Cykl XIX-wiecznych fotografii Eadwearda Muybridge'a, przedstawiający galop w kolejnych fazach ruchu, należy do oficjalnej prehistorii kina, ale dla afroamerykańskiego reżysera Jordana Peele'a znaczenie ma też kolor skóry jeźdźca. Przed nami już trzeci jego tytuł, po „Uciekaj!" (2017) i „To my" (2019), w którym horror jako gatunek stał się matrycą wypełnioną komentarzem społecznym, wyrosłym ze zbiorowych lęków i wymierzonym w rasowe stereotypy. Przy okazji Peele w błyskotliwy sposób rozruszał gatunkowe schematy i natychmiast obwołany został mistrzem nowego kina grozy.

Tym razem podąża w owym kierunku jeszcze dalej i śmielej, nie rezygnując ze swojej misji. Aczkolwiek film o dzisiejszych postkowbojach, urodzonych w cieniu Hollywoodu i nawiedzanych przez UFO, to kinofilska zabawa służąca nie tyle samej sobie i nie tylko przepisywaniu historii kina, co demaskowaniu jego mocno podejrzanej filozofii. Zabawa to chwilami prostacka, chwilami bardzo wyrafinowana, kręcona z wyraźnym ociąganiem się, jakby tworzyła widowisko i jednocześnie demaskowała ustanowione w nim zasady. A świecące w ciemnościach białka oczu stanowią rodzaj medium, przez które Peele patrzy z ukosa na całą kulturę obrazkową i równocześnie na nasz stosunek do natury.

W dobrze znanej, skalisto-westernowej scenerii Agua Dulce umieścił figury charakterystyczne dla krytyki „społeczeństwa spektaklu", związane bezpośrednio lub pośrednio z jego tworzeniem. Jupe (w tej roli Steven Yeun, aktor koreańskiego pochodzenia, znany m.in. z „Minari") był kiedyś dziecięcą gwiazdą telewizji i po masakrze na planie, dokonanej przez rozwścieczonego szympansa, stworzył na kalifornijskiej pustyni park rozrywki, w którym wyprzedaje także swoje traumatyczne wspomnienia. Czarnoskóre rodzeństwo OJ (Daniel Kaluuya) i Emerald (Keke Palmer) odziedziczyło po ojcu ranczo, gdzie tresuje się konie do hollywoodzkich filmów, lecz podupadły biznes każe im wypatrywać niezidentyfikowanych obiektów latających – może dzięki temu udałoby się im zaistnieć w show Oprah Winfrey? O pobliskiej fabryce snów marzy Angel (Brandon Perea), zatrudniony w markecie tleniony Latynos i specjalista od ka-

mer przemysłowych, a wkrótce też dołącza do nich biały posłaniec z samego Hollywoodu, czyli uzbrojony w archaiczną kamerę na korbkę Holst (Michael Wincott) – postać butna i jakże dla tej historii symboliczna. Wszyscy chcieliby zarobić na UFO, ale ono nieskore jest do ujawniania się przed obiektywem w całej krasie. I właśnie na wyczekiwaniu, czy raczej intensywnym wypatrywaniu, zbudowana została groza filmu, jego dwuznaczna uroda (patrz: zdjęcia Hoytego van Hoytemy, raz słoneczne i epickie, raz ciemne do granic widzialności) i zarazem ironia. W końcu niesfilmowane nie istnieje, a konsumowanie obrazów i coraz bardziej ekstremalny patostreaming to znaki naszych czasów.

Peele bawi się więc tym, co widać i czego nie widać, przywołuje cytaty z klasyków kina grozy i fantastyki (lista inspiracji byłaby bardzo długa), gra też inteligentnie kliszami rasowymi, choć w tej materii przydałoby się więcej zaskoczeń. Inne jednak tematy wysuwają się w „Nie!" na pierwszy plan. W pewnym momencie ukryte w latającym spodku kosmiczne monstrum okazuje się nadzwyczajnej urody meduzą. Takich nawiązań do mitu Gorgony znajdziemy całkiem sporo, jest to w końcu film o kinie jako zwierciadle przystawianym grozie tego świata, o ciągłej potrzebie mierzenia się z nią w formie zapośredniczonej przez ekrany i o masowym skomercjalizowaniu tejże grozy. W tytułowym okrzyku można zatem usłyszeć zwyczajny przestrach, organicznie związany z kinem – już pierwsze ruchome obrazy, nakręcone przez braci Lumière, wywoływały u widzów takie emocje. Gdyby jednak miał tu pobrzmiewać jakiś protest, z pewnością byłby wymierzony w ludzką (czy tylko „białą"?) arogancję.

Albowiem żarłoczny obcy zdaje się przynależeć zarówno do innej cywilizacji, jak i do porządku natury. Okoliczności przyrody i kowbojski sztafaż „Nie!" mają w domyśle podbój Dzikiego Zachodu, niszczenie jego rdzennej ludności i dzikiego krajobrazu tudzież całą związaną z tym mitologię, kreowaną głównie na ekranie. Historia czarnej rodziny Haywoodów, do której należą OJ i Emerald, stanowi nieoczywisty przypis do historii Hollywoodu, a hodowane przez nich konie, wykorzystywane od pokoleń przy produkcji filmów, odgrywają w fabule niebagatelną rolę. Z kolei przypadek małpy o imieniu Gordy (gra ją przebrany aktor) przynosi oskarżenie wymierzone w cały przemysł rozrywkowy, eksploatujący naszych mniejszych i większych braci. U Peele'a hybryda horroru i *science fiction* wskazuje również na podobną genezę obu tych gatunków; wszak pierwszy narodził się z odwiecznego lęku przed naturą, drugi wyrastał w dużej mierze ze strachu przed pozaziemskimi obcymi. Twórca „To my" znalazł dla tych obcości wspólny mianownik, tyle że w jego filmach bohaterami, którzy się boją, są przede wszystkim czarni, co ma korzenie w ich pamięci głębokiej, sięgającej czasów niewolnictwa czy segregacji. Dlatego kino Peele'a bezczelnym gestem nadaje im sprawczość. Pozwala uratować siebie i świat z opresji bez oglądania się na białego zbawcę, w nowej zaś odsłonie – zaistnieć wreszcie jako upodmiotowieni filmowcy.

Dla wielbicieli czystej grozy taka zgęstka intelektualnych, aktywistycznych i stylizatorskich zapędów może sprawić, że ponaddwugodzinne „Nie!" okaże się dziełem trochę przyciężkim. Film odreagowujący pandemiczne ograniczenia zachwyca oddechem przestrzeni, ale i przytłacza celebracją dusznej, chwilami zastygłej atmosfery. Za to dla kinomanów doceniających erudycję nowojorskiego reżysera może być wyborną przygodą. Dołóżmy do tego biblijno-apokaliptyczną wykładnię filmu, wyrosłą z myśli starotestamentowego proroka Nahuma i zarazem serialu anime „Neon Genesis Evangelion" plus sporą dozę poczucia humoru (Peele przez lata był telewizyjnym komikiem), a dostaniemy istny palimpsest, opakowany w niby znajome gatunkowe szaty. Jako się rzekło: autor ma z tego wiele frajdy, bo szczerze kocha kino, zwłaszcza to dawne, analogowe i światłoczułe, stąd obecność w fabule tego rodzaju machin. Lecz jednocześnie dostrzega w nim funkcjonowanie aparatu ideologicznego i sam również nie waha się go użyć, w imię przemyślenia tego świata na nowo. Dlatego jednym z ostatnich obrazów wyniesionych z jego filmu będzie gigantyczny dmuchany kowboj ulatujący nad parkiem rozrywki. Chce się wierzyć, że na dobre odszedł do lamusa. ©

NIE! *(„Nope") – reż. Jordan Peele. Prod. USA 2022. Dystryb. UIP. W kinach.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Red Rocket

Komediodramat, reż. Sean Baker, USA 2021, VoD

Twórca „Mandarynki" i „Projektu Floryda" w coraz lepszej formie. Historia byłego gwiazdora porno (świetny Simon Rex), który wraca po latach do rodzinnego miasteczka w Teksasie, to okazja, by sportretować całą kulturę opartą na pieniądzu, oszustwie czy stereotypach płciowych. I jednocześnie bez żadnych uproszczeń pokazać stojące za tym społeczno-psychologiczne uwikłania.

2. Amerykański sen George'a Carlina

Dokumentalny, reż. Judd Apatow, Michael Bonfiglio, USA 2022, HBO Max

Był kimś więcej niż obscenicznym kabareciarzem. Zaliczając wzloty i upadki, tak na estradzie, jak i w życiu prywatnym, stał się sumieniem Ameryki, punktował jej ciemne strony, testował granice dobrego smaku i demokracji. Dwuczęściowy dokument przedstawia Carlina na tle przemian zachodzących w USA od czasów kontestacji do współczesności.

3. Cud

Dramat, reż. Bogdan George Apetri, Rumunia 2021, HBO Max, CANAL+, Polsat Box Go

Kryminalna zagadka czy metafizyczna tajemnica? Na granicy obu tych światów rozgrywa się nieśpieszna opowieść o nowicjuszce, która pewnego dnia opuszcza monastyr, żeby załatwić ważne sprawy. Kiedy pada ofiarą przestępstwa, zdeterminowany śledczy próbuje zdobyć dowody, ale im mocniej się angażuje, tym bardziej wszystko wymyka mu się spod kontroli.

4. Berlin: Symfonia wielkiego miasta

Eksperymentalny, reż. Walter Ruttmann, Niemcy 1927, Flix Classic

Podgatunek zwany symfonią miejską stworzyła międzywojenna awangarda filmowa. Łącząc dokumentalny zapis ze środkami kreacyjnymi, niemiecki artysta uchwycił gorączkowy rytm berlińskiej metropolii. Dzień z życia miasta to także popis ówczesnych osiągnięć w dziedzinie sztuki operatorskiej, montażu czy muzyki filmowej, w tym przypadku autorstwa Edmunda Meisela.

JAN

Klata:
Inwazja kuratorów

Dzielić się sobą, bezwarunkowo, dzielić się sobą z innymi – oto życie idealne. Idealne, choć pełne wyrzeczeń, dokonywania wyborów, niejednokrotnie trudnych. Jakiego użyć filtra? Jak wykadrować resztę turystów? Jaką zrobić minę? Żmuda, żmuda przed uwiecznieniem, żmuda po uwiecznieniu. Obróbka, obróbka jest najważniejsza, reszta to przypisy niewarte wzmianki, przepraszam, posta.

Są ludzie, którzy nie rozumieją ducha czasów, na przykład artyści, co to nie lubią na koncertach morza telefonów komórkowych przed sobą. Są tacy ludzie, ale pamiętajmy, że oni są uprzywilejowani, podczas gdy miliardy życiowych prekariuszy muszą się same fotografować, nagrywać i utrwalać, bo nikt inny za nich tego nie zrobi. Jak nie ja, to kto? Samowyzwalacz narzędziem emancypacji. Zamiast wydrapać koślawy napis: „Tu byłem", można, a nawet trzeba, po prostu zrobić zdjęcie, bez zdjęcia nic się nie liczy, bo jest niebyłe. Życiowi prekariusze sami widzą najlepiej, jak i gdzie się przyszłej potomności zaprezentować, a nawet opiewać.

Bądź kuratorem swego życia, przecież masz telefon komórkowy, a w nim aparat i masę filtrów! Bądź kuratorem swego życia, przestań być szarym człowiekiem, bądź człowiekiem pastelowym. Skomponuj się w kadrze przeżyć i nie zachowuj tego dla siebie, dziel się, dziel ze światem, dziel się sobą, a świat się zachwyci i wszystkim będzie miło – a o to przecież na najlepszym ze światów chodzi. Nie przejdź niezauważony, udowodnij głębię swego jestestwa na Insta. Zagraj główną rolę w „Teatrze Autentyczności".

Taki właśnie tytuł nosi seria fotografii Natachy de Mahieu. Artystka wybrała najczęściej geotagowane na Instagramie piękne miejsca w Europie, ale takie trudno dostępne, nieopatrzone, oryginalne, zapierające dech w piersiach, naprawdę naturalne: kaniony, jeziora, pustynie. Następnie udała się tam w lecie z aparatem fotograficznym i trójnogiem, ustawiła kadr i w ciągu około godziny wykonywała kilkadziesiąt-sto fotografii, które następnie nałożyła na siebie. Efekt: kolekcja zdjęć tłumów ludzi robiących sobie zdjęcia. Pamiątka na całe życie. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FOT. JACEK TARAN

Zapraszamy na pokazy filmu „UKOS ŚWIATŁA"

(reż. Wojciech Szumowski, prod. Fundacja Tygodnika Powszechnego)
podczas uroczystości upamiętnienia ofiar Zagłady z Podhala i Nowego Sącza.

- **NOWY SĄCZ** – niedziela, 28 sierpnia 2022 r.,
pokaz filmu „UKOS ŚWIATŁA" | Małopolskie Centrum Kultury SOKÓŁ | godz. 11.00,
uroczyste otwarcie Skweru Ofiar Zagłady | ul. J. Tymowskiego | godz. 16.00

- **CZARNY DUNAJEC** – poniedziałek, 29 sierpnia 2022 r.,
modlitwa na cmentarzu żydowskim | godz. 17.00,
pokaz filmu „UKOS ŚWIATŁA" i spotkanie z reżyserem | CKiP | godz. 18.00,
recital Ryfki Foremniak | synagoga | godz. 20.00

- **NOWY TARG** – wtorek, 30 sierpnia 2022 r.,
odczytanie 2,5 tys. imion Ofiar Zagłady | stadion miejski | godz. 14.00,
przemarsz na stację kolejową w Nowym Targu | godz. 15.00,
modlitwa na cmentarzu żydowskim | godz. 15.45,
pokaz filmu „UKOS ŚWIATŁA" | Miejskie Centrum Kultury | godz. 20.00

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
CENTRUM FOUNDATION RODZINY POPIELA
SĄDECKI SZTETL
SOKÓŁ Małopolskie Centrum Kultury INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO
CKiP Centrum Kultury i Promocji Gminy Czarny Dunajec
NOWY TARG

PAWEŁ

Bravo: *Pracuj i baluj*

Trzydzieści sześć lat – całkiem dorosły wiek, pod niemal każdym praktycznie istotnym względem. Trudno znaleźć sferę egzystencji, w której tyle czasu nie starczy, by móc nagromadzić dość doświadczeń i stawiać własne stopy mocno na ziemi. Jedynie zajmowanie się wnukami pozostaje wtedy wciąż śpiewem przyszłości.

Wyjątki dotyczą np. – i niestety – władzy politycznej. A jeśli do tego politykę uprawia kobieta, to już w ogóle trzeba się podwójnie tłumaczyć ze wszystkiego, niczym upaćkany deserem przedszkolak. W potocznej, niesprawiedliwej percepcji zegar kobiecy biegnie szybciej, z jednym jednak wyjątkiem – poważnego traktowania. Tu jakby lata biegną znacznie wolniej niż mężczyznom.

„Bawiłam się tak, jak większość ludzi w moim wieku" – tłumaczyła się w zeszłym tygodniu premierka Finlandii po tym, gdy jakaś świnia wypuściła do sieci nagranie prywatnej imprezy z jej jakże aktywnym udziałem. Widać na nim dokładnie to, co powiedziała Sanna Marin. Grupka ludzi w strojach nieformalnych, acz niewyuzdanych fika ekspresyjnie w takt muzyki, pokrzykuje i robi głupie miny do obiektywu. Jest wesoło, głośno, nie bardzo hulaszczo, ale widać po mowie ciała i ekspresji twarzy, że goście w szklankach nie mają bynajmniej lemoniady. Podobno ktoś w tle mówi coś o kokainie – Marin zaprzeczyła, by krążyło tam cokolwiek poza alkoholem, ale uległa po jakimś czasie naciskom i poszła zrobić sobie test.

Z uwagi na ewentualną szkodę dla interesu publicznego – a tylko ona może uzasadniać podglądanie zabawy polityków i rozliczanie ich z niej – ważniejszy byłby prostszy test: czy ktokolwiek z grona roztańczonych czerpie korzyść dla kariery i portfela z faktu balowania z premierką? Czy któraś z koleżanek została podsekretarzem stanu? Albo jej firma wygrała w dziwny sposób przetarg na budowę płotu na granicy z Rosją? Albo chociaż kontrakcik na kampanię społeczną promującą najsensowniej i najbardziej egalitarnie urządzony kraj w Europie? Obawiam się tylko, że ta dodatkowa porcja rozumu i mocna dawka kapitału społecznego to jest część okrutnego dla mnie dealu Finów z opatrznością, rekompensata za to, że przez parę miesięcy w roku nie dane jest im widzieć słońca.

Kiedy uchachana kobieta pląsa z drinkiem, skłania to do niewczesnych rozważań, czy to się godzi z jej stanowiskiem. Za to szarzy faceci, starsi od Sanny Marin minimum o połowę, wbici jak kołki w garnitury, z krawatem dyndającym u gardła niczym falliczny biedatotem, są w powszechnym odbiorze raczej przezroczyści i bezproblemowi, gdy siedzą za stołem u Sowy czy innej Gżegżółki albo udają stado pingwinów, stercząc w bezpiecznej sali z sutym kateringiem podczas bankietu sponsorskiego. Z tej zapewne przyczyny, że uczestnicy takich wydarzeń mało przypominają ludzi o temperaturze trzydzieści sześć i sześć, nie dostrzegamy, że to właśnie im co wieczór należałoby wykonywać test – przyzwoitości.

LARISA KOSHKINA / PIXABAY

Nawet jeśli wyszli do szatni prostym krokiem. Punkt pierwszy testu: pokaż wyciąg z karty, czy chociaż za alkohol zapłaciłeś ze swoich.

Ale czy daleko posunięta beztroska przystoi ludziom władzy w czasach niebezpiecznych, gdy za płotem Rosja, a kraj zrzuca osłonę neutralności? Argument ten, owszem, wolny od seksizmu czy zawiści wobec młodszych, tylko z wierzchu jest słuszny. Prowadzi nas bowiem prostą drogą do wniosku przeciwnego – im więcej strachu, stresu, złych prognoz, tym mocniej trzeba odreagować. Wypuścić parę spod pokrywki. Dać odpocząć napiętym nerwom. Podstawowym schematem funkcjonowania człowieka Zachodu nadal jest napięcie między skrajnościami, zderzenie wektorów, huśtawka sprzeczności w rozmaitych wydaniach. Bywa to męczące i często kusi nas dążenie do jedni, harmonii, zespolenia przeciwieństw, wzorem zacnych i godnych studiowania wielkich tradycji wschodnich. W pojedynczych przypadkach bywa to wykonalne – choć za cenę mentalnej wyprowadzki z codzienności – w wymiarze zbiorowym z ustroju dualistycznego nie ma ucieczki. *Work hard, party hard* – jak o dwóch biegunach pracy i zabawy mawiają Anglicy. Praca jest w tej wyliczance pierwsza, a jakżeby inaczej. Ja bym odwrócił kolejność: czy jeśli porządnie się nie zabawisz, wytrzymasz potem jako premier (premierka) kolejny – cóż z tego, że coraz krótszy – dzień? ©℗

Raz skosztowałem słonej lukrecji z chlorkiem amonu (salmiakki) i nie umiem już pozbyć się tego smakowego skojarzenia z Finlandią, zostawiam sobie zatem uzupełnienie wiedzy o jej dalszych atrakcjach na przyszłość. Tymczasem korzystajmy z lata na sposób południowy. Jeśli nie zapakowaliście całego przecieru pomidorowego w słoiki, wykorzystamy go do zrobienia melanzane 'mbuttunate, czyli sycylijskich bakłażanów zapiętych na guzik. Zabijcie mnie, nie wiem skąd nazwa, ale danie pyszne. Bierzemy dość szczupłe, podłużne bakłażany. Obcinamy ogonek, od miejsca odcięcia wykonujemy 5-6 wzdłużnych, dość głębokich nacięć, ale nie do samego końca. W rozcięcia wcieramy sól, ściskamy, przekładamy na sito na co najmniej godzinę, aż wydzieli się płyn. Płuczemy obficie, suszymy ręcznikiem papierowym. W nacięcia wsuwamy po plasterku czosnku i cienkim plasterku sera provolone – albo zamiennie wciskamy farsz złożony w równych proporcjach z bułki tartej, pecorino i np. podsuszonego oscypka. Tak przygotowane bakłażany obsmażamy z każdej strony w oleju roślinnym na średnim ogniu ok. 5 minut, odsączamy z oleju, przekładamy do dużej patelni z przecierem pomidorowym, uprzednio podgrzanym razem z ząbkiem czosnku. Dusimy pół godziny, co jakiś czas obracając. Jeśli sos zacznie za szybko gęstnieć, rozprowadzamy wodą.

WAKACJE

CERTYFIKAT OD BORSUKA

MARCIN KRZYŻAŃSKI, PRZYRODNIK:

Wożę stare drzewo do lasu i poszerzam bagna na polu. Odziczam, więc mam opinię nieszkodliwego wariata. I jest to bardzo dobre, bo nie muszę niczego tłumaczyć.

ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Czyj jest ten ogród?

MARCIN KRZYŻAŃSKI: Teoretycznie mój. Czyli: ziemia należy do mnie i do żony.

A praktycznie?

To ogród zwierząt. Robię wszystko, by służył nie mnie, tylko im. Jest żywy, bo taki dziki.

Dziki równa się zapuszczony?

Ogród martwy to ten z przystrzyżonym trawnikiem i zasadzonym wkoło szpalerem tui. Ludzie dążą do wprowadzania jakiegoś ładu, do porządkowania, do wygładzania. W takim ogrodzie nic się nie dzieje, wieje nudą. Natura tego nie lubi.

Co lubi?

Różnorodność. Im większa zmienność i szorstkość – tym lepiej. Wtedy tworzy się mnóstwo mikrosiedlisk. No, ale wtedy trąci człowiekowi bałaganem.

A Twoi najmniejsi współlokatorzy?

Pewnie dzikie pszczoły. Mieszkam w domu ze starego drewna, w którym są dziury po kołatkach czy spuszczelach, żywiących się drewnem. Dzikie pszczoły mieszkają w takich miejscach. Widzisz to maleństwo na belce? Pszczoła samotnica, czyści sobie właśnie korytarz.

Dlaczego nie żyje w roju?

Nie zbiera miodu, ma inną strategię. Spójrz teraz: do dziurki składa jajo, potem zabezpiecza wejście zalepiając gliną. Z jaja rozwinie się larwa, przepoczwarzy się w dorosłego owada, ze środka wyleci pszczoła, która cały ten proces powtarza, nie musi się za miodem nagonić. Jest ich tu mnóstwo, dużo gatunków. Muszą coś jeść, więc staram się, by wkoło rosło najwięcej roślin, które kwitną od wczesnej wiosny do jesieni.

Jakieś szczególne okazy ptaków?

Hitem tego roku jest pleszka. Zagnieździła się w spichlerzu. Czekałem na nią 10 lat, czyli odkąd tu mieszkam. Lubi duże dziuple, dlatego wewnątrz powiesiłem pudła ze starych głośników, taki recykling. Żeby miała komfort, czuła się bezpiecznie.

Dlaczego tak długo czeka się na pleszkę?

Jest związana z dość specyficznym siedliskiem, musi mieć stare lasy, stare parki, stare drzewa. Zanim tutaj ściągnęła, trochę jej musiało zejść.

Trafił mi się jeszcze większy rarytas – muchołówka białoszyja – ptak kochający martwe pnie. Z tych dwóch gatunków jestem szczególnie zadowolony, bo to poważni zawodnicy, niepospolici.

Te jałowce też są dla ptaków?

Chciałem ściągnąć tu raniuszki. To ptaszek, który wygląda jak biały pompon z niesamowicie długim ogonem. Buduje gniazdo z puchu, kawałków mchu, porostów – chowa je w jałowcu.

Trawa pod jabłonką jest wyleżana.

Sarny. W tym miejscu odpoczywają. Kiedy się sypią papierówki, to przy okazji mają podwieczorek.

Widujesz te sarny?

Pierwszy kontakt jest ze światem: otwieram okno sypialni, patrzę na ogród, a tam koziołek sobie leży... Dzień dobry, dzień dobry, żadnego popłochu, on już wie, że ja się tam kręcę, ja wiem, że on tu bywa. Sarny, oprócz jabłek, uwielbiają też zżerać młode pędy na różach.

↦

MARCIN KRZYŻAŃSKI (ur. 1969) zrealizował ponad 200 filmów i programów telewizyjnych o polskiej przyrodzie. Kiedyś mieszkał w Krakowie, teraz w Bęczynie. Studiował Inżynierię Środowiska na Politechnice Krakowskiej i polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, potem zajmował się produkcją filmową.

↦ Róża jest idealna dla pokrzewek budujących gniazda wewnątrz gęstych krzewów.

Wewnątrz, bo tam bezpiecznie?

Drapieżnikowi ciężko jest wejść w taką kolczastą różę. Zobacz, tu puste gniazdo. Taki domek powstaje przez dwa tygodnie. I tylko raz pokrzewki z niego korzystają, bo jego budowa jest elementem zachowania godowego samca z samiczką, wiosenny rytuał. W tym gnieździe jest mnóstwo pasożytów – wszy, pchły – nie opłaca więc gnieździć się w nim dłużej. Pasożyty gnębiłyby pisklęta. Lepiej zbudować nowe.

Dlatego przycinasz krzewy?

Przycinane puszczają więcej gałązek i tworzą gąszcz, w którym można ukryć gniazdo. Głogi, berberysy, tawuły, krzewy czarnego bzu i co tam jeszcze świetnie się do tego nadają.

Komu służy ta usychająca grusza?

To starsza pani, zaczęła rosnąć na początku lat 40. Nie ścinam jej, dlatego że w jej pniu żyje dużo owadów – pokarm dla ptaków. Widzisz te zagłębienia? To ślady po dziobie dzięcioła, wyjadającego larwy. W Europie doliczono się dziesięciu gatunków dzięciołów, a u mnie można zobaczyć osiem. Duży, średni, mały oraz syryjski, czyli białoszyi przylatujący do sadu na wiśnie w lipcu i sierpniu. I jeszcze krętogłów, który jest „dzięciołem z awansu". Z wyglądu nie przypomina innych dzięciołów, mimo to jest zaliczany do tej grupy.

A trzy pozostałe dzięcioły?

Zielony, zielono-siwy i czarny – największy z europejskich dzięciołów. Dzięcioły lubią stare gałęzie, bo drewno jest miękkie, więc dobrze kuje się dziuple. A w lasach jest mało starych drzew – leśnicy boją się, że owady będą się tam mnożyć, a potem zaatakują ich sadzone w równych rządkach drzewa.

Maliny, które teraz podjadasz, podjadają też ptaki i myszy leśne. To ogród dla wszystkich. A w tym miejscu wiosną znalazłem jeża, który dosypiał po zimie. Jeż lubi dużo liści, w które można się zagrzebać.

Jeże widywałam w Krakowie nad Wisłą. Teraz ich nie ma.

Właśnie z powodu braku tej odrobiny bałaganu. Dawniej nikomu do głowy nawet nie przychodziło, żeby pod rozrośniętymi krzewami grabić liście. Leżały tam, aż do naturalnego rozkładu. Jeże mogły się tam chronić, ale także żerować, poszukując dżdżownic czy innych smakowitości. Dziś grabienie liści urosło do rozmiaru szaleństwa. Krzewy redukuje się do pojedynczych witek, by przypadkiem coś się pod nimi nie zaplątało. Do tego dochodzi śmiertelność na drogach. Pośród zwierząt jeże to chyba najczęstsze ofiary.

Do małych zwierzątek mogę dodać łasiczkę mieszkającą w stodole, która wchodzi do mojego domu przez mysie dziury i biega w ścianach.

Matko jedyna!

Zupełnie mi to nie przeszkadza. Nawet jestem zobowiązany, bo po domu kręci się mniej myszy.

A kuny?

Chodzą po strychu, ale nie wewnątrz domu, po którym kręcą się trzy psy. Kuny za nimi nie przepadają, ale widuję je wieczorami. Są też lisy, zające... Większość dzikich zwierząt jest nocna. Owszem, kupiłem fotopułapki, które pozwalają je wtedy podglądać. Tyle że ja wolę przypadkowe spotkania oko w oko.

Ale rodzinę borsuków mogłeś zobaczyć tylko dzięki fotopułapce.

To cała wielopokoleniowa rodzina żyjąca pod stodołą: ojciec, matka, ciotka, wujek, stryjek... Powiększają cały czas korytarze, rozbudowują system nor. Trochę kłopotu teraz narobiły, bo wewnątrz stodoły, tam, gdzie było klepisko, wywaliły grubo ponad metr sześcienny ziemi. Fotopułapką nagrałem, jak małe borsuki bawią się przy norach, przepychają się, podskakują, dokazują w nocy przy wejściu. A stare borsuki w tym czasie żerują.

Kiedy się wprowadziły?

W 2019 r. Najpierw mieszkały tam lisy. Więc śmierdziało, syf... lisy to bałaganiarze. Przynoszą pół kury czy pół kota i niech padlina sobie leży. Zdarzało się, że to pół kury brała potem w pysk kuna i wnosiła na jakiś krzew, wysoko, żeby zabezpieczyć. Idę, patrzę... co to tam wisi? Kłąb piór z wystającą nogą? Na drzewie?!

I nagle lisy zniknęły. Ktoś bardzo dokładnie wyczyścił ich nory, wywalił wszystkie stare wyściółki. Widać było i czuć, że ciągnie nowe. Wszystko wskazywało na borsuka. Ale dopiero

dwa lata później wziąłem fotopułapki i zarejestrowałem całe to towarzystwo. Bo na żywo borsuków nigdy nie widziałem. Borsuki czekają na ciszę, spokój i ciemność. Są prześladowane – w Polsce nadal można na nie polować – więc jak tylko mogą, unikają człowieka i psów. Dają mi certyfikat, że tutaj jest fajnie. Skoro borsuk zadomowił się tak blisko domu, znaczy, że się dogadujemy.

Najmądrzejsi lokatorzy?

Kruki. Naukowcy badający kruki wyróżnili w ich języku 72 dźwięki, którym można przypisać konkretne znaczenia. Tworzą system społeczny, zupełnie jak ludzie. Są osobniki stojące wyżej w hierarchii – pierwsze jedzą, nocują w lepszych miejscach. W ich systemie można awansować, choćby przez dobre zamążpójście, wtedy samica łącząca się z krukiem stojącym wyżej w hierarchii sama awansuje i może już sypiać w lepszych miejscach oraz jadać wcześniej.

Kruki całymi rodzinami przelatują nad podwórkiem. Przesiadują na tarasie.

Jeszcze jakieś zwierzątka się tu kręcą?

Dzik, wielkie zwierzę. Mam tu mały paśniczek, zimą wkładam troszkę jabłek, kukurydzy, pszeniczki, suchy chleb. Dlatego troszkę, by nie ściągnąć tu chmary zwierząt. Nie jest też dobrze przyzwyczajać zwierzęta do żerowania w jednym miejscu, bo to ułatwia przenoszenie chorób. Kiedyś przychodził wielki odyniec. Przez parę dni niczego nie wykładałem, ale troszkę kukurydzy pospadało, więc zawziął się i wywalił cały paśnik, by wyjeść ostatnie ziarenka. Pozbierał wszystko, ale paśnik był do remontu.

A te stawy po drugiej stronie drogi?

Tam żyją traszki, trzy gatunki na cztery występujące u nas. Są pośród nich traszki grzebieniaste. Wyglądają jak miniatury pomnika spod Smoczej Jamy. Są ropuchy i żaby. W nocy lubią koncertować. Jak zaczynają, to wszystkie naraz. Porechoczą, porechoczą i potem nagle, jakby ktoś nożem uciął, cisza zupełna.

Płazów ubyło niestety bardzo. Kiedy się tu sprowadziłem, to jeszcze bardzo dużo było najpospolitszych naszych żab – żaby trawnej. Były rzekotki, były kumaki... A w tej chwili jest ich o 30-40 procent mniej. Rzekotek nie słyszałem od ośmiu lat.

Motyli też jest o jakieś 70 procent mniej. Zostało parę gatunków pospolitych, jak bielinek. Ale dawniej było całkiem sporo admirałów, pokrzywników, rusałek pawików, pazi królowej... Naprawdę, żyjemy w okresie szóstego wielkiego wymierania gatunków.

Do tego stawu trudno podejść, szuwary.

Bo to nie jest stawek kąpielowy, tylko zrobiony na dziko, jak ogród. Żyją tam nie tylko płazy. Kaczki przyniosły na piórach jakąś ikrę, więc pojawiły się ryby. A jak ryby, to i wydra zaczęła przychodzić – widziałem ją tam parę razy. Są też ptaki charakterystyczne dla tej okolicy, ślepowrony. To gatunek czapli, tylko mniejszy, kolorowy i aktywny nocą. Przylatuje maleńki, świecący jak niebieski klejnot, zimorodek. Łapie rybki. Specjalnie dla niego zrobiłem miejsce do polowania z suchej gałęzi wbitej nad taflą wody. Widziałem bociana czarnego, który jest jednak niezwykle skryty i gnieździ się w starych lasach otaczających jeziora, rzeki i mokradła. Oprócz tego, stawki trzymają wodę, założone są w pobliżu przydrożnych rowów. Szczerze mówiąc, zasypałem te rowy, nie pytając nikogo o zdanie. W czasie ulewy woda nie spływa gwałtownie do rzeki, tylko napełnia stawki, rozsącza się po okolicy i dzięki temu susza nam tutaj nie straszna.

Wody nigdy dość?

Jest jeszcze jeden staw znajdujący się za przydomową oczyszczalnią ścieków. A oczyszczalnia jest zrobiona w taki sposób, że ścieki najpierw się separują w zbiorniku podobnym do szamba, potem płynie to wszystko na złoże z różnych minerałów: głównie piasku i związków wapnia. Woda się tam grawitacyjnie przesącza i jest na tyle czysta, że ją przepompowuję do stawku. Staw jest głęboki na półtora metra, wyraźnie widać dno, bo woda jest już wtedy krystaliczna. Bezcenna dla kogoś, kto zajmuje się ogrodem.

Twoi sąsiedzi dobrze reagują na dzikie stawy? ↦

Na początku bywało trudno. Kiedyś gospodarz, który po wsi koniem jeździ, zatrzymał się przy mnie, akurat jak zasypywałem rów, by zrobić stawek. Pyta: „Co to, sąsiedzie, bagno będziecie zasypować?". Ja: „Nie, panie sąsiedzie, to rów zasypuję". On: „Rów? A po co rów?". Ja: „Żeby bagno było większe". W tym momencie pan chwycił za lejce i woła: „Wio maleńka, wio!". Zebrał się i nie chciał już więcej rozmawiać.

Wozisz też drzewo do lasu. Po co właściwie?

Utrzymuję dobre kontakty w sąsiedniej gminie. Jak tam zwali się jakieś stare, najlepiej wypróchniałe drzewo, to jedziemy i naszą osobówką przywozimy pocięte kawałki. Potem u siebie w lesie układam z takiego drewna sterty. Mieszka w nich masa ciekawych chrząszczy. Taki dyląż garbarz jest ogromny! Jak leci, brzmi niczym helikopter.

Mam opinię nieszkodliwego wariata i jest to bardzo dobre, bo nie muszę niczego tłumaczyć.

Na jakie zwierzątko czekasz teraz najbardziej?

Ruch dzikich ogrodów jest bardzo modny w Anglii i w Niemczech. Są liczne fora, na których ludzie pokazują swoje miejsca. I wychodzi na to, że już w zasadzie wyczerpałem listę. Jest tu wszystko, co może być. Wiadomo, że nie będzie tu niedźwiedzia czy rysia. O! Wiem! Jeszcze dudka chciałbym mieć u siebie! No, ale nie będzie łatwo. Zrobiłem wszelkie możliwe miejsca do lęgów, powiesiłem specjalne budki. Co z tego, kiedy dudek potrzebuje do żerowania pastwisk nisko zgryzionych przez zwierzęta, a u nas we wsi została ledwie jedna krowa...

A rośliny?

To dopiero ciekawa sprawa! Bo niby, z definicji, mają korzenie. Są przywiązane do miejsca, jednak ciągle ktoś nowy mi tu przychodzi. Nasiona lecą z wiatrem, przynoszą je ptaki. Mnóstwo dzikich czereśni obsiała mi kuna, która zjada ich owoce, a potem robi kupy po całym ogrodzie. W kupach są pestki, które kiełkują. Bardzo się z tego cieszę, bo dzika czereśnia, czyli trześnia, jest piękna. Wiosną biała od kwiatów, latem karmi mnóstwo zwierząt, a jesienią przebarwia liście w kolorach żółci i purpury.

Rośliny potrafią zaskoczyć?

Zaplanuję sobie, że tu będzie rosło coś, wydaje mi się, że w tym miejscu jest dobre siedlisko, światło i gleba, a po paru latach rośnie zupełnie co innego. Kiedyś nad stawek przyniosłem kawałek darni z kaczeńcami, kaczeńce się nie rozwinęły, szybko zanikły, za to ostro ruszyły wiązówki błotne i krwawnice, których kłącza także były w przyniesionym kawałku ziemi. Rośliny się tu różne schodzą, jak się pojawia coś ciekawego, to hołubię – zawsze można podsypać kompostu, wyrwać te, których nie chcę, zrobić coś, wspomóc. Ale generalnie nie lubię plewić. Kto ma przeżyć, przeżyje, kto się da zdominować – odpadnie. Przynosząc darń z innych miejsc, składam tylko propozycję, nigdy nie wiem, kto z niej skorzysta. Uwielbiam łąki z pełnikiem europejskim, którego można by porównać do małej, żółtej piwonii. Nieraz już sprowadzałem jego ogrodowe odmiany, jednak wybitnie coś mu się u mnie nie podoba. Za każdym razem zanika po paru sezonach.

Za potokiem widzę jeszcze kawałek starego lasu.

Choć tam nie zmieniam nic, to jednak przez ostatnich 10 lat las bardzo się zmienił. Właśnie przez to nic niezmienianie. Pilnuję, by nikt nie wycinał drzew, nie zabierał tych, które się przewróciły. Nawet chrustu nie daję zbierać. Jedna dekada wystarczyła, by przestrzeń nabrała iście puszczańskiego charakteru. Powalone, próchniejące pnie porośnięte mchem i paprociami, wystające z ziemi korzenie wykrotów... Stąd potem pleszki i muchołówki białoszyje.

Ile ziemi trzeba mieć, by zrobić dziki ogród?

„Odziczyliśmy" około trzech hektarów, ale każdy może zacząć, choćby na kilku metrach kwadratowych. Wystarczy przestać kosić kąt ogrodu i złożyć tam stertę chrustu i parę większych kamieni. Jeż będzie miał gdzie buszować. Może wśród suchych patyków zagnieździ się rudzik, a na kamieniach będą się wygrzewać jaszczurki. Można jeszcze dosadzić kilka smotraw, lebiodek i krzewów budlei. Wtedy latem zaroi się od motyli i trzmieli. Te kilka metrów kwadratowych może być miejscem pasjonujących obserwacji!

Codziennie robisz obchód ogrodu?

Gdy stanę nad stawkami, to widzę, że coś zrobiłem dla zwierząt i roślin i że to jest dobre. Wiem, trąci bluźnierstwem i wchodzeniem w rolę stwórcy... Ale w Polsce realnie chronimy 1 procent powierzchni objęty parkami narodowymi i jeszcze 1 procent w rezerwatach przyrody. A co z resztą? Dzikie ogrody to dobry sposób, by także obszary nieobjęte żadną formą ochrony mogły być przyjazne dla wszelkiego dzikiego życia.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Woli, w Wydziale I Cywilnym, pod sygn. akt I Ns 900/17 toczy się postępowanie z wniosku Miasta Stołecznego Warszawy o stwierdzenie nabycia spadku po Jacku Pepiaku, s. Waldemara i Alicji, ostatnio zwykle przebywającym w Warszawie przy ul. Młynarskiej 25/3, ur. 1 października 1965 r. w Warszawie, zm. 21 lutego 2016 r. w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się i udowodnili prawa do nabycia spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 508/21 postępowanie z wniosku wierzyciela - Gminy Jarocin - o stwierdzenie nabycia spadku po Januszu Adamie Warkockim, zmarłym 17.07.2010 r., ostatnio zamieszkałym w Witaszycach. W skład spadku wchodzi nieruchomość położona w Witaszycach.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

NAGRODA LITERACKA GDYNIA

JEDNĄ Z NAJBARDZIEJ OWOCNYCH DEBAT o przekładzie literackim ostatnich dziesięcioleci rozpoczęła książka Lawrence'a Venutiego „Niewidzialność tłumacza". Venuti zwrócił uwagę na rozpowszechnione przekonanie, że im lepszy tłumacz, tym bardziej powinien być niewidzialny – przekonanie, za którym niejednokrotnie kryją się polityczne interesy, walka o dominację, wyzysk. Niewidzialność tłumacza odpowiadała za pomijanie nazwisk tłumaczy w omówieniach i recenzjach książek, a nawet za ich nieobecność na stronach tytułowych. Szczęśliwie mamy ten etap za sobą. Tłumacz jest twórcą, którego inwencja językowa nie jest mniejsza niż autora, co możemy sami ocenić, czytając choćby książki nominowanych do Nagrody Gdynia w naszej najmłodszej kategorii – przekład.

Wydaje mi się jednak, że dziś niewidzialnego tłumacza zastąpiła niewidzialność książki. Uzmysłowiłem to sobie, przeglądając zgłoszone do Nagrody Gdynia zeszłoroczne publikacje. Każdego roku dostajemy ich coraz więcej, w tym roku przesłano nam ponad pół tysiąca, a dokładnie 586. W tym gęstym lesie książek znalazły się tytuły, które już czytaliśmy, bądź te, o których słyszeliśmy, bo dużo i głośno się o nich mówiło. Obok słynnych i już docenionych w kartonach znajdowały się książki, o których nie wiedzieliśmy nic. Nieznane nam były tytuły, ba, nie znaliśmy autorów, nawet nazwy oficyn wydawniczych niewiele nam mówiły. Niektóre odkładaliśmy po przeczytaniu pierwszych stron, od innych nie mogliśmy się oderwać.

Wśród nominowanych w tym roku książek znajdują się zeszłoroczne gwiazdy – każdy, kto choćby z doskoku śledzi życie literackie, z łatwością je rozpozna. To ważne dzieła, cieszymy się, że mogliśmy je nominować. Ale oprócz nich znajdą Państwo książki niewidzialne – których nikt lub prawie nikt nie recenzował, których wydawcy są zbyt mali, by mogli sobie pozwolić na kampanię promocyjną, które kierowane są do grona nie tysięcy, ale może zaledwie kilkuset czytelników, które są piękne nieoczywistą urodą. W tym roku, jak zresztą w latach poprzednich, mamy takie tytuły wśród nominowanych w każdej kategorii. Choć cieszymy się, że mogliśmy je przeczytać i uczynić widzialnymi, nie sposób nie uzmysłowić sobie, że niewidzialność tych książek mogła być stanem trwałym. Że mogły zaginąć na amen pośród tysięcy wydawanych tytułów – jak Arka Przymierza w pierwszej odsłonie „Indiany Jonesa".

Czy nie na tym polega znaczenie nagród literackich, takich jak Gdynia, że są sprzeciwem wobec niewidzialności książek? Że czynią je widzialnymi? Że, doceniając tytuły, wokół których było głośno i które już czytelniczo dopieszczono, wychodzą jednocześnie poza nakreślone przez media granice i szukają książek niewidzialnych, które warto uwidocznić? Tak, wiąże się to z ryzykiem – lektura książki pozbawionej krytycznego kontekstu, książki praktycznie bez historii, bo bez recepcji, nieobecnej na listach sprzedaży, może być zawodna i skończyć się wywindowaniem tekstu średniego, którego średniość ujawni się po latach. Gotowość do podjęcia takiego ryzyka, zamiast spacerów wydeptanymi ścieżkami, uwiarygodnia jednak każdą dyskusję o literaturze. A stawka jest wysoka.

Nagroda literacka, która sprowadza się do wyboru laureatów i wręczenia im statuetki, działa na ćwierć gwizdka. Niech nagrody, w tym nasza, sprawią, że o książkach się mówi, bo książki się widzi. Otwórzmy oczy: oto książki.

© JERZY JARNIEWICZ

TYGODNIK POWSZECHNY

Nr 35/2022
Dodatek
„Tygodnika Powszechnego"
Redakcja:
Michał Sowiński

Światłoczuli

ADAM LIPSZYC

To prawdziwa przyjemność prezentować książki nominowane w kategorii Esej, bo są to rzeczy najzwyczajniej w świecie prześwietne, które chciałoby się polecić przyjaciołom, nieznajomym, a nawet – w akcie wakacyjnego miłosierdzia – nieprzyjaciołom.

W **„Notatkach z terenu” Marcin Dymiter** podejmuje zachwycającą próbę zdania sprawy ze swojej codziennej, a dla piszącego te słowa wysoce niecodziennej działalności zwanej *field recording*. Działalność ta polega na rejestrowaniu ulotnych dźwięków natury i cywilizacji, na kreśleniu dźwiękowych pejzaży miast i miejsc. Razem z autorem odwiedzamy Pragę, Hagę, Lizbonę, Sejny, Elbląg. Ale jak to się robi? Jak opowiedzieć o tej pasji, o tej robocie, a wreszcie: o samych dźwiękach? Dymiter nieustannie dostraja swój język, eksperymentuje z perspektywą, rytmem, tonem. Czasem skupia się na wszystkim poza dźwiękiem, budując ze słów pudło rezonansowe opisu, czasem notuje anegdotę, wyłuskuje mikroszczegół, stara się mówić o samym słuchaniu, czasem wreszcie, ostrożnie, próbuje poetyckiego przekładu brzmień na słowa. Jest ruchliwy, ale nigdy hałaśliwy. Zawsze uważny. Zamieniony w słuch.

Głosu nie podnosi też **Agnieszka Gajewska**, autorka pasjonującej biografii najsłynniejszego polskiego pisarza *science fiction*, zatytułowanej **„Stanisław Lem. Wypędzony z Wysokiego Zamku”**. Gajewska, która już wcześniej dała się poznać jako nowatorska interpretatorka twórczości Lema, proponuje biografię arcykompetentą i wielowymiarową, opartą na własnych, oryginalnych badaniach. Z wielką starannością rekonstruuje historię rodziny Lemów i jej wojenne losy, tak by późniejsze wybory pisarza stały się bardziej zrozumiałe. Autorka nie obwieszcza swoich ustaleń tonem sensacji, nie familiaryzuje się ze swoim bohaterem. Językiem wartkim a precyzyjnym snuje rozważną i przejmującą opowieść o egzystencji naznaczonej katastrofą Zagłady i przemilczeniem żydowskiej tożsamości, o nadziei, strachu i smutku, o złożonych relacjach między pisarstwem a polityką. I o Polsce.

Książka **Andrzeja Kopackiego „21 wierszy w przekładach i szkicach”** to także, w pewnym sensie, biografia, a raczej fragmenty biografii, tyle że nie osoby, lecz nowoczesnego wiersza niemieckiego. Kopacki, wybitny tłumacz i badacz literatury niemieckojęzycznej, w tej pięknie skomponowanej, napisanej z wielką swadą książce prowadzi czytelnika przez 21 komnat. W każdej z nich napotykamy jeden krótki wiersz w przekładzie autora książki – od Goethego i Hölderlina poprzez Rilkego i Bachmann wędrujemy ku Grünbeinowi i Enzensbergerowi – Kopacki zaś cierpliwie objaśnia, dlaczego w jego tłumaczeniu tekst wygląda tak, a nie inaczej. Udała się tu rzecz po prostu arcywspaniała: szczegółowe rozważania nad przekładem pozwalają Kopackiemu odsłonić samą istotę przekładanych wierszy wraz z ich biograficzno-historycznym kontekstem. Traktat translatologiczny? Historia niemieckojęzycznego wiersza? Opowieść o dialektyce oświecenia? Tak, wszystko naraz.

Dialektyka oświecenia – mechanizm, za którego sprawą proces cywilizacyjny obraca się w swoje przeciwieństwo – z pewnością stanowi też kontekst dla mądrej książki **Tomasza Szerszenia** zatytułowanej **„Wszystkie wojny świata”.** Ten spoisty zbiór szkiców to rzecz pisana z niezwykłą intensywnością, książka uczona, a zarazem nader osobista. Wspólnym tematem eseistycznych dociekań Szerszenia jest nawracająca katastrofa wojenna i podejmowane raz po raz próby artystycznej reprezentacji tej katastrofy. Autor skupia się tu przede wszystkim na fotografii i filmie, które starały się na światłoczułej kliszy zarejestrować efekty przemocy kolonialnej, wybuchu bomby atomowej, katastrofy w Czarnobylu, współczesnych zamachów terrorystycznych. Opowiadając o artystach, którzy próbowali pokazać to, co najstraszniejsze, Szerszeń niepostrzeżenie dołącza do tego heroicznego grona.

Wojenna przemoc, która roztrzaskuje świat codziennego życia, sytuuje się też wreszcie w samym centrum wstrząsającej książki **Jerzego Szperkowicza „Wrócę przed nocą”**. Ten – jak głosi podtytuł – „reportaż o przemilczanym” to zapis poszukiwań prawdy o ostatnich godzinach życia rodziców autora, zamordowanych podczas wojny przez białoruskich sąsiadów. Książka przypomina warkocz, w którym zaplata się kilka wątków i tonów: podróż na terytorium dzieciństwa jest tutaj zarazem wyprawą do krainy zła, opis szczegółu i zapis rozmowy łączą się z nieustanną autorefleksją, a nieskrywana uczuciowość – z opanowaniem. Jest to możliwe dzięki mistrzowskiemu językowi: zachwycająco zwrotny, na przemian czuły, tnący i dowcipny, zdolny przyspieszać i zwalniać na autorskie zawołanie, tak by uchwycić prawdę wydarzeń, ludzkich zachowań i uczuć. Nazwać podłość, rozpacz – i miłość. ©

Warianty polskości

JAKUB SKURTYS

W tegorocznych nominacjach poetyckich najbardziej zaskakujące jest to, że jury w całości postawiło na reprezentantów późnych roczników osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

Mimo odmienności dykcji to właśnie pokoleniowość zdaje się łączyć całą piątkę, choć nie o rok urodzenia tu idzie, lecz o podobny czas klarowania się społecznej i językowej wrażliwości, przypadający na ostatnią, kryzysową dekadę. Skutkuje to ich niepodatnością na mity ekonomiczne, neoliberalne fantazje gonienia Zachodu i obietnice sukcesu okupionego ciężką pracą. Wszyscy grają w coś, co można by nazwać „poetyckim praktykowaniem kultury przegrywu", choć czynią to bez afektacji i egocentrycznych gestów. Cechuje ich raczej akceptacja samej porażki oraz wyczulenie na marginesy i lokalne warianty polskości.

Patryk Kosenda już swoim debiutem sprzed czterech lat namieszał w środowisku, ale jakoś wymknął się wówczas nagrodom. Wskazując jego drugą książkę **„Największy na świecie drewniany coaster"**, jury docenia więc nie tylko apokaliptyczny eksperyment, swobodnie sklejający memy i żarty, elementy młodzieżowej wyobraźni, fanfiki Harry'ego Pottera i okruchy naszych religijnych formułek w chochoła polskości. To język korzystający z tradycji dadaizmu, ale wychylony w ponurą przyszłość klimatyczną. Jesteśmy ponownie w wielkim, śmieciowym lunaparku, w którym idea dobrej zabawy uzupełnia rozrastający się chaos świata, a pusty śmiech spotyka się z przebodźcowaną świadomością.

Justyna Kulikowska, podobnie jak Kosenda, debiutowała kilka lat temu w krakowskim Ha!arcie, ale chętniej niż memy zgłębia „defekty kodowania" naszej społecznej tkanki. Jej trzecia książka to splot ludowych roszczeń i tradycji oraz buzującego poczucia winy z chęcią uwolnienia się od polityki zawstydzania. Ale **„gift. z Podlasia"** to również tom o rodzinie, dziedziczeniu, pamięci i różnych formach opresji: kulturowej, płciowej, ekonomicznej, politycznej, a przede wszystkim o towarzyszących im traumach „soczystych jak brzoskwinia", „pulchnych jak brzuszek / bulimiczki" i zaawansowanej maszynie społecznej, odpowiedzialnej za ich medykalizację i penalizację.

„112" Emilii Konwerskiej to jedyny w tym gronie debiut – literaturoznawczyni, lewicowej aktywistki i publicystki, która nawet w poezji zachowuje trochę tego żaru, oskarżycielskiego rytmu i zaczepnej retoryki. Ale rozczaruje się ten, kto będzie w jej utworach szukał modnych jeszcze kilka lat temu sygnałów liryki społecznie zaangażowanej. Jej wiersze napędza właśnie frywolna retoryczność figur mowy: porad, komend, wykrzyknień, pytań i innych form skierowanych bezpośrednio do czytelnika, niejednokrotnie imitujących konwersację. Całe „112" jest oddolnym testowaniem i naginaniem granic, również tych związanych ze społecznymi konwenansami: byciem kulturalnym lub prostackim, przestarzałym i na czasie, stygmatyzowanym lub cieszącym się sympatią, a jednak byciem zawsze nie dość, by dogonić mityczny „lepszy świat".

Liryka **Szymona Biry** to właściwie esencja XX-wiecznego rozumienia poezji: minimum słów i maksymalna kondensacja znaczeń. W **„1,1"** najbliżej wrocławskiemu autorowi do weteranów pokolenia „bruLionu" – Marcina Sendeckiego i Darka Foksa. Buduje wiersze z fragmentów rozmów, czytelnikowi zostawiając jedynie resztki, pozbawione sytuacyjnego kontekstu. Tworzy coś w rodzaju siatki znaczeń, czekających na swoje aktualizacje. Jednocześnie robi to głęboko ironicznie – buduje modele, które łudzą możliwościami interakcji, ale zawieszają się w pewnych momentach, by wskazać na nasze ograniczenia poznawcze, a dalej: na ograniczenia zachodniej, liberalnej koncepcji wolności.

W tym gronie **„Zimowanie" Urszuli Honek** jest propozycją najbardziej intymną i odrębną, celebrującą pamięć jako mechanizm poetycki. Autorka decyduje się na specyficzny rodzaj eskapizmu – wraz z bohaterami, wprowadzanymi poprzez imiona lub inicjały, oddaje się wspomnieniom i zamyka je w wierszu jak w kadrze, kreśli intymne portrety lokalnej społeczności i przechowuje je niczym przetwory na zimę. Jest w tym pisaniu – pełnym zdaniem, elegijnym tonem, od kropki do kropki – coś bardzo filmowego. Honek wręcz reżyseruje sytuacje liryczne i zatapia je w czasie, by potem uświadomić sobie i czytelnikom, że ów czas jest głównie przytłaczająco przeszły i nie do odzyskania. W ten sposób „Zimowanie" zmienia się w prywatny album ze zdjęciami zmarłych, często tragicznie, bo oko poetki sięga zawsze ciut za daleko – zaczyna w dzieciństwie od podglądania sąsiadów przez okno, a kończy po leśmianowsku, spoglądając poza czas i śmierć. ©

Wysokie stawki

DOROTA KOZICKA

Poszukiwanie sensu w historii, rozdwojenie psychiczne, intymny zapis odchodzenia ojca, zmaganie się z własną przeszłością i tożsamością, a także marzenia i paradoksy awangardy – z tym mierzą się nominowani w kategorii Proza.

Książka **„Myśliwice, Myśliwice" Krzysztofa Bartnickiego** to powieść prowadzona jednocześnie w tonacji serio i buffo, rozgrywająca się w języku i otwieranych przez niego przestrzeniach wyobraźni i rzeczywistości. Język jest tutaj nieustannie nicowany, a wydobywane z nieprzebranych kopalni języka słowa, zwroty, wyrażenia, przyśpiewki, nazwiska budują narrację, w której przewijają się losy miejsca, osób, rodzin, pokoleń. W opowieściach myśliwickich kum (a jesteśmy w kobiecym świecie) zapętlają się czasy – historia odkurzacza miesza się z gadaniem o deszczu i kapuście, o naturze wojny, z historią (historiami?) wojen, oblężenia i upadku „domu", głodu, terroru rewolucyjnej władzy, wprowadzania nowych porządków i spisków. Opowieściami o czasie, postępie, ludzkich losach i życiowych wyborach. Władzę nad tymi opowieściami sprawuje przedziwna narratorka – stara Morła (Orła), Pani od Muzyki, ale też Dudka (a po trosze Moszwa, Dojca i inne bohaterki), grająca kumom wiele nutek, „aby miały z czego wybrać, spamiętać, sąsiadkom powtórzyć", choć z przekonaniem, że „historia nasza nie skończy się z sensem".

Książka **„Skończyło się na całowaniu" Ewy Jarockiej** jest książką szaloną, której źródłem jest rozdwojenie psychiczne. Anioł, zjawiający się w umyśle bohaterki i towarzyszący jej w codziennym życiu, staje się w tej rozpędzonej narracji zarówno figurą innego, z którym mierzy się jej umysł, jak i figurą Anioła Stróża. To, co zwyczajne (remont mieszkania, zakupy, życie sąsiadów, relacje z matką), przeradza się tu w rozbuchane (ale precyzyjnie skonstruowane) opowieści o „życiu równoległym", gdzie samotność, pragnienie miłości, poszukiwanie sensu wybrzmiewają w groteskowych, komicznych i ponurych tonach. Autorka igra jednocześnie z opisem psychicznej choroby i z polską metafizyką, którą przerabia na swoją psychotyczną modłę.

Styl opowieści **Mateusza Pakuły** z **„Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję"**, zbudowanej z małych, często dowcipnych scenek, pozornie kontrastuje z tematem – intymnym zapisem umierania ojca. Wraz z zaangażowanym w codzienną opiekę narratorem przechodzimy kolejne progi choroby – od diagnozy przez uciążliwe leczenie i ogromny ból po śmierć. Sytuacje (codzienne, fizjologiczne, czasem straszne, czasem wzruszające) i emocje (bliskość, rozpacz, komizm, przerażenie, wściekłość, miłość) są tu opisywane z zadziwiającą otwartością. Rama, którą tworzy tytuł, pozwala jeszcze mocniej wybrzmieć temu, co w tej opowieści najważniejsze: zderzeniu osobistego, intymnego doświadczenia cierpienia i umierania bliskiej osoby z gniewem i złością na bezsilność wobec tego cierpienia, na warunki leczenia w Polsce, na światopoglądowe, instytucjonalne, emocjonalne bariery, uniemożliwiające spełnienie próśb chorego o przerwanie bólu i możliwość godnego odejścia.

Panoramiczna, precyzyjnie skomponowana, intertekstualna powieść **„Pulverkopf" Edwarda Pasewicza**, tocząca się na kilku planach narracyjnych, jest zespolona postacią głównego bohatera, który w granicznej sytuacji choroby mierzy się ze swoją przeszłością. Opowieść Patryka Werhunta – rozpięta między Poznaniem, w którym mieszka, a Meseritz (Międzyrzeczem), z którego pochodzi, spina dwie inne, równorzędne narracje – tę odczytywaną z notatek jego babki Weroniki oraz tę z pisanej przez niego książki, w której o sobie i o muzyce opowiada niemiecki kompozytor Norbert von Hannenheim. Odsyłają one do czasów II wojny i powojennego życia w przygranicznym polsko-niemieckim miasteczku, a także do historii faszystowskiego projektu likwidacji obywateli nieprzydatnych Rzeszy. W dwunastu rozdziałach, pisanych w różnym – muzycznym – tempie, losy trojga narratorów „przeglądają się w sobie", a rzeczowe opisy przeplatają się z lirycznymi refleksjami, gorączkowymi przemyśleniami, scenami erotycznymi, refleksyjnymi wspomnieniami. Wszystko prowadzone jest z wirtuozerią, dzięki której zasadnicze tematy powieści – poczucie odmienności (narodowej, seksualnej, artystycznej), problem tożsamości i problem geniuszu, dziedzictwo historii, muzyka – wybrzmiewają w całym swoim skomplikowaniu.

Krzysztof Pietrala w **„Story Jones"** tworzy prozę, która za sprawą przywoływanego tu Adama Ważyka i jego krainy Inkipo, a także wyrafinowanej formy, w jakiej została opublikowana, przywołuje marzenia, paradoksy i niespełnienia awangardy. Przywołuje, ale też w zadziwiający sposób ożywia i zestawia te marzenia oraz uroki, a także niebezpieczeństwa intelektualnych mistyfikacji z naszym „tu i teraz". Gra toczy się o wysoką stawkę. ©

Literackie cuda

TOMASZ SWOBODA

Dzięki nominowanym w tym roku tłumaczom, i to zarówno w ponownych przekładach klasyki, jak i powieściach pojawiających się w polszczyźnie po raz pierwszy, możemy z uwagą śledzić nie tylko fabuły, ale też to, co dzieje się w samym języku.

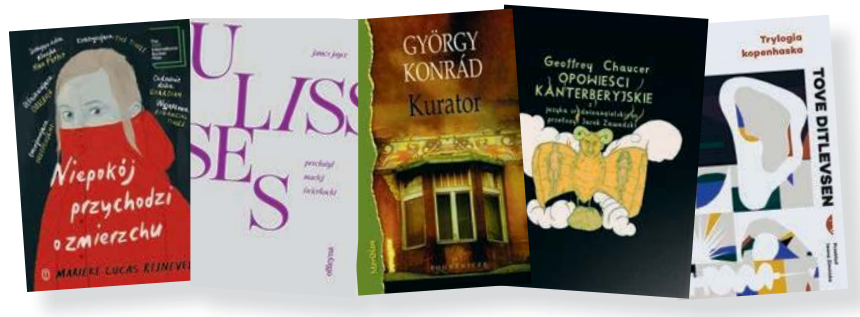

Czytelnicy, których medialny rozgłos wokół książki i popularne nagrody raczej odstraszają, niż przyciągają, mieli uzasadnione powody, by do powieści **Mariekego Lucasa Rijnevelda** podchodzić jak do jeża. Do tego wszystko w niej jest jakby znane i zgrane: traumatyczne przeżycia z dzieciństwa, życie na wsi, religijne zasady, odkrywanie seksualności i śmierci, zmagania z dojrzewającym ciałem... A jednak **„Niepokój przychodzi o zmierzchu”** nie jest kolejnym fabularnym wypracowaniem na zadany temat. Rijneveld unika poetyki nadmiaru, ale nie wpada też w pułapkę przesadnej narracyjnej surowości. W tej powieści wszystko jest na swoim miejscu, mimo iż ukazany tu świat został do cna rozregulowany. Na swoim miejscu są przede wszystkim zdania i pojedyncze słowa: **Jerzy Koch** ocalił w polszczyźnie zdumiewająco subtelne językowe napięcie, jakim tchnie powieść Rijnevelda. Pozwolił nam wsłuchać się w głos bohaterki – to wcale nie tak częsty literacki cud.

Jakże lubimy ponowione przekłady klasyki! Możemy wtedy z czystym sumieniem porzucić gonitwę za fabułą – przecież znamy ją, w tym wypadku nie tylko z wcześniejszego tłumaczenia czy oryginału, ale i z Homera – by skupić się na pracy, jaką wykonał tłumacz. A **„Ulisses” Jamesa Joyce’a** to powieść wręcz stworzona do tego typu perwersyjnej rozrywki (mam na myśli zarówno tłumaczenie, jak i lekturę). Wpadamy w istną językową kipiel, kadłub trzeszczy, toniemy, przepadamy bez wieści, zawsze mając jednak w zanadrzu ratunkowy gest w postaci zamknięcia książki – gest, którego nie chcemy wykonać, bo za sterami stoi **Maciej Świerkocki**, a my już po paru stronach bezgranicznie mu ufamy, więc śmiało ruszamy w narkotyczną podróż po rubieżach języka, brniemy dalej, zmyślona zaś i jak nigdy prawdziwa rzeka Liffey wyrzuca naszą łajbę na głęboką wodę.

Powieść **Györgyego Konráda** to z pozoru najmniej efektowna z pozycji nominowanych w kategorii Przekład. Streszczona jako historia pracownika opieki społecznej, który mniej lub bardziej sumiennie wykonuje swoje obowiązki, aż w końcu wprowadza się do mieszkania jednego z podopiecznych, brzmi jak późna imitacja Franza Kafki. Trop ten nie musi być zresztą do końca błędny: analiza aparatu władzy i administracji jest tu najwyższej próby, a obraz zamkniętej przestrzeni godny autora „Procesu”. Konrád przemawia jednak zupełnie innym głosem – pełnym goryczy i sarkazmu, namiętnie powracającym do pewnych słów i spostrzeżeń, drobiazgowo opisującym poszczególne elementy na poły realnego, na poły sennego uniwersum. Na pierwszy plan wychodzi zatem język, w jakim ten świat jest konstruowany i opowiadany. Dzięki **Karolinie Wilamowskiej** nie trafimy w **„Kuratorze”** na żadną fałszywą nutę: wierzymy w każde nieszczęście, w każdą rozpacz i w każdą klęskę.

Kto by pomyślał, że w takich czasach dostaniemy pełen polski przekład **„Opowieści kanterberyjskich”**? I to nie przekład zbiorowy, z przytłaczającym aparatem krytycznym, owoc jakiegoś akademickiego grantu, lecz dzieło jednego zapaleńca, gotowe do czytania, do czytania właśnie przeznaczone, może nawet do tańca i do różańca, tak rubaszne i poważne zarazem. Na pewno zaś zachęcające do głośnego czytania i słuchania: tłumacz bowiem, **Jarek Zawadzki,** postanowił wciągnąć nas w wartki rytm **Chaucerowskiego** wiersza, a nade wszystko zadbać o to, żebyśmy ów wiersz zrozumieli, a wraz z nim – całe bogactwo średniowiecznego świata ustnych opowieści. Perypetie możnych i ubogich, zwierząt i ludzi, kłótnie i bójki, agonie i miłostki – XIV-wieczny autor odmalowuje ów świat śmiałą kreską, a współczesny tłumacz równie śmiałą kreską nam go udostępnia.

Dzieciństwo, młodość, dorosłość: te trzy etapy życia tworzą kompozycyjny porządek **„Trylogii kopenhaskiej” Tove Ditlevsen**. Pierwszy naznaczony jest biedą, drugi – odkrywaniem literatury, trzeci – uzależnieniem od farmaceutyków. A, są jeszcze miłość, choroba i śmierć. I to byłoby właściwie wszystko – gdyby nie poczucie, że w ten sposób nie powiedziało się o tej książce niemal nic. To bowiem jeden z tych utworów, o których wielkości decyduje jakieś *je ne sais quoi*: szczerość, ton, dobór scen, narracyjne przemilczenia, bolesna pustka, w jaką niepostrzeżenie wpadamy na każdej stronie tej literackiej spowiedzi. Rodzi to – uzasadnione – podejrzenia, że najważniejsze rozgrywa się w języku: niekoniecznie efektownym, dziwnym czy bogatym, lecz raczej trafnym i oszczędnym, jakby przytłumionym, chwilami zdławionym, zawsze głęboko rezonującym. Taka jest właśnie proza Tove Ditlevsen w czujnym tłumaczeniu **Iwony Zimnickiej.** ©

Poszukiwacze skarbów

Nagroda Literacka Gdynia nie jest dla specjalistów i ma swoje szerokie grono odbiorców. Jako jurorzy dyskutujemy między sobą jak czytelniczka z czytelnikiem.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Jako jurorki przeczytałyście prawie wszystko, co ukazało się w ubiegłym roku. Jak wygląda współczesna polska literatura?

BARBARA KLICKA: Budowanie tak dużych obrazów nie jest mi bliskie, ale gdyby pokusić się o wskazanie pewnych trendów czy ogólnych modeli, to zwróciłabym uwagę na to, że mieliśmy tłok w kategorii „esej". Jako osoba z okiem wyczulonym na poezję również tam się nie zawiodłam. Zdziwiłam się za to ilością tomików wydawanych własnym sumptem albo w wydawnictwach, o których wcześniej nie słyszałam. I mówię to zupełnie bez złych intencji. Wręcz przeciwnie – cieszę się, że miałam okazję zajrzeć w nowe miejsca. Z nadzieją, że znajdę tam jakiś brylant. Z kolei o przekładzie ktoś napisał, używając terminologii piłkarskiej, że to „grupa śmierci", i to nie tylko w samym gronie nominowanych. A proza... Nie chcę się dorzucać do rytualnych utyskiwań.

DOROTA KOZICKA: Rzeczywiście czytamy bardzo dużo, choć zdecydowanie nie jest to wszystko, co się ukazuje w Polsce. Ciekawe jest dla mnie doświadczenie tych olbrzymich kartonów książek, które dostajemy na początku roku. Wcześniej też czytałam dużo nowości, ale były to wybory, by tak rzec, „wsobne". Teraz to zupełnie inna sytuacja, bo przychodzą do nas książki z bardzo różnych wydawnictw i środowisk twórczych. Są ich setki, co z jednej strony budzi uczucie pewnego przerażenia i przytłoczenia, z drugiej jednak intrygujące podniecenie poszukiwania skarbów. Ta sytuacja uczy też pokory – dopiero jako jurorka Gdyni widzę, jak wiele rzeczy się wydaje w bardzo różnych, wcześniej nieznanych mi miejscach.

Ale wracając do twojego pytania – mam wrażenie, że im więcej się czyta nowości, tym trudniej wydawać jakieś całościowe opinie, dlatego wolałabym mówić raczej o tym, co widać zza „naszych pudeł". A widać modne czy poruszające nas dzisiaj – a więc i pisarzy – tematy, a także mniej i bardziej popularne wśród autorów sposoby pisania. W tym roku rzeczywiście eseistyka była szczególnie mocna. A jeśli chodzi o tematy, to ja z ciekawością przyglądałam się, na ile i w jaki sposób w literaturze obecne jest doświadczenie pandemii.

I jak ono wygląda?

DK: W ubiegłorocznej edycji, czyli wśród książek opublikowanych w roku 2020, były to przede wszystkim dzienniki, zapiski czy eseje pisane „na gorąco". Wśród książek opublikowanych w 2021 roku widać, jak to doświadczenie powoli przenika do powieści czy też, ilościowo rzecz biorąc, przede wszystkim do poezji.

Co jeszcze widać w tym roku?

DK: Obok szeroko, we wszystkich kategoriach i na różne sposoby uobecnionego tematu ekologii czy, szerzej, antropocenu, w polskiej prozie można mówić o dominacji tematów związanych ze śmiercią bliskich osób. Z innej strony widać na przykład sporą liczbę tłumaczeń z Europy Środkowej i Wschodniej, również z języka ukraińskiego. I to dzięki nim można było po wybuchu wojny w Ukrainie odwołać się do literatury i do autorów jakoś już nam znanych.

BK: Przy okazji tych olbrzymich kartonów, o których mówiła Dorota, zauważyłam, że duże wydawnictwa, co do których odruchowo zakładamy, że wiodą prym w kształtowaniu polskiej literatury, wcale nie reprezentują tego, co nas najbardziej interesuje. Trudno powiedzieć, że to żelazna zasada, bo może w przyszłym roku będzie inaczej, ale było mi miło wyłuskiwać mniej oczywistych autorów.

DK: Masz rację, ale może to wynika również z tego, że wobec dużych wydawnictw i wobec znanych pisarzy mamy odruchowo większe oczekiwania? W ostatnich latach pojawiło się też kilka nowych, bardzo ciekawych i ważnych oficyn. A jeśli chodzi o to, co wydawałoby się w naszej literaturze najmocniejsze, czyli o niezwykle popularną w ostatnich latach literaturę niefikcjonalną, to mam wrażenie, że coraz trudniej wśród powielanych schematów reportażowych czy biografistycznych o książki nietuzinkowe.

O kulejącej w Polsce prozie faktycznie mówi się od lat. Dlaczego tak jest?

DK: Powiedziałabym, że o „kulejącej prozie polskiej" mówi się od zawsze, podobnie jak o krytyce. Taki to już urok naszego życia literackiego. Nie jestem jednak zwolenniczką utyskiwania na to, że nie mamy powieści na miarę amerykańskiej prozy. Ani na inną wielką miarę, bo mamy taką, jaką mamy. A poza tym regularnie pojawiają się u nas naprawdę dobre książki. W tym roku w tej kategorii też było w czym wybierać. A takie, tradycyjne już, oczekiwania, żeby pojawiła się wielka powieść, której epicki rozmach pozwalałby na odtworzenie wielkiej panoramy społecznej i przedstawienie naszej współczesności, zupełnie mnie nie przekonują. Zresztą w zeszłym roku ukazało się przynajmniej kilka powieści, które o naszej rzeczywistości powiedziały naprawdę sporo.

BK: Faktycznie, bo przecież nominowana w tym roku piątka prozaików jest fenomenalna i nie mam co do niej żadnych wątpliwości. I, co ciekawe, przy tej kategorii dyskusje jury były chyba najbardziej zażarte.

Zwraca uwagę obecność wielu małych, niszowych wydawnictw.

DK: Nagroda Literacka Gdynia ma już wypracowaną markę i w dużym stopniu nastawiona jest na poszukiwanie nowych, nieoczywistych rzeczy, które na co dzień giną w medialnym natłoku. Małe wydawnictwa nie boją się eksperymentować, lubią ryzykować, pokazywać nowe rzeczy i chętnie wysyłają nam swoje książki. Co oczywiście nie znaczy, że w dużych wydawnictwach nie dzieją się ciekawe rzeczy.

BK: Jeżeli spojrzymy na listę laureatów z ubiegłych lat, znajdziemy tam wiele największych nazwisk polskiej literatury: Stasiuk, Myśliwski, Pilch, Tulli, Rudzka czy Chwin. Cała plejada gwiazd, czyli wcale nie tak niszowo. Od lat jednak można zauważyć w Gdyni tendencję do poszukiwania nieoczywistości. W moich wyborach prowadzi mnie radość czytelnicza, radość odkrywania nowych, zaskakujących i zachwycających lekturowo rzeczy. Lata temu w jednej z laudacji profesor Śliwiński powiedział, że ta nagroda jest bardziej dla pisarzy na dorobku niż dla tych już dorobionych. Ta myśl chyba wciąż nam towarzyszy, choć z pewnością nie jest regułą. Szczególnie bliska mi poezja od lat funkcjonuje poza głównymi obiegami literackimi, zwłaszcza w kontekście marketingowym, a przecież – a może właśnie dlatego? – dzieją się tam interesujące i ważne rzeczy. A jako jurorzy staramy się myśleć w ten sposób o całej literaturze.

Nagrody literackie w Polsce zyskują swoje coraz wyrazistsze profile.

DK: Rzeczywiście i myślę, że to bardzo dobrze. Bo chyba wszyscy doskonale wiemy, że nie ma obiektywnych kryteriów, według których można by wybrać „najlepszą książkę roku". Wyróżnianie konkretnych książek jest zawsze wypadkową założeń i idei konkretnej nagrody oraz myślenia o literaturze członków danej kapituły. Ale o profilu nagrody łatwiej mówić z zewnątrz niż ze środka. Dla mnie, z perspektywy krakowskiej polonistyki, Nagroda Literacka Gdynia zawsze była szczególnie ważna właśnie dlatego, że co roku zwracała uwagę na rzeczy ważne i aktualne w literaturze. I te sugestie zazwyczaj się sprawdzały! Teraz, gdy znalazłam się w kapitule, widzę też, z czego to wynika – jak wiele czasu jury poświęca na dyskusję o przeczytanych książkach. To całe miesiące intensywnych rozmów i wymiany długich maili.

DOMINIKA DZIKOWSKA / MATERIAŁY PRASOWE

BARBARA KLICKA jest poetką, pisarką, animatorką kultury. Członkini kapituły Nagrody Literackiej Gdynia.

ANNA REZULAK / MATERIAŁY PRASOWE

DOROTA KOZICKA jest historyczką i krytyczką literacką, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Członkini kapituły Nagrody Literackiej Gdynia.

BK: Dla mnie to też od lat była najważniejsza nagroda literacka, bo nie bała się podejmować ryzykownych decyzji – i to w różnym sensie. Jury wyróżniało książki eksperymentalne, ale też nie bało się tego, co nazwałabym na szybko twórczą niekonsekwencją. Osobna kwestia to nagroda za tłumaczenie – kategoria, która pojawiła się nie tak przecież dawno temu i była zapewne sporym wyzwaniem finansowym dla organizatorów, a czytelniczym dla jurorów. Dlatego zawsze miałam poczucie, że to najbardziej moja z nagród.

DK: Mi się zawsze wydawała najlepsza w sensie branżowym, chociaż to niedobre słowo...

BK: Rozumiem, co masz na myśli, ale to słowo budzi we mnie niepokój, bo wyklucza nieco czytelniczkę.

DK: Racja, nie chodziło mi o wykluczanie kogokolwiek. Jako czytelniczka literatury miałam największe zaufanie do tej właśnie nagrody, albo, precyzyjniej, zawsze najbardziej mnie interesowały właśnie gdyńskie nominacje do nagród.

BK: Właśnie, bo to nie jest nagroda dla specjalistów. Wierzę, że ma swoje szerokie grono odbiorców.

Odrzuca też w dużym stopniu medialny kontekst funkcjonowania pola literackiego.

BK: Przesuwa też na drugi plan czynniki społeczno-polityczne, które są oczywiście również dla nas ważne, ale nie stanowią pierwszej linii argumentacji w trakcie obrad.

A czego Wy szukacie w literaturze?

DK: Tego, co wszyscy – zaskoczenia, oczarowania, poruszenia. Nie chodzi przy tym o „fajerwerki", ale o to, że ktoś pokazał nam coś w inny, nowy sposób. Nie zawsze musi to być efektowne, bo niekiedy wymaga skupienia i zaangażowania. A czasem, kiedy czyta się coś wyjątkowego, ma się po prostu ciarki. I wtedy wiadomo, że to jest właśnie to.

BK: Dorota zabrała mi „ciarki", więc co mi zostaje. Ja-jurorka chciałabym jak najmniej różnić się od siebie-czytelniczki.

DK: No właśnie, to chyba najlepiej pokazuje specyfikę tej nagrody. Gdy jako jurorzy zaczynamy rozmawiać o książkach, to nie operujemy dużymi kwantyfikatorami, tylko dyskutujemy jak czytelniczka z czytelnikiem.

BK: I to przez wiele, wiele godzin, dni i miesięcy.

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 35/2022

REDAKCJA: Michał Sowiński | PROJ. GRAF. Marek Zalejski
FOTOEDYCJA: Jacek Taran | SKŁAD: Zuzanna Kardyś

PARTNERZY WYDANIA:

GDYNIA MECENAS NAGRODY LITERACKIEJ GDYNIA

NAGRODA LITERACKA GDYNIA

STANISŁAW

Mancewicz:
O pięknie

Musimy dziś wrócić do kwestii kluczowej dla naszej sytuacji na arenach dyscyplin uprawianych na planecie – od polityki aż po futbol. Oto – popatrzmy – problemem powszechnie znanym, ale jednak nie omówionym, jak mniemamy, wystarczająco, jest tutejsza dzietność. Każdy przyzna, że jest to dyscyplina narodowo kluczowa, wywołująca, co oczywiste, liczne dyskusje, ale też będąca powodem przeróżnych decyzji partyjno-kościelno-rządowych na szczeblu tak krajowym, jak i regionalnym, wojewódzkim czy powiatowym.

Na początek musimy jednak powiedzieć, że osobliwa, wstrętna muzyka nie tylko tych zdań, ale słowa „dzietność", na tyle przykuwa uwagę, że z trudem skupiamy się na jego znaczeniu. Uważamy, a jest to spostrzeżenie godne Kopernika, że z powodu brzydoty słowa „dzietność" dzietność spada i jest nas, Polaków, jakby coraz to mniej. Wydaje się, że estetyka opisu na froncie walki z niżem demograficznym ma jednak znaczenie. Że – to przykład – człowiek chętniej zje kartoflankę podaną w ładnym talerzu, na haftowanym obrusie, niż breję wlaną do szaflika, że chętniej włączy się do walki z zanikiem Polaków, gdy będzie o tym mówione i pisane ładniej i powabniej. Nie można na razie na to liczyć, żyjemy bowiem w dyktaturze estetycznych barbarzyńców. Polszczyzną od lat wielu rządzą nie specjaliści od piękna i estetyki, wspaniali pisarze, nie lingwiści i poloniści, lecz półanalfabeci, jacyś branżowi eksperci nowomowy, kompozytorzy instrukcji obsługi odkurzaczy, pisarze metek wszytych do majtek. Ludzie, dla których język jest zbitką pomrukiwań, huków i sylab bądź stadionowych rymowanek, za pomocą których porozumiewają się z innymi plemionami. Dodajmy: z trudem.

Oczywiście nie mamy wątpliwości, że za brzydotę języka odpowiadają przede wszystkim pracownicy tzw. mediów, urzędnicy i politycy, głównie posłowie do parlamentu oraz tzw. eksperci, reszta to niewinni spożywcy. Ludzie, którym przecież można wymyślić modę na ładność i pięknem zachęcić do zwiększania dzietności. Zadanie wydaje się łatwe, ale nikomu nie przyszło to do głowy, tak jak nikt, poza kilkoma zrozpaczonymi estetami, nie zawraca sobie specjalnie głowy tutejszym krajobrazem, zapachami, kolorami domów czy kompozycją ludzkich osiedli w Polsce, kraju – powtórzmy – na początku katastrofy nie tylko ekologicznej, ale demograficznej właśnie. I tu moglibyśmy zakończyć naszą jeremiadę, którą rozpoczęliśmy przede wszystkim po to, by nie poruszać koszmarnej sprawy trwającego zatrucia wielkiej rzeki, co jest, zważmy, dla obecnej władzy problemem wyłącznie wizerunkowym, żadnym innym. Tysiąc ton martwych ryb – popatrzmy – dla ludzi polskiej prawicy to zmartwienie tylko polityczne.

No więc moglibyśmy narzekanie na spadek dzietności już i jakoś, byle efektownie, skończyć, gdyby nie tzw. obserwacje osobiste. A one – jak zwykle zresztą – odstają od oficjalnych danych podawanych przez wielkie urzędy zajmujące się statystyką, liczeniem ludzi i nadawaniem im kolejnych numerów. Wedle naszych wakacyjnych notatek, jeśli idzie o liczbę Polaków w świecie, nie notujemy zmian na gorsze. Owszem, wciąż mieliśmy tylko jednego papieża, mamy jednego znanego powszechnie w świecie polityka i tylko jednego znanego piłkarza, co jak na liczebność narodu i pretensje do wielkości nie jest może za wiele, ale jednak człowiek będąc za granicą wciąż spotyka i Polkę, i Polaka, a tym samym napotyka – co oczywiste – Polskę w pełnej krasie. Przemierzając dowolne europejskie niziny, wyżyny, zagłębia bądź dorzecza, wchodząc do poczciwych wiosek bądź w głąb grzesznych miast, leżąc na trzeźwo bądź po pijanemu na plażach mórz ciepłych i zimnych, wszędzie tam do naszych wrażliwych uszu docierają śpiewy i wołania polskie, zbudowane na owej warczącej kompozycji spółgłoski „r" z samogłoską „u", z brawurowych pasaży opartych na opadającej sylabie „chu" i wznoszącej się sylabie „pier". Tej pieśni nie da się pomylić z żadną inną, Polaków jest – to słychać – wszędzie wielu, więc nie ma mowy o spadku dzietności, co należy przyjąć z satysfakcją. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

Napisz własną historię kuchenną

Do każdej prenumeraty autorski, wyjątkowy notes kulinarny „Smaki" w prezencie. 12 sezonów, przepisy, rozmowy, eseje, autorskie ilustracje – i Twoja opowieść.

ZASADY ZAKUPU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN DLA „TP"

EUROPEJSKIE CENTRUM SOLIDARNOŚCI

30 sierpnia 2022, 20.30

NA ŻYWO W TVN 24

Wydarzenie uświetni koncert polskich artystów z towarzyszeniem Tarkowski Orkiestra

MEDAL WOLNOŚCI SŁOWA

Fundacja Grand Press po raz drugi uhonoruje osoby szczególnie zasłużone dla wolności słowa w Polsce

KATEGORIA MEDIA

Piotr Jacoń
Jerzy Jurecki
Ewa Siedlecka

KATEGORIA INSTYTUCJA

Krzysztof Głuchowski
Jakub Karyś
Igor Tuleya

KATEGORIA OBYWATEL/KA

Kamila Ferenc
Robert Hojda
Katarzyna Wappa

REKLAMA

ORGANIZATOR

GRAND PRESS FOUND.

MIASTO GOSPODARZ

GDAŃSK

GŁÓWNY PATRON MEDIALNY

press

PARTNERZY

Święto Wolności
ECS europejskie centrum solidarności
zaks sprzyjamy wyobraźni
GDYNIA
Sopot
Białystok
DAR POLWIA
zakochaj się w Warszawie
POZnań
ŁÓDŹ
Wrocław miasto spotkań
Kraków

PATRONI MEDIALNI

tvn24
TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne
onet
WP
GAZETA.PL

PARTNERZY GALI

m-sound multimedia
COCOSOUND
F25.
MIELŻYŃSKI Wines • Spirits • Specialities
AmberSide - RESTAURANT -